

NORA ROBERTS

KUSZENIE LOSU

Nora Roberts

Serena

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przyjmowanie nowych pasażerów zawsze wywoływało zamieszanie, a nawet lekką panikę. Jedni pojawiali się na statku zmęczeni lotem do Miami, inni byli podnieceni zbliżającym się rejsem. Celebration, cumujący przy nabrzeżu ogromny liniowiec wycieczkowy, był ich przepustką w nieznaną, oferującą zabawę, odpoczynek, przygodę. Po wejściu na pokład przestawali być księgowymi, menadżerami, nauczycielami, stawali się pasażerami, którym wszyscy będą nadskakiwać przez najbliższych dziesięć dni. Tak zapewniały foldery reklamowe.

Serena stała samotnie na pokładzie obserwacyjnym i przypatrywała się ludziom. Z daleka barwny i gwarny tłum wyglądał sympatycznie, z bliska tych tysiąc pięćset osób, a wszyscy sprawiali wrażenie, jakby chcieli wejść na statek dokładnie w tej samej chwili, mógł napawać lękiem. Kucharze, barmani i stewardzi już uwijali się jak w ukropie. Odpoczną dopiero wtedy, gdy minie owych dziesięć dni. Tylko jej się nie spieszyło, mogła rozkoszować się każdą mijającą minutą.

Dopóki statek nie wypłynął z portu, miała czas

dla siebie. Pamiętała swój pierwszy rejs, w który wyruszyła tuż po ósmym urodzinach. Jako dziecko, zresztą najmłodsze, finansowego potentata Daniela MacGregora i doktor Anny Whitefield MacGregor, podróżowała pierwszą klasą. Stewardzi przynosili jej do łóżka gorące bułeczki i świeży sok pomarańczowy. Czuła się wtedy wspaniale, podobnie jak teraz, kiedy została członkiem załogi i gnieździła się w maleńkiej kabinie. Smak przygody pozostawał ten sam.

Gdy powiedziała rodzicom, że chce pracować na Celebration, ojciec zaczął głośno sarkać. Nie po to przecież jego córka kończyła studia! Gdy wpadał w złość, zaczynał mówić z wyraźnym szkockim akcentem. I w tej złości argumentował, że dziewczyna, która ma w kieszeni dyplom renomowanego Smith College, a na tym dyplomie celujące z angielskiego, historii i socjologii, nie będzie szorowała pokładów na jakimś statku pasażerskim. Serena z całą powagą odparła, że nie zamierza szorować pokładów, matka wybuchnęła śmiechem i zaczęła przekonywać Daniela, aby pozwolił córce robić, co chce. A że Daniel, mężczyzna wielki i postawny, był zupełnie bezbronny wobec „swoich kobiet”, jak je nazywał, to skapitulował.

Serena zaciągnęła się na Celebration, zostawiając za sobą lata nauki. Trzypokojowy apartament w rodzinnej rezydencji w Hyannis Port zamieniła na maleńką kabinę na statku. Nikogo tu nie obchodziło, jaki ma iloraz inteligencji ani jakie szkoły i z jakimi wynikami kończyła. Nie mieli pojęcia, że jej ojciec mógłby od ręki kupić Celebration i wszystkie inne linowce ich armatora, ani że jej matka jest

wybitnym chirurgiem, specjalistką od operacji klatki piersiowej. Nie wiedzieli, że jeden z jej starszych braci jest senatorem, a drugi prokuratorem stanowym. Patrzyli na nią i widzieli po prostu Serenę. To jej w zupełności wystarczało.

Uniosła głowę. Czuła, jak wiatr targa jej gęste, jasne włosy o złotym odcieniu, jak na starych obrazach. Miała wysoko osadzone kości policzkowe, mocno zarysowany, znamionujący upór podbródek, jasną, brzoskwińową cerę, której nie miała się opalenizna, i ciemnoniebieskie oczy. Ojciec twierdził, że są fioletowe, inni woleli mówić, że fiołkowe, ona zaś upierała się, że są po prostu niebieskie. Mężczyznom się podobały, działały jak magnes. Serena zawsze miała powodzenie, pociągała swoim urokiem, ale niewiele sobie z tego robiła, bo faceci jej nie interesowali.

Uważała, że trzeba być głupcem, aby wzdychać do dziewczyny z powodu oczu w kolorze irysów. W końcu to tylko cecha genetyczna. Od dwudziestu sześciu lat słuchała zachwyty na temat swoich oczu, więc szybko jej spowszedniały i przestała na nie reagować.

W bibliotece ojca wisiał portret babki, też Sereny. Każdemu, kto chciałby słuchać, mogła wyjaśnić zasady dziedziczenia kośćca, koloru oczu czy temperamentu, ale faceci, których spotykała, nie byli zainteresowani wykładami, a ona tymiż facetami.

Prawie wszyscy pasażerowie już się zaokrętowali. Niedługo na pokładzie orkiestra zacznie grać calypso, statek rzuci cumy i ruszy w kolejny rejs. Serena jeszcze przez jakiś czas będzie mogła

obserwować wakacyjny tłum, słuchać rytmicznej muzyki i beztroskich śmiechów. Będzie bufet tak obfity, że nikt nie przeje pierwszego poczęstunku, będą egzotyczne drinki, zapanuje radosne podniecenie. Przy relingach zaczną gromadzić się ci, którzy będą chcieli odprowadzić wzrokiem odalający się łód.

Przyglądała się spóźnialskim, którzy w pośpiechu wchodzili na pokład. Celebration ruszała w ostatni rejs tego sezonu. Po powrocie do Miami pójdzie na suchy dok, gdzie zostanie poddana dwumiesięcznemu przeglądowi. A kiedy znowu wypłynie, Sereny nie będzie już na pokładzie. Postanowiła, że koniec z pracą na statku. Podjęła ją, żeby odetchnąć po latach studiów, wyzwolić się na chwilę od oczekiwań rodziców i własnych niepokojów.

Coś zyskała w ciągu minionego roku. Poznała smak niezależności, o którą zawsze tak walczyła, udało się jej wypłynąć na szerokie wody, i to dosłownie, zamiast osiąść zaraz po studiach na mieliźnie małżeństwa, jak większość jej koleżanek z roku.

Owszem, zasmakowała swobody i niezależności, ale ciągle nie miała tego, co najważniejsze: celu. Co uczyni z resztą swojego życia? Nie interesowała jej kariera polityczna, którą wybrali obaj bracia. Kariera akademicka też jej nie pociągała. Szukała przygody i wyzwań, a tego uniwersytet nie mógł jej dać. Podobnie jak ciągłe rejsy na Bahamy.

Czas zejść na ląd, Rena, pomyślała z uśmiechem. Kolejna przygoda już gdzieś tam czeka na ciebie. Tym bardziej intrygująca, że jeszcze nieznaną, jeszcze nieodgadnioną.

Odezwała się syrena, znak dla niej, że pora zejść do kabiny i przebrać się.

Pół godziny później była już w okrętowym kasynie, odziana w służbowy smoking. Włosy związała w luźny węzeł na karku, żeby nie opadały na twarz. Wkrótce będzie miała tak zajęte dłonie, że nie zdoła odgarniać niesfornych kosmyków.

Żyrandole już zapalono. Przez bulaje wychodzące na oszklony pokład spacerowy wpadały resztki zmierzchającego światła. Przy ścianach stały długie rzędy automatów do gry, niczym żołnierze czekający na pierwszy atak. Serena poprawiła muszkę, z którą nigdy nie mogła dojść do ładu, i podeszła do kierownika, nie zwracając uwagi, że podłoga pod stopami zaczyna się lekko kołysać.

- Serena MacGregor melduje się na służbie
- oznajmiła.

Dale Zimmerman, niewysoki, szczupły mężczyzna o sympatycznej, zawsze opalonej twarzy, jasnych, kręconych włosach i jasnoniebieskich oczach, odwrócił się powoli i zmierzył ją lustrującym spojrzeniem. Uważano go za uwodziciela i amanta, z czego był bardzo dumny i robił wszystko, by utrzymać tę opinię.

Uśmiechnął się szeroko.

- Rena, czy ty nigdy się tego nie nauczysz?
- powiedział z westchnieniem, wetknął pod pachę trzymane w rękę papiery i poprawił jej muszkę.

- Przynajmniej masz zajęcie.

- Jeśli rzeczywiście chcesz zejść po tym rejsie, to twoja ostatnia szansa na zasmakowanie rajy.

- Zwieńczył swe słowa głębokim spojrzeniem w oczy Sereny.

Uniosła brwi. Kiedy pojawiła się na statku przed rokiem, Dale, swoim zwyczajem, usiłował namówić ją na pójsie do łóżka. Odmówiła i odtąd ciągle przekomarzali się na ten temat. Bardziej ku zaskoczeniu Dale'a niż jej, z czasem zostali przyjaciółmi.

- Będę tego żałowała do końca życia - oznajmiła smętnie. - Za to ta mała ruda z Dakoty będzie miała co wspominać. - Uśmiechnęła się kpiąco.

Dale zmrużył oczy.

- Czy ktoś ci już kiedyś mówił, że za dużo widzisz?

- Wszyscy. Ciągle. Który stół mam dzisiaj?

- Dwójkę. - Wyjął papierosa i patrzył za odchodzącą Sereną. Gdyby rok temu ktoś mu powiedział, że zaprzyjaźni się z dziewczyną, która dała mu kosza, ba, będzie żywił wobec niej braterskie uczucia, odesłałby tego kogoś do psychiatry.

Wzruszył ramionami i wrócił do studiowania grafiku. Żałował, że Serena rezygnuje z pracy, i to nie tylko z powodów osobistych. Poza innymi zaletami, była najlepszą krupierką blackjacka, jaką miał na pokładzie.

W sumie w kasynie było osiem stołów do tej hazardowej gry. Krupierzy wymieniali się przy nich co pół godziny. Zaczynali wczesnym popołudniem i pracowali do drugiej w nocy, z krótką przerwą na kolację. Czasami do trzeciej, jeśli toczyła się ostra gra. Pasażerowie musieli być zadowoleni.

Przy dwójce obok Sereny stanął młody Włoch, który niedawno awansował na krupiera. Serena uśmiechnęła się do niego, pamiętając, o co prosił ją Dale. Miała sprawdzić, jak chłopak sobie radzi w nowej roli.

- Przygotuj się, Tony - powiedziała z uśmiechem, spoglądając ku szklanym drzwiom, za którymi czekali już pierwsi amatorzy hazardu. - To będzie długa noc. - W dodatku cały czas na nogach, pomyślała.

Gdy Dale dał sygnał, by otwarto drzwi, tłum pasażerów wypełnił salę kasyna. Pierwszego dnia zawsze napływali tłumem, nigdy pojedynczo. Ubrani byli wakacyjnie, w dżinsy, szorty, niektórzy bosy. Serena potrafiła już rozróżnić „hazardzistów”, „graczy” i „gapiów”. Byli tacy, których noga nigdy wcześniej nie powstała w kasynie. Ci, przywabieni gwarem, zwykle zwiedzali najpierw salę, przyglądali się ciekawie stołom i automatom do gry, wreszcie wymieniali niewielkie kwoty na sztony.

Byli tacy, którzy traktowali grę jak dobrą zabawę i nie dbali o to, czy wygryają, czy przegryają. Dla nich liczyła się sama gra.

Byli wreszcie nałogowcy. Artyści i obsesjonaci hazardu, którzy cały rejs potrafili spędzić w kasynie. Nie mieli żadnych wspólnych cech. Hazardować się mogła miła starsza pani z małego miasteczka na zapadłej prowincji i szef wielkiej agencji reklamowej z Madison Avenue. Serena rozpoznawała ich, dopiero kiedy siadali do gry. Uśmiechnęła się do pięciu osób, które wybrały jej stół, i rozpieczerowała cztery talie.

- Witamy na pokładzie. - Zaczęła tasować karty.

Wystarczyła godzina, by kasyno spowiła atmosfera hazardu. To ona przyciągała ludzi. Kusiła, jak kusił brzęk monet sypiących się z automatów.

Serena nigdy nie grała na automatach, może dlatego, że wyczuwała w sobie hazardzistkę i wolała nie ryzykować.

Co pół godziny zmieniała stół, potem przerwa na kolację i znowu to samo. Po zachodzie słońca tłum w kasynie zgęstniał, zaczęły przeważać stroje wieczorowe, jakby o tej porze gra wymagała bardziej uroczystej oprawy.

Gracze się zmieniali, zmieniała się karta. Serena nigdy się nie nudziła. Wybrała tę pracę, bo poznawała tu przeróżnych ludzi, nie tylko zamożnych, wśród których dotąd przebywała. W tej chwili miała przy stole Teksąńczyka, dwoje nowojorczyków, Koreańczyka i jakiegoś pana z Georgii. Pochodzenie Koreańczyka rzucało się w oczy, resztę towarzystwa zidentyfikowała po akcencie. To była jej zabawa, rozpoznawanie gości.

Serena sięgnęła po kartę i poprzestała na osiemnastu. Nowojorczyk zagrał, mruknął niezadowolony i pokręcił głową, że czeka. Koreańczyk zebrał dwadzieścia dwa i wstał od stołu. Szczupła blondynka z Nowego Jorku w małej czarnej czekała z damą i dziewiątką. Dżentelmen z Georgii dobrał kartę. Miał osiemnaście, czekał.

Teksąńczyk zastanawiał się. Miał czternaście. Serena pokazała ósemkę - za dużo. Poprosił o następną kartę. Serena odkryła dziewiątkę - jeszcze gorzej.

- Skarbie. - Nachylił się ku niej. - Jesteś za ładna, żeby tak ogrywać ludzi.

- Przykro mi. - Z uśmiechem odsłoniła swoją kartę. - Osiemnaście - oznajmiła przed rozpoczęciem obstawiania.

Najpierw zobaczyła banknot studolarowy, dopiero potem zdała sobie sprawę, że ktoś zajął miejsce Koreańczyka. Podniosła wzrok i dostrzegła zielone oczy, chłodne, bezdenne, spoglądające prosto na nią. Z bursztynową obwódką wokół tęczówki. Przeszedł ją lodowaty dreszcz, ale nie odwróciła wzroku.

Miał twarz arystokraty, ale w jego żyłach z pewnością nie płynęła błękitna krew, Serena była tego niemal pewna. Może świadczyła o tym linia ust, a może mocno zarysowane czarne brwi. Nie wiedziała, odczucie było zupełnie irracjonalne, właściwie bardziej ostrzeżenie niż odczucie: „Uważaj, masz do czynienia z kimś potężnym, ale pozbawionym arystokratycznej subtelności. Z człowiekiem bezwzględny, który zmierza prosto do celu i zawsze wygrywa”. Miał długie czarne włosy kładące się miękko na kołnierzyku koszuli. Twarz ciemna, ale raczej ogorzała niż opalona w czasie kąpieli słonecznych, jak u Dale'a. W przeciwieństwie do nonszalanckiego Tekszańczyka i zahukanego prowincjusza z Georgii, przyjął czujną postawę kota gotowego do skoku. Dopiero kiedy uniósł lekko jedną brew, Serena uświadomiła sobie, że gapi się na niego wbrew wszelkim zasadom dobrego wychowania.

- Sto - powiedziała, przytomniejąc, i wymieniła studolarowy banknot na sztony, odczekała, aż gracze obstawią grę i rozdała karty.

Nowojorczyk spojrział na dziesiątkę, którą odkryła Serena, i dobrał do czternastu. Przegrał. Nowy gracz czekał z piętnastoma. Grał w milczeniu, pałac długie, cienkie cygaro. Na pewno był hazardzistą.

Nazywał się Justin Blade. Jego przodkowie polowali z łukiem. W pewnym sensie był arystokratą, Komanczem z domieszką krwi skromnych francuskich imigrantów i walijskich górników.

Nie wiedział, co to zahamowania. W młodości zaznał biedy, ale teraz nosił koszule z najlepszego jedwabiu. Bogactwo stało się dla niego tak oczywiste, że nawet go nie zauważał. Po raz pierwszy wygrał pieniądze, kiedy miał piętnaście lat, przy stole bilardowym. Z czasem przerzucił się na wytworniejsze gry. Tak, był hazardzistą, ale takim, który doskonale potrafił oceniać własne szanse.

Zajrzał do kasyna, żeby spędzić kilka godzin przy stole, wyłącznie dla odprężenia. Mógł sobie pozwolić na przegraną. I wtedy zobaczył ją, jasnowłosą dziewczynę w smokingu. Jej gesty, sposób, w jaki trzymała głowę, cała jej postawa mówiły o dobrym pochodzeniu. Ale było w niej coś jeszcze: jakaś siła magnetyczna, która sprawiała, że mężczyźni musieli za nią szaleć.

Justin patrzył na jej dłonie, szczupłe, delikatne, o długich palcach i zadbanych paznokciach pokrytych bezbarwnym lakierem. Jaka to musiała być rozkosz poczuć te palce na własnej skórze!

Spojrzał jej prosto w twarz. Serena lekko się zachmurzyła, ale wytrzymała spojrzenie. Dlaczego ten milczący człowiek jednocześnie irytował ją i ciekawił? Od momentu, gdy usiadł przy stole, nie odezwał się ani słowem ani do niej, ani do pozostałych graczy. Wygrywał z wprawą profesjonalisty, ale nie sprawiało mu to widocznej satysfakcji, jakby w ogóle nie brał udziału w grze. I nie

przestawał przyglądać się Serenie spokojnym, chłodnym wzrokiem.

- Piętnaście - powiedziała Serena, wskazując jego karty.

Skinął, że dobiera, a kiedy pojawiła się szóstka, przyjął ją z kamienną twarzą.

- Ależ masz szczęście, synu - dobrodusznie sapnął Teksańczyk i zaraz się skrzywił, widząc nędzne resztki swoich sztonów. - Nie to co ja. Ale nic tam, miło, że komuś karta idzie. - Znowu biedak przegrał z dwudziestoma dwoma na rękę.

Serena zebrała dwadzieścia dla domu i przesuwała w stronę nowego gracza dwa sztony po dwadzieścia pięć dolarów. Wyciągnął dłoń i ich palce na moment się spotkały. Serena poderwała głowę. Leciutkie dotknięcie, a wrażenie było tak potężne, jakby przywarli do siebie całym ciałem. Powoli cofnęła dłoń i powiedziała spokojnie:

- Nowy krupier. - Jej pół godziny właśnie dobiegło końca. - Życzę miłego wieczoru. - Odeszła, przysięgając sobie, że się nie obejrzy, ale oczywiście odwróciła głowę i zobaczyła utkwione w sobie zielone oczy.

Zirytowana wzruszyła ramiona i zobaczyła, jak na ustach zielonookiego pojawia się nieznacznym uśmiech. Jakby przyjmował wyzwanie wyczytane w jej twarzy. Serena odwróciła się do niego plecami.

- Dobry wieczór - przywitała graczy przy nowym stole.

Księżyc ciągle stał wysoko, kładąc srebrne refleksy na wodzie. Było po drugiej, na pokładzie

nikogo. Serena lubiła tę porę. Pasażerowie już spali, załoga, poza wachtą na mostku i w maszynowni, miała jeszcze kilka godzin do podjęcia pierwszych porannych obowiązków. A ona, sam na sam z morzem, mogła popuszczać wodze fantazji.

Wciągnęła głęboko słone powietrze. O świcie zawiną do Nassau. W porcie kasyno jak zwykle będzie zamknięte, miała więc dzień dla siebie, ale wolała noc.

Wracała myślami do milczącego gracza. Należał do mężczyzn, którzy pociągają kobiety, ale nie zdziwiłaby się, gdyby okazało się, że jest sam. Sprawia wrażenie samotnika, rozmyślała, wystawiając twarz do wiatru. Intrygujący. I atrakcyjny. A przy tym niebezpieczny.

Lubiła niebezpieczeństwo. Miała je we krwi. Ryzyko można wyliczyć, skalkulować straty i zyski, a jednak... Coś jej mówiło, że w przypadku zielonookiego arytmetyka musi zawieść.

- Lubi pani noc.

Serena zacisnęła dłonie na relingu. Nigdy nie słyszała jeszcze jego głosu, nie słyszała też, jak się zbliża, ale doskonale wiedziała, kto stoi za jej plecami. Z trudem powstrzymała się przed gwałtownym ruchem czy okrzykiem, tylko serce waliło jej jak młotem, kiedy zielonooki wynurzył się z mroku i stanął obok niej.

- Do końca dopisywało panu szczęście? - zapytała, siląc się na spokój.

Justin nie spuszczał z niej oczu.

- Na to wygląda.

Mówił czysto, bez lokalnych naleciałości, dlatego nie potrafiła powiedzieć, skąd pochodzi.

- Jest pan bardzo dobry. Rzadko mamy w kasynie profesjonalistów.

W jego oczach błysnęły iskierki rozbawienia, po czym wyciągnął cienkie cygaro i zapalił. Serena powoli rozluźniła palce zaciśnięte na relingu.

- Dobrze się pan czuje na statku?

- Lepiej, niż się spodziewałem. - Zaciągnął się cygarem. - A pani?

- Ja tu pracuję, nie płynę dla przyjemności.

Justin oparł się o reling.

- To żadna odpowiedź, Sereno.

Przeczytał jej imię na identyfikatorze.

- Owszem, dobrze się czuję na statku - powiedziała. - Panie...

- Błade. Justin Blade. Zapamiętaj. - Przesunął palcem po jej brodzie.

Miała ochotę cofnąć się gwałtownie, ale zmierzyla go tylko chłodnym spojrzeniem.

- Mam dobrą pamięć.

Uśmiechnął się nieznacznie i skinął głową.

- Dlatego jesteś dobrą krupierką. Od dawna pracujesz w kasynie?

- Od roku.

Rzucił cygaro i zgasił je butem.

- Myślałem, że dłużej - przyznał zaskoczony.

- Świetnie rozgrywasz. - Ujął jej rękę i odwrócił wnętrzem do góry. Delikatna i pewna dłoń. Ciekawe połączenie, pomyślał. - Czym zajmowałaś się wcześniej?

Chociaż rozum podpowiadał jej, że powinna przerwać rozmowę, nie cofnęła dłoni. Wyczuwała w dotyku Blade'a siłę i zręczność, choć nie

potrafiła powiedzieć, co te cechy tak naprawdę mogą oznaczać.

- Studiowałam.

- Co?

- Różne rzeczy. To, co mnie interesowało.

A pan czym się zajmuje?

- Różnymi rzeczami. Tym, co mnie interesuje.
Serena zaśmiała się.

- Można to wziąć dosłownie, panie Blade.

- Chciała cofnąć dłoń, ale zacisnął mocniej palce.

- Można - mruknął. - Mów mi Justin, Sereno.

- Omiótł wzrokiem pusty pokład, nocne morze.

- To nie miejsce na kurtuazje.

Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że należy postępować z rozwagą, ale nie mogła odmówić sobie drobnej prowokacji.

- W kontaktach z pasażerami obowiązuje nas regulamin, panie Blade - powiedziała chłodno.

- Proszę puścić moją rękę.

Gdy uśmiechnął się, w jego oczach zabłyśły srebrne refleksy księżycowego światła.

- Za chwilę. - Podniósł dłoń Sereny do ust i ucałował jej wnętrze. - Biorę zawsze to, co chcę.

- Nie tym razem - odparła ze złością, nie czując nawet, że ma przyspieszony oddech. Ten głos, słodki jak miód, te błyszczące w poświacie księżycy kocie oczy... - Późno już. Wracam do kabiny.

Justin, zamiast ją puścić, uniósł rękę, wyciągnął spinki z jej włosów i wyrzucił do morza.

Serena osłupiała na tę bezczelną poufałość.

- Owszem, późno. - Zanurzył palce w złotych lokach. - Ale ty jesteś kobietą nocy. Tak właśnie pomyślałem, kiedy tylko cię zobaczyłem. - Jed-

nym zręcznym ruchem przyparł Serenę do relingu. Wiatr rozwiewał jej włosy, jasna skóra połyskiwała w poświacie księżycy niczym marmur. Justin poczuł, że nie potrafi się oprzeć temu pięknu.

- Chce pan wiedzieć, co o nim myślę? — sarknęła. - Otóż myślę, że jest pan bezczelnym natrętem.

Zaśmiał się, wyraźnie rozbawiony.

- Zapewne oboje nie pomyliliśmy się w ocenie. Zaintrygowałaś mnie tak bardzo, że nie mogłem skupić się na grze.

Serena stała nieruchomo, tylko włosy targane wiatrem tańczyły wokół jej twarzy. Wysunęła brodę, w oczach pojawiło się wyzwanie.

- Wielka szkoda - powiedziała cicho i zacisnęła dłoń w pięść. Nie szkodzi, że facet jest pasażerem. Bracia nauczyli ją skutecznych ciosów, właśnie na taką okoliczność.

- Rzadko się zdarza, by coś przeszkadzało mi w koncentracji. - Nachylił się bliżej i Serena napięła mięśnie. - Masz oczy czarownicy. A ja jestem bardzo przesądny.

- Na pewno bezczelny, wątpię, czy przesądny - poprawiła go.

Uśmiechnął się i zbliżył twarz do jej twarzy.

- Wierzysz w szczęśliwe przypadki, Sereno?

- Tak. - I w celne ciosy, dodała w duchu. Poczulią jego palce na karku, bezwiednie rozchyliła usta, jakby zapraszała go do pocałunku, jednocześnie odchyliła się i wymierzyła cios w żołądek, ale zanim pięść zdążyła trafić w splot słoneczny, Justin błyskawicznym ruchem chwycił ją za nadgarstek.

- Oczy cię zdradziły. Musisz jeszcze poćwiczyć - powiedział ze śmiechem.

- Jeśli mnie pan natychmiast nie puści, to...
- Zanim zdążyła skończyć zdanie, musnął jej wargi. Nie był to pocałunek, raczej obietnica, zapowiedź pocałunku.

- Co? - szepnął, dotykając znowu jej ust. Czuł, jak krew tętni mu w skroniach. Chciał miażdżyć te wilgotne usta pocałunkami i chciał je powoli smakować. Jedno i drugie, dwa sprzeczne pragnienia. Serena pachniała morzem i słońcem. Kiedy nie odpowiedziała na pytanie, przesunął językiem po jej wargach, jakby próbował zapamiętać w ten sposób ich kształt, ich smak.

Czekał.

Serenę ogarnęło obezwładniające, rozkoszne uczucie. Powieki same się zamknęły, napięte mięśnie rozluźniły. Po raz pierwszy, od kiedy sięgała pamięcią, nie myślała o niczym. Umysł przestał pracować, był jak biała karta, na której Justin mógł wypisać, co tylko zechciał.

Miał delikatne usta, jak jedwab. Wymówił jej imię w taki sposób, w jaki jeszcze nikt nigdy go nie wymówił. Zrezygnowała z wszelkiego oporu. Zarzuciła mu ręce na szyję i odchyliła lekko głowę w zaproszeniu.

- Otwórz oczy - poprosił. - Patrz na mnie, kiedy będziemy się całować.

Serena uniosła powieki. Namiętność, pożądanie, rozkosz, wszystkie te uczucia eksplodowały w jednym gwałtownym wybuchu. Jak przez mgłę uświadamiała sobie, że ten człowiek jest w stanie dotrzeć do najgłębszych zakamarków jej duszy, obnażyć je bez najmniejszego wysiłku.

Obcy człowiek, którego nie znała, o którym nic

nie wiedziała. Przerażona próbowała się uwolnić, ale on trzymał ją w mocnym uścisku. Miał rację, mówiąc, że zawsze bierze to, co chce, nie pytając o zgodę.

Kiedy wreszcie uwolnił ją z objęć, jeszcze przez chwilę nie mogła złapać tchu, a on stał bez ruchu i przyglądał się jej spokojnie, w milczeniu.

- Podrywanie członków załogi nie jest wliczone w cenę biletu - powiedziała ze złością.

- Są rzeczy, które nie mają ceny, Sereno.

Coś w tonie jego głosu sprawiło, że zadrżała. Jakby wycisnął na niej swoje piętno, którego nie pozbędzie się łatwo.

Cofnęła się o kilka kroków.

- Proszę trzymać się ode mnie z daleka - rzuciła ostro.

Nie zamierzała, nawet teraz, mówić mu po imieniu, spoufalać się z tym człowiekiem.

Justin oparł się znowu o reling, nie spuszczał z niej wzroku.

- Nie - odparł spokojnie. - Teraz ja rozdaje karty, a ten, kto rozdaje, jest górą.

- Nie zamierzam grać - syknęła, po czym odwróciła się i zbiegła na pokład o poziom niżej.

- Może pan o mnie zapomnieć.

Justin wsunął powoli dłoń do kieszeni i uśmiechnął się.

- Ani myślę - mruknął do siebie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Serena włożyła szorty khaki, odnalazła sandały. Obliczała, że ci, którzy mieli zejść na ląd, już zeszli. Nie będzie musiała przeciskać się w tłumie ruszającym na zwiedzanie miasta, oganiać od natrętnych przewodników i taksówkarzy czekających na nabrzeżu. Był to jej ostatni rejs i sama miała ochotę zabawić się w turystkę, kupić upominki dla rodziny. Zapięła sandały, zarzuciła torbę na ramię. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zaproponować któremuś z kolegów z kasyna wspólnego wyjścia do miasta, ale szybko odrzuciła ten pomysł. Miała paskudny humor i albo musiałaby silić się na wesołość, albo wyjaśniać, skąd ten zły nastrój.

Nie zamierzała rozmawiać z nikiem o zielonokim draniu. Nie tylko rozmawiać, dodała w duchu, naciskając na głowę tenisową czapkę khaki, nie chciała nawet o nim myśleć: o jego zimnych oczach, pozbawionych uśmiechu ustach i skandalicznie urodziwej twarzy.

A jednak myśli o nim, stwierdziła ze złością i wpadła w jeszcze gorszy humor. Zostało tylko

dziewięć dni, próbowała się pocieszać. Dziewięć dni to przecież nic, jakoś przetrwa ten czas.

Przypomniała sobie pewnego akwizytora z Detroit, który prześladował ją ostatniej wiosny. Kiedyś zszedł nawet za nią do pomieszczeń dla załogi i nalegał, żeby wpuściła go do kabiny. Odczepił się, kiedy mu powiedziała, że jej kochankiem jest pierwszy mechanik, krewki Włoch o bicepsach jak ze stali. Uśmiechnęła się, ale uśmiech natychmiast znikł z jej twarzy, bo jakoś nie mogła uwierzyć, by ta taktyka zadziałała w przypadku Justina Blade'a.

Przy trapie stało dwóch mężczyzn zajętych sprzeczką. Wachtowy w nieskazitelnie białym mundurze i Jack, opiekun rejsu, drobny, jasnowłosy Anglik o niespożytej energii, ubrany jak do zejścia na ląd, swoim zwyczajem i jak zwykle bez wielkiego przekonania, o coś się kłócili.

Mrugnęła do Anglika i stanęła między oponentami.

- Kto wpadł na pomysł, żeby postawić was razem przy trapie? - westchnęła z udaną rezygnacją. - Znowu będę musiała bawić się w rozjemczynię. O co tym razem wam poszło?

- Rob twierdzi, że pani Dewalter to bogata wdowa - zaczął Jack. - A ja mówię, że to rozwódka.

- Wdowa - upierał się wachtowy, zakładając ręce na piersi. - Piękna, bogata wdowa.

- Pani Dewalter...

- Wysoka - odpowiedział usłużnie Jack.

- Krótkie, świetnie ostrzyżone rude włosy.

- Świetnie? E tam.

- Nie znasz się - uciął Jack i zwrócił się do Sereny: - Chłopięca sylwetka.

- Już kojarzę. - Wreszcie przypomniała sobie kobietę, którą widziała wieczorem w kasynie. - Wdowa czy rozwódka, tak? A nosi coś na palcach?

- Właśnie - podchwycił Rob z satysfakcją. - Nosi. Rozwódka by nie nosiła. A wdowy noszą - rozwijał teorię dotyczącą związku biżuterii ze stanem cywilnym.

- Zaraz, zaraz -przerwała mu Serena. - Co nosi na palcach? Obrączkę? A może typowy pierścionek zaręczynowy z brylantem?

- Kamień wielki jak gęsie jajo - oznajmił Jack triumfalnie, choć teoria biżuterii jego autorstwa najwyraźniej rozwijała się w coraz bardziej absurdalnym kierunku. - Bogata wdowa.

- Rozwódka - rozsądziła Serena. - Wybacz, Jack, ale nie przekonasz mnie, że ktoś nosi na palcu gęsie jajo z powodów sentymentalnych. - Poklepała wachtowego po policzku. - A teraz pozwolicie, że zejść na ląd.

- A idź - fuknął Rob, urażony jej gestem, jakby był małolatem, a miał już dwudziestkę na karku. - I kup se słomianą matę na pamiętkę.

- Taki właśnie mam zamiar. - Ze śmiechem zbiegła po trapie.

Była piękna słoneczna pogoda, powietrze balsamiczne. Serena pomyślała, że dzień spędzony w jednym z najładniejszych miejsc na Bahamach może okazać się całkiem przyjemny.

- Trzy dolary za jeden - odezwał się ciemnoskóry chłopak stojący na kei i podsunął Serenie pod

nos kilka naszyjników z muszelek. Jego kolega, zamiast pomagać w handlu, wolał podrygiwać w rytm reggae z radia tranzystorowego.

- Trzy dolary? To rozbój w biały dzień - powiedziała Serena, a chłopak uśmiechnął się szeroko, widząc, że trafił na osobę, która kuma, o co biega.

- Dolar za sztukę, to wszystko.

- Pani oddałbym naszyjnik nawet za uśmiech, ale nie miałbym po co wracać do domu.

Serena uniosła brwi.

- Jasne, na pierwszy rzut oka widać, że jesteś z patologicznej rodziny. Dolar i ćwierć.

- Dwa pięćdziesiąt. Sam wyławiałem muszelki, a potem nawlekałem je przy świetle świecy.

Parsknęła śmiechem.

- Nie zapomnij dodać, że omal nie pożarło cię stado rekinów.

- Po pierwsze rekiny nie występują w stadach, po drugie nie występują w ogóle w pobliżu naszej wyspy - wyjaśnił z godnością młody producent naszyjników. - Dwa papiery amerykańskie.

- Półtora, i to tylko dlatego, że doceniam twój talent negocjatora.

Wyjęła pieniądze z portfela i wręczyła je początkującemu biznesmenowi.

- Niech będzie. Dla pani gotów jestem zostać ofiarą przemocy w rodzinie.

Wybrała naszyjnik, a potem dodała jeszcze dwadzieścia pięć centów na „fundusz pomocy ofiarom przemocy w rodzinie”.

- Zdzierca - mruknęła, kiedy chłopak uśmiechnął się triumfalnie. Zrzuciła torbę na ramię,

ruszyła rażno przed siebie i wtedy go zobaczyła. Nie była wcale zaskoczona. Widziała go już wcześniej, tylko jej świadomość nie chciała odnotować zarejestrowanego obrazu. Miał na sobie beżowy T-shirt i obcięte powyżej kolan džinsy, ale mimo ostrego słońca nie założył ciemnych okularów ani żadnej czapki z daszkiem.

Właśnie się zastanawiała, jak minąć go obojętnie, kiedy podszedł do niej. Poruszał się lekko, z gracją człowieka przyzwyczajonego raczej do stapania po żywej ziemi niż asfalcie.

- Dzień dobry - powiedział takim tonem, jakby byli umówieni.

- Dzień dobry - przywitała go lodowato. - Nie pojechał pan na wycieczkę? Było kilka do wyboru.

- Nie lubię stadnego zwiedzania pod wodzą przewodnika. - Szedł obok Sereny.

Tłumiąc narastającą wściekłość, pospieszyła z uprzejmym wyjaśnieniem:

- Niesłusznie. Są tak pomyślane, by można było zobaczyć możliwie najwięcej przez tych kilka godzin, kiedy stoimy w porcie.

- Byłaś tu już, możesz pokazać mi to, co uważasz za godne uwagi - odparł beztrasko.

- Mam wolne - prychnęła. - I wybieram się na zakupy. Proszę zostawić mnie w spokoju i nie psuć mi dnia - powiedziała wprost. - Zamierzam spędzić miło czas.

- To zupełnie jak ja - ucieszył się Justin.

- Sama - dodała z naciskiem.

Justin zatrzymał się.

- Nie słyszałaś, że na obcej ziemi Amerykanie powinni trzymać się razem?

- Nie - burknęła, powściągając ogromnym wysiłkiem wołi uśmiech.

- Wynajmijmy powozik, to wyjaśnię ci to po drodze.

- Idę na zakupy.

- W czasie przejażdżki będziesz mogła się zastanowić, co chcesz kupić.

- Czy ty rozumiesz, że „nie” może naprawdę znaczyć „nie”?

Nie od razu odpowiedział, jakby musiał głęboko przemyśleć pytanie.

- Nie sędzę.

- I na tym polega twój problem - stwierdziła nieugiętym tonem.

- Zróbmy tak, orzeł, jedziemy na przejażdżkę, reszka, idziesz na zakupy. - Justin wyjął monetę z kieszeni.

- Pewnie ma dwa orły. - Łypnęła podejrzliwie na ćwierćdolarówkę.

- Nigdy nie oszukuję. - Pokazał jej monetę z obu stron.

Mogła wzruszyć ramionami i po prostu odejść, ale skinęła głową, że się zgadza.

Justin rzucił monetę i wprawnym ruchem chwycił ją w powietrzu na grzbiet dłoni. Orzeł. Serena widziała, że tak właśnie będzie.

- Nigdy się nie zakładaj - mruknęła pod nosem, wsiadając do powoziku.

Miała zamiar zachowywać pełne godności milczenie, ale po pół minucie zarzuciła ten pomysł. W końcu wsiadła do powoziku z własnej woli. Położyła torbę na podłodze i spojrzała na Justina.

- Co ty tu właściwie robisz?

Położył rękę na oparciu siedzenia i zaczął bawić się jej włosami.

- Zązywam miłej przejażdżki.

- To nie najmądrzejsza odpowiedź, Justinie. Uparłeś się, żebym ci towarzyszyła i towarzyszę. Chyba żebym podniosła krzyk i wyskoczyła z poyozu.

Spojrzął na nią najpierw z zaciekawieniem, potem z uznaniem. Naprawdę gotowa byłaby to zrobić. Położył dłoń na jej karku.

- Co chcesz wiedzieć?

- Pytam, co robisz na Celebration. - Odsunęła się, choć dotyk palców Justina wcale nie był niemiły, wręcz przeciwnie. - Nie wyglądasz na kogoś, kto dla wypoczynku wybiera się na rejs wycieczkowy po Karaibach.

- Przyjaciół poradził, żebym popłynęła. Potrzebowałem oddechu, przekonał mnie. - Znów dotknęła jej karku. - A ty co robisz na Celebration?

- Rozgrywam blackjacka.

Justin uniósł brwi.

- Dlaczego?

- Potrzebowałam oddechu. - Uśmiechnęła się wbrew woli.

Dorożkarz zaczął opowiadać o urokach wyspy, ale szybko się zorientował, że zajęci sobą pasażerowie go nie słuchają i zamilkł.

- Skąd jesteś? - zapytała, szukając punktu zaczepienia. - Zwykle udaje mi się umiejscowić ludzi po akcencie, a ciebie nie potrafię.

Uśmiechnął się enigmatycznie.

- Podróżuję.

- Skądś jednak musiałeś wyruszyć.

- Z Nevady.
- Vegas. - Pokiwała głową. - Dobre miejsce dla ludzi z odpowiednią żyłką. - Justin wzruszył tylko ramionami. - Właśnie tak zarabiasz na życie? Hazardem?

Spojrzał jej w oczy.

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Wczoraj przy stole było dwóch hazardzistów, ty i ten facet z Georgii, tylko że ty jesteś profesjonalistą, a on raczej nałogowcem.

- A reszta? - zainteresował się Justin.

- Och, Teksańczyk po prostu lubi zagrać, to wszystko. Tej blondynce z Nowego Jorku wydaje się, że jest hazardzistką. - Uśmiechnęła się. Lekkie kołysanie powoziku działało relaksująco. - Nie potrafi jednak zapamiętać, jakie karty były w grze, nie umie obliczyć swoich szans, zaplanować strategii. Jeśli wygrywa, to przez czysty przypadek. Facet z Nowego Jorku pamięta karty, ale nie umie obstawiać. Ty podczas rozgrywki jesteś bardzo skupiony, jak prawdziwy hazardzista.

- Bardzo interesująca teoria. - Zsunął jej nieco okulary, by widzieć oczy. - A ty grasz, Sereno?

- Zależy w co i zależy, jakie mam szanse.

- Poprawiła okulary. - Nie lubię przegrywać. - Doskonale wiedziała, że nie mówią już o kartach, tylko o znacznie niebezpieczniejszej grze.

Odchylił się wygodnie i wskazał z uśmiechem na prawo.

- Mają tu piękne plaże.

- Mhm.

Dryndziarz, jakby wiedziony intuicją, zaczął od

nowa swój monolog i nie zamilkł już do końca przejażdżki.

Ulice pełne były ludzi, w większości turystów z torbami zakupów, obwieszonych kamerami i aparatami fotograficznymi.

- Dziękuję za przejażdżkę. - Serena chciała wsiąść, ale Justin chwycił ją w pól, a ona oparła mu dłonie na ramionach dla utrzymania równowagi. Przez chwilę trwała tak w powietrzu, dopóki nie postawił jej na ziemi.

Był zdumiony, że jest taka lekka, właściwie dopiero teraz dostrzegł, że jest niewysoka, drobna, wcześniej tego nie zauważył, oczarowany jej urodą, klasą i emanującym od niej seksem.

- Dziękuję - powtórzyła i odchrząknęła. - Miłego dnia.

- Zrobię wszystko, żeby był miły. - Ujął jej dłoń.

- Justin... - Wzięła głęboki oddech. Powinna być stanowcza. Musi panować nad sytuacją. - Zgodziłam się na przejażdżkę, teraz idę na zakupy.

- Świetnie. Pójdę z tobą.

- Szukam prezentów. T-shirty, szkatułki plecione ze słomy... znudzi cię to.

- Ja nigdy się nie nudzę.

- Tym razem będziesz się nudził. Masz to zagwarantowane - obiecała i ruszyli, trzymając się za ręce.

- Co powiesz na popielniczkę z napisem „Pamiątka z Nassau”? - zagadnął Justin niewinnie.

Omam nie parsknęła śmiechem.

- Wejdę tu - powiedziała przed pierwszym napotkanym sklepem. Zamierzała odwiedzić każ-

dy sklep na Bay Street, dopóki Justin nie będzie miał dość.

Kupiła całą kolekcję breloczków do kluczy, kilka kasetek oklejanych muszelkami, imponujący asortyment T-shirtów, zapominając w końcu, że chciała się pozbyć Justina. Bawił ją, doprowadzał do śmiechu. Była to najsubtelniejsza forma uwodzenia. Jak na samotnika, a takim go widziała, był wyjątkowo sympatycznym kompanem. Przestała się na niego boczyć i uważać na każde wypowiedziane przez niego słowo, na każdy gest.

- Popatrz! - Wzięła do ręki skorupę kokosa zamienioną w głowę roześmianego wesołka.

- Bardzo wyrafinowany prezent - stwierdził z kamienną powagą.

- Zupełnie absurdalny. - Serena wyciągnęła portfel. - W sam raz dla mojego brata. Caine też jest absurdalny. Nie zawsze - dodała uśmiechem - ale jest.

Na bazarze wypatrzyła ogromną plecioną torbę ze słomy.

- Jest taka duża, że sama mogłabyś się w niej zmieścić - zażartował Justin.

- To dla mamy. Ciagle robi coś na drutach, przyda się jej taki podręczny magazynek.

- Ręczna robota - oznajmiła właścicielka straganu. - Sama plotłam - dodała z dumą. - U mnie nie znajdzie pani tandety z Hongkongu. Żadnych podróbek.

- Piękna rzecz - przytaknęła Serena z podziwem, choć bardziej niż sam wyrób interesowała ją pykająca fajeczkę, ciemnoskóra artystka.

- A pan... - zagadnęła utalentowana dama,

wachlując się wachlarzem z liści palmowych - kupił już pan coś swojej pani?

- Nie, jeszcze nie. Co by pani proponowała?

- Justin... - zaczęła protestować Serena.

- Może to. - Dama nachyliła się i wyciągnęła spod lady kremową tunikę ozdobioną na dole wielobarwnym haftem. - To będzie doskonałe. Proszę spojrzeć na ten fiolet, zupełnie jak oczy pani.

- Niebieskie... Ja nie... - próbowała wtrącić Serena.

- Zobaczmy. - Przyłożył jej tunikę do ramion.

- Weź ją, proszę..

- Niech ją pani włoży dzisiaj wieczorem dla swojego mężczyzny - doradziła dama, pakując tunikę. - Bardzo seksowna.

- Świetny pomysł - ucieszył się Justin, odliczając banknoty.

- Zaraz, zaraz - zaprotestowała Serena. - On nie jest moim mężczyzną.

- Nie jest twoim mężczyzną? - Dama zaniósła się serdecznym śmiechem, który wprawił bujak w rytmiczny ruch. - Nie oszukasz siódmej córki siódmej córki, skarbie. Nie żartuj. Torbę też bierzesz?

- Ja... - Serena wpatrywała się tępo w torbę, usiłując odgadnąć, jakim sposobem znalazła się w jej dłoni.

- Tak, torba też. - Justin odliczył kilka kolejnych banknotów. - Dziękujemy.

Dama schowała pieniądze.

- Miłego pobytu na wyspie.

- Chwileczkę... - Serena zamierzała twardo stanąć okoniem.

Justin pociągnął ją za rękę.

- Nie będziesz przecież się kłóciła z siódmą córką siódmej córki. Nie wiadomo, jaki urok mogłaby na ciebie rzucić.

- Bzdury - prychnęła, ale obejrzała się, spoglądając niepewnie na bujającą się spokojnie w fotelu damę. - Nie możesz kupować mi ciuchów, Justin. Przecież cię nie znam.

- Właśnie kupiłem.

- Nie powinienesz był. W dodatku zapłaciłeś za torbę dla mamy.

- Kłaniaj się jej ode mnie.

Westchnęła i zmrużyła oczy przed rażącym słońcem.

- Jesteś niemożliwy.

- Widzisz? Już mnie znasz. - Zdjął tkwiące na kapeluszu okulary i wsunął jej na nos. - Głodna?

- Tak. - Jej kąciaki ust drgnęły. Nie mogąc już dłużej udawać zagniewanej, uśmiechnęła się.

- Tak, i to bardzo.

- Co powiesz na piknik na plaży?

Wzruszyła ramionami.

- Jeśli postarasz się o prowiant, zimne napoje i transport, powiem zgoda.

- Coś jeszcze? - Zatrzymał się i oparł o maskę jakiegoś mercedesa.

- To chyba wszystko.

- W takim razie ruszajmy. - Wyjął kluczyki z kieszeni i otworzył drzwi od strony pasażera.

Szeroko otworzyła oczy.

- To twój samochód?

- Wypożyczony. W bagażniku jest chłodziarka. Lubisz kurczaka?

Nie odpowiedziała od razu, lecz kiedy siedzieli już w samochodzie, stwierdziła:

- Nie brakuje ci pewności siebie.
- To nie pewność siebie, raczej wiara, że szczęście będzie mi sprzyjać. - Ujął ją pod brodę i musnął wargami jej usta.

Nie widziała, czy bardziej podziwiać nonszalancie maniery Justina, czy oburzać się na nie.

- Chciałabym wiedzieć, jakie jeszcze karty masz w rękawie - mruknęła, kiedy ruszali.

Prowadził z tą samą beztroską swobodą, z jaką robił wszystko inne, a ruch lewostronny nie narzekał mu żadnych problemów, jakby poruszał się w nim na co dzień.

Jechali drogą wśród drzew migdałowych, minęli winnice z dojrzewającymi gronami, sad pomarańczowy, bogate rezydencje w stylu kolonialnym, jak przystało na wyspę. Justin nie odzywał się. Lubił milczeć, i to jego milczenie ekscytowało Serenę, a zarazem, o dziwo, działało relaksujące. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, natychmiast pojawiła się refleksja, że odprężenie jest jej czymś obcym. Na dobrą sprawę nie potrafiła się relaksować, nie wiedziała, co to takiego.

Zerknęła na Justina. Hazardzista. Znajomy z rejsu. Spotykała wielu jemu podobnych na Celebration, pojawiali się i szybko znikali. Nie przywiązywała żadnej wagi do tych przelotnych spotkań. Jeśli będzie ostrożna, może sobie pozwolić na to, by Justin Blade adorował ją przez kilka następnych dni.

Cóż w tym złego, że ma ochotę poznać go trochę bliżej? Spędzić z nim trochę czasu? Nie zamierzała

się w nim zakochiwać i lać łez po zakończeniu rejsu, kiedy piękny Justin pomaszeruje w siną dal. Do tej pory nikt nie zawrócił jej w głowie, to i teraz nie zawróci.

Posłał jej jedno z tych swoich chłodnych, pozbawionych uśmiechu spojrzeń. Serena poczuła dziwne łaskotanie w gardle i pomyślała, że musi jednak bardzo uważać, niczym saper na polu minowym.

- O czym myślisz? - zapytał.

- O bombach - odparła bez namysłu. - O śmiercionośnych ładunkach wybuchowych. - Uśmiechnęła się szeroko, po czym zagadnęła: - Kiedy się zatrzymamy? Umieram z głodu.

Zjechał na pobocze i wyłączył silnik.

- Może być tutaj?

Omiotła wzrokiem pas białego piasku i błękitny ocean.

- Świetnie. - Gdy wysiadła z samochodu, wciągnęła głęboko w płuca powietrze pachnące solą, kwiatami i rozgrzanym piaskiem. - Rzadko schodzę na ląd. Kiedy statek stoi w porcie, odsypiam albo czytam, czasami opalam się na pokładzie. A przecież tyle razy byłam w Nassau.

- Skoro nie schodzisz na ląd, dlaczego zdecydowałaś się pracować na turystycznym statku? - Justin wyjął z bagażnika chłodziarkę i koc.

- Ze względu na ludzi. Jestem ich ciekawa, a tu można spotkać najróżniejszych. - Zżuła sandały i poczuła gorący piasek pod stopami. - Mamy pięćset osób samej załogi, a tylko dziesięcioro jest Amerykanami. Taki liniowiec to pływające Narody Zjednoczone. Przy moim stole pojawiają

się ludzie ze wszystkich pięciu kontynentów.
- Rozłożyła koc i usiadła na jego brzegu. - Będzie mi tego brakowało.

- To znaczy, że rezygnujesz z pracy? - Justin usiadł obok niej.

Zdjęła kapelusz, odrzuciła włosy do tyłu.

- Już pora. Pobędę trochę z rodziną, zastanowię się, co dalej.

- Masz już jakieś plany?

- Myślałam o hotelu-kasynie. - Zamierzała przedyskutować ten pomysł z ojcem. On będzie wiedział najlepiej, jak się zabrać do realizacji takiego przedsięwzięcia.

- Masz już praktykę - powiedział Justin, przekonany, że Serena zamierza ubiegać się o pracę krupierki na przykład w którymś z wielkich hoteli w Las Vegas. - Jedyna różnica to ta, że będziesz pracować na lądzie. - Coś przyszło mu do głowy, ale postanowił się wstrzymać z wyjawieniem pomysłu. - Gdzie mieszka twoja rodzina?

- Hm? Aaa... w Massachusetts. - Spojrzała na chłodziarkę. - Nakarm mnie. - Kiedy otworzył wieko, rozpoznała statkowe sztucce i serwetki. - Jak to załatwiłeś? Kuchni nie wolno przygotowywać pikników.

- Przekupiłem ich. - Podał Serenie udko.

- Och, jasne. Niepotrzebnie pytałam. Co mamy do picia?

Wyjął termos i dwa plastikowe kubki z logo statku.

- Jak kurczak?

- Świetny. Spróbuj. - Przyjęła kubek napełniony różowym napojem i upiła łyk. - Sok owoc-

wy z rumem, specjalność naszej kuchni. Zwykle tego nie pijam.

- Dzisiaj nie pracujesz, możesz sobie pozwolić na odrobinę alkoholu - powiedział Justin, wyjmując kawałek kurczaka dla siebie.

- Co nie znaczy, że muszę się upić - mruknęła, rozkoszując się słońcem, spokojem i bryzą od oceanu.

- Myślałem, że na plażach będzie więcej ludzi.

- Turyści albo chodzą po sklepach, albo wykupili wycieczki z przewodnikiem, albo bawią się w nurkowanie po drugiej stronie wyspy. W Nassau jest wiele atrakcji poza opalaniem się i kąpielami w oceanie. Poza tym jest po sezonie.

- Mhm. - Patrzył, jak Serena strzepuje piasek z nóg. - Mówisz zupełnie jak nasz dryndziarz.

- Dziwię się, że nie popłynąłeś promem do kasyna na Paradise Island.

- Dziwisz się? - Nachylił się ku Serenie i dotknął jej włosów. - Wolę inną grę.

Gdy ją pocałował, ogarnęło go pożądanie tak potężne, jak jeszcze nigdy w życiu. Tracił rozum, przestawał myśleć, nie poznawał samego siebie. Pragnął jej, chciał czuć jej gorące ciało pod palcami, poznawać je centymetr po centymetrze, aż oboje padną wyczerpani, nie mając sił na więcej.

- Wracajmy na statek, Sereno - szepnął, pieszcząc wargami jej ucho. - Teraz, zaraz. Pójdziemy do mojej kabiny. Pragnę cię.

Jego słowa z trudem docierały do jej mocno zmałowanej świadomości.

- Nie - tchnęła ledwie słyszalnie. - Nie - powtórzyła już wyraźniej, bardziej stanowczo i uwolniła

się z objęć Justina. - Nie - zdecydowanie powtórzyła po raz trzeci, obejmując kolana rękoma.
- Nie masz prawa...

- Nie mam prawa do czego? - Ujął jej twarz w dłonie. - Do tego, żeby cię pragnąć? Do tego, żeby uzmysłwić ci, że ty też mnie pragniesz?

W chłodnych zwykle oczach Justina zabłyśły gniew. Znowy wydał się Serenie bezwzględny i niebezpieczny, jak wczoraj, kiedy usiadł przy jej stole. Odepchnęła jego dłonie.

- Nie będziesz mi mówić, czego pragnę! - odparowała gniewnie. - Jeśli szukasz krótkiej przygody, rozejrzyj się za kimś innym. Nie powinieneś mieć kłopotów. - Podniosła się i ruszyła w stronę oceanu.

Justin też się poderwał, dogonił ją i chwycił za łokieć.

- A ty nie będziesz mi mówiła, czego szukam - rzucił ostrym tonem. - Sama nie wiesz, co robisz. Mogłem wziąć cię tu, na plaży publicznej, w biały dzień.

- Naprawdę? - Odrzuciła głowę do tyłu, wściekła, że usłyszała prawdę. - Skoroś taki pewien swego, dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Lubię prywatność, ale jeśli będziesz napierać, zrobię wyjątek.

- Aha - prychnęła z pogardą, odwróciła się i zrobiła kilka kroków, ale Justin chwycił ją ponownie za łokieć. Był rozwścieczony, widziała to w jego oczach, ale ona była rozwścieczona jeszcze bardziej. Kiedy traciła panowanie nad sobą, to efektownie, z hukiem, do końca i na całego. Kiedy przyciągnął ją do siebie, zakłęta siarczyście.

Justin miał ochotę zmiażdżyć pocałunkiem te ciskające przekleństwa usta. Owładnęła go furia i pożądanie. Z tym drugim wołał jednak nie igrać, wiedząc, jak rzecz może się skończyć. W efekcie Serena wylądowała pupą w wodzie.

- Ty... - zatchnęła się. - Ty bydlaku! - Podniosła się i natarła na niego, chcąc odpłacić pięknym za nadobne, ale Justin jednym chwytem unieruchomił jej dłoń.

Wprost niepojęte, ale szczyrzył zęby w bezczelnym uśmiechu!

- Jesteś piękna, kiedy się złościysz.

Ani trochę nie ochłoneła po zetknięciu z wodą.

- Zapłacisz mi za to, Blade. - Nie mogąc użyć rąk, zaatakowała kolaniem i tym razem oboje wylądowali w wodzie. - Puść mnie, ty durniu - prychnęła, wynurzając głowę. - Nas, MacGregorow, nikt nie śmie znieważać bezkarnie.

Justin, zamiast usłuchać, chwycił ją mocniej i pocałował. Serena zaczęła się szarpać, przyszła następna fala i Justin z największym wysiłkiem obrócił ich oboje w stronę brzegu. Leżeli teraz na mokrym piasku, dysząc jak po ciężkiej walce, obmywani falą przyboju.

- MacGregor? - powtórzył, potrząsając moką głową. - Serena MacGregor?

Odgarnęła włosy przylepione do twarzy.

- Owszem. I jak tylko przypomnę sobie nasze prastare szkockie klątwy, to rzucę na ciebie urok.

Justin zmrużył oczy, przyglądał się jej przez długą chwilę bardzo uważnie, zachichotał, a potem oparł czoło o jej czoło i ryknął głośnym śmiechem.

- Co w tym takiego śmiesznego? - zapytała, zdumiona dziwną reakcją Justina. - Jestem mokra, cała w piasku, w dodatku nie skończyłam lunchu.

Wciąż się śmiejąc, pocałował ją w nos.

- Wyjaśnię ci kiedyś, przy okazji. A teraz opłuczmy się z piachu i dokończmy kurczaka.

ROZDZIAŁ TRZECI

Serena MacGregor. Justin pokręcił głową i wyjął z szafy świeżą koszulę. Dawno nic go tak nie zaskoczyło. Kiedy twoim narzędziem pracy są spryt i refleks, nie możesz sobie pozwalać na taki luksus, by ktoś inny cię zaskoczył.

Dziwne, że nie dostrzegł rodzinnego podobieństwa, ale z drugiej strony Serena nie była zbyt podobna do swojego potężnego, rudowłosego ojca. Prędzej do damy, której portret wisiał w bibliotece Daniela. Ileż to razy w minionych latach Justin odwiedzał Hyannis Port... Jednak Reny, jak nazywała ją rodzina, nie miał okazji spotkać. Uczyła się w szkole z internatem, potem podjęła studia, w każdym razie ilekroć odwiedzał MacGregorów, nie było jej w domu. Nie wiedzieć czemu wyobrażał ją sobie jako chudą okularnicę, która po Danielu wzięła ogniście rude włosy, a po Annie nobliwy, ale i ekscentryczny sposób bycia. Tak, Serena MacGregor kompletnie go zaskoczyła.

Dziwne, że zdecydowała się na taką pracę. Miała iloraz inteligencji większy niż Celebration

wyporność, a rodzinnych pieniędzy tyle, że ojciec mógłby kupić jej liniowiec w prezencie jako zabawkę. Ale MacGregorowie tacy właśnie byli, nieprzewidywalni i uparci, zawsze chadzali swoimi ścieżkami.

Justin stał z koszulą w ręku obok szafy, nagi do pasa, zatopiony we wspomnieniach. Pierwszy raz spotkał Daniela MacGregora przed dziesięciu laty, kiedy sam miał dwadzieścia pięć. Łut szczęścia sprawił, że mógł spłacić współnika i wykupić prowadzony dotąd na spółkę hotelik w Las Vegas. Zamierzał go rozbudować, przerobić, ale nie miał odpowiednich środków. Na kredyt w banku nie mógł liczyć, zresztą z zasady nie ufał bankom, jak i w ogóle wszelkim zobowiązaniom podejmowanym na papierze. Cóż, dawała o sobie znać jego indiańska krew. Wtedy usłyszał o Danielu MacGregorze.

Przeprowadził prywatne rozpoznanie. Z informacji, które zdobył, wyłonił się obraz człowieka twardego, wielkiego finansisty i ekscentryka, który działa wedle własnych zasad i z reguły wygrywa. Justin skontaktował się z nim i po kilku telefonach oraz wymianie korespondencji złożył pierwszą wizytę w Hyannis Port.

Daniel pracował w domu. Nie wierzył w biura, gdzie człowiek uzależniony jest od wind i sekretarek. Wolał swoją ogromną rezydencję z labiryntami korytarzy i pokoi, w której człowiek miał cudowne wrażenie, że wokół nie ma żywej duszy.

- A więc ty jesteś Blade - przywitał Justina, bębniąc palcami w blat biurka.

- A pan jest MacGregor.

Daniel uśmiechnął się.

- W rzeczy samej. Siadaj, mój chłopcze. - Justin mu się spodobał, choćby ze sposobu, w jaki się poruszał, bo Daniel potrafił ocenić człowieka od pierwszego rzutu okiem, po nic nieznaczących, zdawałoby się, drobiazgach. - Mówisz, że chcesz pożyczki...

- Proponuję inwestycję, panie MacGregor - skorygował Justin. Fotel był tak ogromny i tak zaprojektowany, że człowiek powinien się w niego zapaść, poczuć się mały i słaby, tymczasem Justin siedział w nim całkiem swobodnie. Potrafił być jednocześnie rozluźniony i czujny, pasywny i gotów do skoku. - Nieruchomość będzie poręczeniem.

- Mhm... - Daniel złożył dłonie, bacznie obserwując swojego gościa. Chłodny, opanowany, kiedy trzeba zapewne gwałtowny. Czuło się w nim krew Komanczów, krew wojowników. Daniel doceniał to, bo sam pochodził z wojowniczego szkockiego klanu. - Mhm... - mruknął ponownie. - Co jesteś wart, chłopcze?

Justin miał ochotę odparować ostro, ale zmilczał i sięgnął po teczkę, z którą przyszedł.

- Mam tutaj wszystkie papiery, wyceny i tak dalej...

Daniel zaśmiał się i machnął ręką.

- To wszystko zdążyłem sprawdzić, zanim cię tu zaprosiłem. Pytam o ciebie. Powiedz, dlaczego akurat tobie mam pożyczyć pieniądze.

Justin odstawił teczkę.

- Zawsze spłacani swoje długi.

- Nie ostałbyś się długo w biznesie, gdybyś nie spłacał.

- Obiecuję duży zysk.

Daniel zaniósł się śmiechem, aż łzy mu z oczu popłynęły.

- Mam dość pieniędzy, chłopcze.

- Tylko głupiec nie chce mieć więcej - stwierdził Justin spokojnie.

Daniel przestał się śmiać.

Odchylił się w fotelu i kiwnął głową.

- Masz rację, cholera. - Uderzył dłonią w blat biurka. - Masz rację. Ile ci trzeba na załatanie dziur?

- Trzysta pięćdziesiąt tysięcy - odparł Justin, nie mrugnawszy okiem.

Daniel wyjął z biurka butelkę szkockiej i nierozpieczętowaną talię kart.

- Zagrajmy w pokera.

Grali przez godzinę, nie rozmawiając. Jedyne słowa, jakie padły, dotyczyły licytacji. Gdzieś w głębi domu zegar wydzwaniał kolejne kwadransy. Ktoś zapukał do drzwi, ale Daniel krzyknął, że jest zajęty. Zapach cygara Justina mieszał się z zapachem whisky i przejrzałych róż pnących się wokół okna.

- Potrzebujesz akcjonariuszy - powiedział Daniel, kiedy skończyli.

- Właśnie udało mi się uwolnić od wspólnika. - Justin zgniótł niedopałek cygara.

- Jeśli chcesz zrobić pieniądze, musisz wypuścić akcje na rynek, chłopcze. - Daniel odsunął karty, uboższy o półtora tysiąca. - Ktoś, kto gra jak ty, powinien to rozumieć. - Zastanawiał się przez

chwile. - Pożyczę ci pieniądze i kupię pakiet akcji, dziesięć procent. Ty zatrzymaj sześćdziesiąt procent, resztę sprzedaj. - Dokończył whisky i uśmiechnął się szeroko. - Masz głowę na karku, będziesz kiedyś bogaty.

- Wiem.

Daniel znowu zaniósł się tubalnym śmiechem.

- Zostań na kolacji - poprosił, wstając z fotela.

Został na kolacji, stał się też bogaty. Nazwał swój hotel Comanche i uczynił go jednym z najlepszych w Las Vegas. Potem kupił podupadający hotel w Tahoe i powtórzył sukces, co mówi samo za siebie. Po dziesięciu latach był właścicielem pięciu dochodowych hoteli-kasyn, miał też udziały w różnych firmach w kraju i w Europie. W tym okresie mnóstwo razy odwiedzał rezydencję MacGregorów, podejmował Annę i Daniela w swoich hotelach, jeździł na ryby z ich synami. Ale nigdy nie miał okazji zobaczyć Sereny.

- Mądra dziewczyna - mówił czasami Daniel - ale nie chce się ustatkować. Nie spotkała jeszcze swojego faceta. Powinieneś ją poznać.

Justin udawał, że nie rozumie jednoznacznych aluzji Daniela.

- Stary diabeł - mruknął, wkładając koszulę.

To Daniel namówił go na rejs na Celebration.

- Popłynij, odpocznij trochę - nalegał. - Odetchniesz morskim powietrzem, nacieszysz oczy widokiem pięknych dziewczyn w kostiumach kąpielowych.

Chwycił przynętę, kiedy Daniel przysłał mu bilet z prośbą, żeby mu kupić przy okazji skrzynkę dobrej whisky w strefie wolnocłowej.

Udała się sztuczka staremu manipulatorowi, myślał teraz z rozbawieniem. Daniel słusznie przewidział, że Justin zajrzy do kasyna, a resztę pozostawił losowi. Ciekawe, co by powiedział, gdyby dotarło do niego, że przyjaciel i wspólnik w interesach kilka godzin wcześniej usiłował zaciągnąć Serenę do łóżka?

Przezesął włosy palcami. Chciał się przespać z córką Daniela MacGregora. Dobry Boże!

Wyjął marynarkę i zatrzasnął drzwi szafy. Szczwany lis miałby za swoje, gdyby Justin uwiódł mu ukochaną córkę. Lecz teraz powinien unikać Sereny do końca rejsu, a przed Danielem udać, że w ogóle jej nie spotkał. Odpłaci spryciarzowi pięknym za nadobne.

Kiedy wszedł do kasyna, Serena stała koło niewielkiego czarno-białego monitora i rozmawiała z opalonym blondynem, którego Justin zdążył już zidentyfikować jako jej szefa. Zaśmiała się w odpowiedzi na jakąś jego uwagę i pokręciła głową, a Dale dotknął serdecznym gestem jej policzka, po czym poprawił jej muszkę. Justin obserwował z daleka tę scenę i targała nim zazdrość, podłe, małostkowe i bardzo nieprzyjemne uczucie, nad którym nie potrafił zapanować, chociaż zwykle bez trudu panował nad emocjami. Jednak przy Serenie tracił kontrolę. Klnąc w duchu przebiegłego Szkota, podszedł do jego najmłodszej latorośli.

- Witaj, Sereno - zagadnął. - Nie prowadzisz dzisiaj gry?

- Właśnie skończyłam krótką przerwę. - Powinna była wiedzieć, że Justin nie zostawi jej w spokoju. - Nie widziałam cię tu wczoraj wiecz-

rem. Myślałam, że wypadłeś za burzę. - Odwróciła się do osłupiałego Dale'a: - Dale, to Justin Blade. Próbował mnie uwieść na plaży w Nassau, a kiedy mu się nie udało, wrzucił mnie do wody.

- Rozumiem. - Dale wyciągnął rękę. - Tego sposobu jeszcze nie próbowałem. Skuteczny?

- Zamknij się, Dale - powiedziała Serena słodkim głosem.

- Proszę jej wybaczyć. Życie na morzu czyni niektórych z nas zgorzkniałymi. Dobrze się pan czuje na statku, panie Blade?

- Doskonale. - Justin posłał Serenie przeciągłe spojrzenie. - To bardzo ciekawe doświadczenie.

- Panowie zechcą mi wybaczyć - powiedziała przesadnie uprzejmym tonem. - Muszę zmienić Tony'ego przy stole. - Odwróciła się i zaciskając zęby, podeszła do piątki. Dopiero tutaj udało się jej rozluźnić mięśnie twarzy. Przywitała trójkę graczy profesjonalnym uśmiechem, który zastygł jej na ustach, kiedy Justin zajął jedno z wolnych miejsc.

- Dobry wieczór. Nowa talia. - Rozpieczętowała karty i zaczęła je tasować, obiecując sobie, że wyautuje Justina z gry. Podała mu talię do przełożenia, po czym wsunęła ją do drewnianej skrzyneczki, sprawdziła, czy wszyscy obstawili i zaczęła pierwsze rozdanie.

Był już taki moment, że Justin został zaledwie z trzema sztonami, ale dostał dwie siódemki i zrobił splita, który dał mu odpowiednio dwadzieścia i dwadzieścia jeden punktów. Powoli się odgrywał. Kiedy musiała przejść do innego stołu, Justin przeniósł się razem z nią. Po raz kolejny obiecała

sobie, że tego wieczoru będzie musiał sromotnie przegrać, ale kupka sztonów obok niego rosła cały czas. Skończył grę z siedmiuset pięćdziesięcioma dolarami w kieszeni.

Kiedy Serena wypłaciła mu pieniądze, musiała sama pójść ze sztonami do kasy, bo Dale był akurat zajęty.

Justin chwycił ją za rękę.

- Jeszcze jedno rozdanie? - zapytał, korzystając z tego, że przy stole nie było innych graczy.

- Skasowałeś już wygraną - powiedziała, usiłując uwolnić dłoń, ale Justin nie puszczał.

- Nie będziemy grać na pieniądze.

- Regulamin zabrania prywatnych gier z pasażerami. Wybacz, ale muszę zamknąć stół.

- Zagramy o spacer po pokładzie - nalegał.

- Nie mam ochoty.

- Boisz się zagrać ze mną, prawda, Sereno? Pamiętaj, że masz nade mną przewagę, bo to ty rozdajesz karty. Grasz dla domu.

- Dobrze. Jeśli wygram, do końca rejsu będziesz trzymał się z dala ode mnie. - Zdjęła jego dłoń z nadgarstka.

Justin zastanawiał się przez chwilę. Byłoby to znacznie rozsądniejsze niż jego obecne próby zbliżenia się do Sereny. Zaciągnął się po raz ostatni cygarem i zgasił niedopałek. Nie po raz pierwszy zawierzał swój los kartom.

- Zgoda.

Dostał dwójkę i piątkę, Serena odkryła dziesiątkę. Dobrał kartę - damę. W pierwszej chwili chciał na tym poprzestać, ale Serena miała zbyt zadowo-

loną minę. Gotów był założyć się o wszystkie pieniądze, że zakryta karta Sereny to ósemka albo wyżej. Poprosił o jeszcze jedną kartę.

- Cholera! - Rzuciła mu czwórkę. - Przysięgam, Justin, że któregoś dnia cię pokonam. - Odkryła waleta.

- Nie pokonasz. Za bardzo zależy ci na tym, żeby mnie pobić, i przez to przestajesz myśleć o grze. - Wstał i wsunął dłonie do kieszeni. - Czekam na ciebie na zewnątrz.

Gdy Dale spojrział w stronę Sereny, zobaczył, że jego najlepsza krupierka pokazuje język znikającemu w drzwiach pasażerowi.

Justin stanął na pokładzie. Był zły i zawiedziony. Wzruszył ramionami. Cóż, zdał się na los szczęścia i wygrał. Równie dobrze mógł przegrać to ostatnie rozdanie. Byłoby lepiej, gdyby przegrał. Uniknąłby komplikacji. Bo wiedział, że ich nie uniknie. Serena była pierwszą kobietą w jego życiu, której nie będzie potrafił zapomnieć, tyle wiedział na początek.

Ciekawe, jak by zareagowała, gdyby usłyszała, że to Daniel chytrusek zaaranżował ich spotkanie, Uśmiechnął się do siebie. Pewnie obdarłaby tatusia ze skóry i powiesiła na suchej gałęzi. Postanowił, że na razie nic jej nie powie, zachowa tę wybuchową wiadomość na inną okazję.

- Masz powód, żeby się uśmiechać - zauważyła Serena z przekąsem, podchodząc do niego. - Karta ci idzie.

Justin ujął jej dłoń i ucałował z galanterią.

- I niech tak zostanie. Nie zamierzam przegrywać. Jesteś bardzo piękna, Sereno.

- Kiedy się złoszczę - wycedziła, mówiąc sobie, że nie da się nabrać na pochlebstwa.

- Moja ciotka uważa, że kto gra hazardowo w karty, ten kuma się z diabłem. Ciocia jest Francuzką, z tej linii, która pozostała w ojczyźnie.

- A ty kim jesteś? - zapytała Serena, nie bardzo rozumiejąc wtręt o cioci.

- Komanczem.

- Mogłam się tego domyślić.

- Komanczem z niewielką domieszką krwi francuskiej i walijskiej. Ojciec był czystym Indianinem, natomiast indiański przodek mojej matki poślubił osadniczkę z francusko-walijskiej rodziny. Stąd to europejskie pokrewieństwo. - Justin rozwiązał jej muszkę. - Rodzinna legenda mówi, że zobaczył złotowłosą dziewczynę nad rzeką, jak prała bieliznę. Był dzielnym wojownikiem, który zabił wielu białych, broniąc swojej ziemi, ale tej kobiety zapragnął, więc zabrał ją do swoich. - Zaczął rozpinąć guziki bluzki Sereny.

- Barbarzyństwo - wykrztusiła. - Porwał ją, mówiąc po prostu.

- Kilka dni później ugodziła go nożem w ramię. Chciała uciec, ale kiedy zobaczyła jego krew na swoich dłoniach, została. Pielęgnowała go, opatrywała ranę, a potem dała mu zielonookie dzieci.

- Trzeba było znacznie większej odwagi, by zostać, niż by użyć noża.

Justin uśmiechnął się. Serenie drżał głos, ale patrzyła mu prosto w oczy.

- Nazwał ją Złotym Skarbem i nigdy nie wziął sobie żadnej innej kobiety. Stąd zrodziła się nasza tradycja rodzinna. Jeśli któryś z nas spotka złoto-

włosa kobietę i jej zapagnie, natychmiast bierze ją.
- Justin zamknął jej usta gorącym, namiętym pocałunkiem.

Serena zacisnęła dłonie na jego ramionach, jakby się bała, że jeszcze chwila, a pożądanie uniesie ją, nieważką i bezwolną, w nieznanym, groźnym świecie. Dałaby teraz Justinowi wszystko, o co by poprosił, niepomna na wysyłane przez mózg ostrzeżenia. Pragnęła tylko jednego, żeby nadal ją całował i pieścił, nie wypuszczał z objęć. Zanurzyła palce w jego włosach i przyciągnęła go bliżej do siebie.

Kiedy zaczął całować jej szyję, była w stanie tylko wyszeptać jego imię.

Justin podniósł głowę:

- Przemokłaś. Chodźmy do środka.

- Co takiego? - Oszołomiona, na wpół przytomna, dopiero teraz zdała sobie sprawę, że pada deszcz. Odsunęła się od Justina i przeczesła włosy palcami. - Ja... Ja...

- Musisz iść spać - dokończył za nią.

- Tak. - Serena otuliła się szczelnie marynarką. - Już późno. - Potoczyła zamglonym wzrokiem po pokładzie. - Pada - powtórzyła bez sensu.

Była w tej chwili tak bezbronna, że Justin zapagnął jej jeszcze bardziej, a jednocześnie coś go powstrzymywało. Wsunął dłonie do kieszeni i zacisnął je w pięści. Niech diabli wezmą MacGregora, pomyślał ze złością. Stary spryciarz zastawił na niego niezłą pułapkę. Gdyby poszedł teraz z Sereną do łóżka, byłby to koniec jego przyjaźni z Danielem, którego przez te lata pokochał jak ojca.

Gdyby nie to, nie czekałby ani chwili.

A jeśli znowu zaczeka... oto i gra, prawdziwy hazard.

- Dobranoc, Sereno.

Stała przez chwilę bez ruchu, wahając się między rozsądkiem i szaleństwem.

- Dobranoc - powiedziała w końcu, biorąc głęboki oddech, i szybko odeszła.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Serena wybrała pokład widokowy na rufie, zakładając, że nie będzie tam nikogo. Wiedziała, że ci, którzy zostali na statku, będą woleli opalać się przy dużym basenie, gdzie mieli pod nosem bar i grill. Większość pasażerów zeszła na ląd, by zwiedzić San Juan z jego pięknym starym miastem i dziewiętnastowiecznymi fortyfikacjami.

Zasnęła dopiero nad ranem i obudziła się z trudem, kiedy zadzwonił budzik, a musiała wstać wcześniej, bo obiecała Dale'owi, że pomoże mu zrobić bilans z poprzedniego dnia. Teraz mogła wreszcie wyciągnąć się na leżaku i odpocząć.

Nie chciała wracać myślami do tego, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru, a jednak nie była w stanie uchronić się przed reminiscencjami. Co się z nią działo, gdy Justin dotykał ustami jej ust? Nie rozumiała swoich reakcji, ale wiedziała jedno: więcej nic podobnego nie może się zdarzyć. Dlaczego Justin tak ją pociągał? Będąc z nim, miała wrażenie, że staje nad przepaścią. Igrała z niebezpieczeństwem.

Zsunęła ramiączka stanika od bikini i ułożyła się

wygodnie. Może jednak powinna się zastanowić, co się z nią dzieje, a nie uciekać przed faktami. Jeśli MacGregorowie mieli jakąś wspólną cechę, to było nią realistyczne spojrzenie na świat, umiejętność mierzenia się z problemami i znajdowania rozwiązań. Zmierz się z problemem i znajdź rozwiązanie - tak powinno brzmieć ich rodowe zawołanie, pomyślała z uśmiechem.

Justin był bardzo atrakcyjny. Niebezpiecznie atrakcyjny. I nie chodziło tylko o wygląd, monologowała w duchu, zakładając okulary przeciwsłoneczne. Wygląd nie jest aż taki ważny. Chodziło raczej o siłę, seks i władczość. Wszystkie te trzy cechy stanowiły dla niej wyzwanie, a Serena nigdy nie wybierała prostej drogi i kochała wyzwania, im większe, tym lepiej.

Czy go lubi? Prychnęła w pierwszej chwili, ale zaczęła się zastanawiać. No więc lubi czy nie? Przypomniała sobie wspólnie spędzony dzień w Nassau, ich żarty, to, jak miło było spacerować, trzymając się za ręce. Musiała przyznać, że chyba jednak go lubi. Trochę. Ale nie w tym rzecz, powiedziała sobie, poprawiając okulary. Rzecz w tym, co przez najbliższych pięć dni począć z fantem pod tytułem Justin Blade?

Nie mogła się ukrywać. Nawet gdyby miała ku temu szansę - a nie miała - i tak duma nie pozwoliłaby jej na takie rozwiązanie. Musi poradzić sobie z nim. I z samą sobą. Dotąd myślała, że nie stanie się nic złego, jeśli spędzi z Justinem trochę czasu, pozna go nieco lepiej. Ot, niewinna znajomość...

Zaiste, czysty wzór niewinności! Szczerze mówiąc, od samego początku wiedziała, że znajomość

z Justinem nie może być niewinna. I tak wróciła do punktu wyjścia, czyli do fatalnego zauroczenia. Jak można było się spodziewać, po długich wewnętrznych deliberacjach nie znalazła żadnego satysfakcjonującego rozwiązania.

Obróciła się na brzuch, jej myśli powędrowały innym torem.

Cóż, za kilka dni zejdzie z Celebration i pojedzie do domu. Bezrobotna, bez sprecyzowanych planów na przyszłość. Teraz, kiedy powinna podjąć zasadnicze życiowe decyzje, spotkanie z wędrownym hazardzistą wydawało się błahym doprawdy epizodem. Niepotrzebnie go wyolbrzymiała. Owszem, Justin jest atrakcyjnym, interesującym mężczyzną. I tyle. Kropka.

Będzie go traktowała jak każdego innego pasażera. Będzie miła i uprzejma, oczywiście bez przesady. I na pewno nie siądzie z nim już więcej do blackjacka we dwoje. Ten facet miał zbyt wielki fart.

Słońce i spokój na pokładzie w końcu ją zmorzyły i Serena zasnęła.

Śniło się jej, że dryfuje nago na tratwie po błękitnym oceanie, wystawiając ciało do słońca. Mogłaby tak dryfować bez końca. Czuła się wolna, wolna od wszystkiego. Unosiła się na fali, a może była w zielonej dżungli. Słońce pieściło jej skórę niczym dłonie kochanka...

Gdy motyl musnął jej ucho, uśmiechnęła się. Leżała nieruchomo, żeby go nie spłoszyć. Przesiadł na jej policzku, a potem zawisł nad jej wargami i wyszeptał jej imię.

Dziwne, pomyślała, przeciągając się rozkosznie, motyl zna moje imię. Powoli uniosła powieki,

chciała zobaczyć jego wielobarwne skrzydła, a zobaczyła zielone oczy Justina.

Patrzyła w nie przez chwilę, po czym zamknęła znowu powieki, jakby chciała zatrzymać odchodzący sen.

- Myślałam, że jesteś motylem - mruknęła.

- Tak? - Uśmiechnął się i musnął wargami jej usta.

- Mhm. - Westchnęła leniwie. - Jak się tu dostałeś?

- Gdzie?

- Tu, gdzie jesteśmy. Przypłynąłeś na tratwie?

- Nie. - Justin widział, że Serena jest podniecona i na w pół jeszcze pogrążona we śnie. Wydawała się taka bezbronna. Chciał ją mieć... i chciał ją chronić, dwa sprzeczne odruchy. Pocałował ją w ramię. - Śniło ci się.

- Aha. - Nie miało dla niej znaczenia, co jest snem, a co jawą. - Jest bardzo przyjemnie.

Justin przesunął palcem po jej plecach.

- Owszem. Przyjemnie.

Ocknęła się wreszcie, szeroko otworzyła oczy.

- Justin?

- Tak?

- Co ty tutaj robisz?

Zerknął na kawałek materiału ledwie okrywający jej piersi.

- Już o to pytałaś. Nie powinnaś leżeć na słońcu, nie chroniąc skóry - powiedział z troską i zaczął nacierać jej plecy kremem.

- Przestań! - zawołała i zaraz się wściekła, że jej głos zabrzmiał tak chrapliwie.

- Jesteś bardzo wrażliwa - mruknął. - Szkoda,

że nigdy nie możemy znaleźć się we właściwym miejscu we właściwym czasie.

- Zostaw mnie w spokoju, Justin. - Przesunęła się, uciekając przed jego dłońmi. - Pozwól mi odpocząć. - Usiadła na leżaku i zapięła stanik kostiumu. - Musiałam wstać bardzo wcześnie, a wieczorem, jak tylko wyjdziemy z portu, znowu muszę być w kasynie. - Wyciągnęła się wygodnie, dając do zrozumienia, że Justin ma sobie pójść. - Chcę się zdrzemnąć.

- A ja chcę porozmawiać z tobą. - Podniósł się.

- A ja nie chcę. - Omiotła szybkim spojrzeniem jego sylwetkę i odwróciła wzrok. Zdecydowanie za dobrze się prezentował. Sięgnęła ręką do tyłu, żeby wyregulować nachylenie leżaka.

- Nie mam ochoty na żadne rozmowy, a już szczególnie z tobą. - Poprawiła okulary na nosie.

- Dlaczego nie zwiedzasz San Juan, jak reszta pasażerów?

- Mam propozycję.

- W to akurat nie wątpię.

Nie czekając na zaproszenie, przesunął nogę Sereny i przysiadł na leżaku.

- Możemy ubić interes.

- Nie będę ubijać z tobą żadnych interesów. Bądź łaskaw wstać z mojego leżaka.

- Załoga powinna grzecznie odnosić się do pasażerów. Macie to chyba w regulaminie?

- Złóż na mnie zażalenie. To mój ostatni tydzień w pracy.

- O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać.

- Teraz nacierał kremem jej udo.

- Justin...

Uśmiechnął się, jakby nie słyszał wściekłości w jej głosie.

- Tak.
- Rozkwaszę ci nos, jeśli nie zostawisz mnie w spokoju!
- Zawsze tak trudno ci się skupić, gdy przychodzi do rozmów o interesach?
- Nigdy, o ile są poważne.
- W takim razie nie powinnaś mieć najmniejszych problemów.

Zmierzyła go uważnym spojrzeniem zza okularów. Zobaczyła długą, białą bliznę wzdłuż ostatniego żebra po lewej stronie.

- Paskudny ślad - powiedziała z chłodnym uśmiechem. - Prezent od zazdrosnego męża?
- Od bandyty z nożem - odpowiedział równie chłodno.

Zrobiło się jej głupio. Wstrzymała na moment oddech. Miała wrażenie, że widzi ostrze rozcinające skórę.

- Przepraszam za durną odzywkę. Naprawdę nie chciałam. Musiało być naprawdę groźnie.

Wzruszył ramionami. W szpitalu dostawał tak duże dawki środków przeciwbólowych, że przez dwa tygodnie był prawie nieprzytomny.

- Stara historia.
- Co się stało? - Musiała zapytać. Ból Justina nieoczekiwanie okazał się jej własnym bólem.

Milczał przez chwilę. Nie wracał już myślami do tamtego wydarzenia sprzed siedemnastu lat, ale jednak w nim nadal tkwiło. Może Serena powinna wiedzieć... Wytarł w ręcznik dłonie.

- To zdarzyło się w barze we wschodniej Neva-

dzie. Jednemu z gości nie spodobało się, że obok siedzi Indianin. zaproponował mi, żebym poszukał sobie innego miejsca. Odpowiedziałem, że chcę skończyć swoje piwo, więc niech on poszuka sobie innego lokalu, jeśli nie odpowiada mu towarzystwo czerwonoskórego. - Justin uśmiechnął się z zadumą. - Byłem młody i głupi, kręciło mnie, że dam palantowi wycisk. Jak człowiek ma osiemnaście lat, pięści szybko idą w ruch.

- Pięści nie zostawiają blizn.

Justin uniósł brew.

- Po alkoholu tracisz kontrolę nad sytuacją, a facet miał mocno w czubie. - Odruchowo przesunął dłonią wzdłuż blizny. - Zaczęła się awantura, szamotanina, potem bójka. Ten drań wyciągnął nóż. Był tak pijany, że chyba nie wiedział, co robi.

- Boże. Straszne. - Serena ujęła dłoń Justina. - Nikt nie wezwał policji?

Prawie zrobiło mu się jej żal, że przy całym swoim bogactwie i wykształceniu, a może właśnie dlatego, Serena tak mało wie o świecie.

- Czasami nie ma chętnych, żeby wykręcić numer.

- Ale on cię przecież zranił. Powinni byli go aresztować.

- Zabiłem go - powiedział tak spokojnie, jak tylko potrafił.

Serena skuliła się, jakby wycofała się w siebie z szoku, ale szybko znalazła odpowiednie słowo:

- Samoobrona - powiedziała, zadowolona, że świat znowu wrócił na swoje miejsce.

Justin milczał. Wtedy, siedemnaście lat temu, w szpitalu, potem w celi, czekając na proces,

potrzebował takiej prostej wiary, ale nie miał przy sobie nikogo, kto by go wsparł, dodał mu otuchy, okazał zrozumienie. Teraz, kiedy Serena ujęła jego dłoń, coś w nim pękło.

- Chciałem wyrwać mu nóż. Przewróciliśmy się. Dalej nic nie pamiętam. Obudziłem się w szpitalu, oskarżony o zabójstwo drugiego stopnia.

- Nie rozumiem. To był przecież jego nóż. To on cię zaatakował!

- Nie tak łatwo było to udowodnić. - Dobrze pamiętał te dni i tygodnie wyczekiwania w celi. Swoją lęk i swoją bezsilną wściekłość. - W końcu zostałem uniewinniony.

Wynosząc z więzienia kolejne blizny, pomyślała Serena.

- Nikt nie chciał zeznawać na twoją korzyść. - Nie trzeba było wielkiej przenikliwości, żeby to wydedukować. - Ci z baru milczeli.

- Byłem wśród nich obcy. Dopiero pod przysięgą zaczęli mówić.

- To musiało być straszne przeżycie dla takiego młodego chłopca. - Uśmiechnęła się, kiedy Justin uniósł brew. - Mój ojciec mówi, że facet staje się mężczyzną, kiedy kończy trzydzieści lat. Albo czterdzieści, bo ojciec ma różne wersje. Potrafi być niekonsekwentny.

Jak dobrze Justin go znał. Miał ochotę powiedzieć Serenie o przyjaźni z Danielem, ale uznał, że jednak się powstrzyma, skoro tak wcześniej postanowił. On potrafił być konsekwentny.

- Powiedziałem ci o tym, bo jeśli przyjmiesz moją ofertę, prędzej czy później usłyszysz jakieś plotki o tamtej historii.

- Jaką ofertę? - zapytała ostrożnie, nie zdołała jednak ukryć, jak bardzo jest zaintrygowana.

- Ofertę pracy.

- Proponujesz mi pracę? - Serena parsknęła śmiechem. - Blackjack na tratwie?

- Coś bardziej stabilnego. - Wzrok powędrował mu w dół. - Te ramiączka wytrzymają? - zainteresował się niespodzianie.

- Wytrzymają - prychnęła Serena. - Powiedz wreszcie, o co ci chodzi.

- Dobrze. - Justin z powagą spojrzał jej w oczy.

- Obserwowałem cię przy pracy. Grasz świetnie, ale też znasz się na ludziach. Potrafisz bezbłędnie oceniać graczy. Wiesz, co powiedzieć, kiedy komuś nie idzie karta albo za dużo wypił. Krótko mówiąc, masz styl i klasę.

Wzruszyła ramionami, ciągle nie wiedząc, do czego on zmierza.

- I co z tego wynika?

- Chciałbym wykorzystać twój talent. - Justin skrzyżował nogi.

Kiedy tak siedział bez ruchu, z kamienną twarzą, Serena pomyślała, że jego niesławny przodek porywacz musiał wyglądać bardzo podobnie.

Odsunęła okulary na czoło i spojrzała mu prosto w oczy.

- Jak wykorzystać?

- Mogłabyś prowadzić moje kasyno w Atlantic City.

Na jej twarzy odmalowało się najwyższe niedowierzanie.

- Masz kasyno w Atlantic City?

- Owszem. - Położył dłonie na kolanach, choć

Serena dałaby sobie głowę uciąć, że w ogóle się nie poruszył.

Powoli wypuściła powietrze.

- Comanche - powiedziała cicho. - W Las Vegas, w Tahoe... - Oparła się o zagłówek leżaka i zamknęła oczy. - A więc wędrowny szuler okazał się całkiem zamożnym biznesmenem. Powinnam była się domyślić.

Justin, rozbawiony jej reakcją, odprężył się. Już w Nassau chciał jej zaproponować pracę. Wtedy myślał, że to trochę kaprys, trochę zawodowe oko, ale teraz wiedział, że chodzi o coś więcej. I musiał się z tym uporać.

- Tuż przed wypłynięciem w rejs wyrzuciłem poprzedniego menadżera. Pojawiły się problemy i musiał odejść.

Uniosła powieki.

- Oszukiwał ciebie?

- Próbował - poprawił ją. - Mnie nikt nie oszuka.

- Chyba rzeczywiście. - Podciągnęła kolana pod brodę. - Dlaczego chcesz, żebym dla ciebie pracowała?

Miał nieprzyjemne uczucie, że Serena przejrzała go na wylot, choć sam nie potrafił jeszcze do końca zrozumieć kierujących nim motywów i intencji. Wiedział tylko, że chce mieć ją blisko siebie, móc ją widzieć, dotykać jej.

- Już ci powiedziałem - mruknął.

- Masz trzy dobrze prosperujące hotele...

- Pięć.

- Nawet pięć. A to już jest poważny biznes. Nie powiesz mi, że kierujesz się w interesach kap-

rysami. Zdajesz sobie sprawę, że zarządzanie dużym kasynem to nie to samo, co rozgrywanie blackjacksa na statku pasażerskim. Masz pewnie dwa razy więcej stołów i dochód, przy którym nasze wygrane to tygodniówka dziesięciolatka.

Uśmiechnął się. Serena miała oczywiście rację.

- Jeśli uważasz, że sobie nie poradzisz...

- Nie powiedziałam, że sobie nie poradzę - odparowała i natychmiast się zreflektowała. - Straszny z ciebie spryciarz, co?

- Przemyśl moją propozycję. Sama mówiłaś, że nie masz sprecyzowanych planów, nie wiesz, co będziesz robiła po zejściu ze statku.

Nie miała sprecyzowanych planów. Zaledwie mglisty pomysł, żeby otworzyć własne kasyno. Zanim to się stanie, mogłaby zdobyć trochę doświadczenia, praktykując u kogoś innego.

- Zastanowię się - obiecała, ledwie zauważając, że Justin gładzi jej dłoń.

- Świetnie. - Drugą ręką zaczął wyjmować jej spinki z włosów. - Możemy zjeść kolację w San Juan i porozmawiać o detalach.

- Przestań. - Serena chwyciła go za nadgarstek. - Za każdym razem, kiedy się do mnie zbliżasz, wyciągasz mi spinki z włosów. Pod koniec rej su nie będę miała ani jednej.

- Bardzo lubię, jak masz rozpuszczone włosy. - Wyjął ostatnie spinki przytrzymujące węzeł na karku.

Serena odepchnęła jego dłoń i podniosła się z leżaka. Zaczęło robić się zbyt niebezpiecznie, należało więc zwiększyć dystans.

- Nie będzie żadnej kolacji ani w San Juan, ani

nigdzie indziej. I powiem ci, że już przemyślałam twoją propozycję.

- Boisz się? - Też wstał.

- Nie - powiedziała, patrząc mu prosto w twarz.

- To dobrze. - Objął ją za szyję. Podobało mu się jej twarde spojrzenie. Strach to banalne uczucie, które łatwo pokonać. - Zastanów się jeszcze, zanim dasz mi ostateczną odpowiedź, proszę. To jest biznes. Nie ma nic wspólnego z naszymi prywatnymi sprawami. Z tym, że jesteśmy kochankami.

Już była bliska odprężenia, tak miło było czuć, jak Justin masuje jej kark. Teraz w jej oczach zabłyśła złość.

- Nie jesteśmy kochankami.

- Ale będziemy. Wkrótce nimi zostaniemy. Oboje bierzmy z życia to, czego pragniemy, a pragniemy siebie nawzajem, Sereno.

- Przestań chociaż na moment obnosić się ze swoim ego. Musi być cholernie wielkie i ciężkie. - Kiedy próbował przyciągnąć ją do siebie, ani się nie opierała, ani nie poddała. Nie chciała walczyć i nie chciała przegrać.

- Prawdziwi gracze wierzą w przeznaczenie. A ty jesteś graczem, Sereno. Jesteś hazardzistką, tak samo jak ja. - Pochylił głowę i przesunął wargami po jej brodzie. - Oboje rozegramy karty, które dał nam los.

Jak długo zdoła się opierać temu złotoustemu uwodzicielowi? Serce waliło jej jak młotem, ciało ogarniała słabość. Jeśli będzie się opierać, przegra. Być może... Umysł spowiła mgła i Serena ogromnym wysiłkiem woli zmusiła się do trzeźwego

myślenia. Być może powinna zagrać według jego reguł. I wygrać.

Zaczęła przesuwać dłonią po nagich plecach Justina, drażniła lekko paznokciami jego skórę. Słyszała jego przyspieszony, urywany oddech. Pocałowała go w szyję. To tylko gra, tylko gra, powtarzała sobie cały czas. Pokona go, rzuci na kolana.

Justin jęknął cicho, przyciągnął ją do siebie, ukrył twarz w jej włosach i szepnął coś, czego nie rozumiała. Była zbyt zaskoczona swoją właśnie odkrytą nad nim władzą, by się z niej cieszyć.

Serce mówiło jej, że tak powinni pozostać, spleceni w uścisku. Ciało nie mogło kłamać, a ciało mówiło jej, że są stworzeni dla siebie, że jej miejsce jest w ramionach Justina.

Nie. Serena opanowała się w porę. Nie pozwoli, by zawładnęło nią pożądanie. By zawładnął nią mężczyzna.

Odsunęła się. Udało się jej uwolnić z objęć Justina tylko przez zaskoczenie. Pochyliła się powoli, podniosła wdzianko, które upadło na pokład i włożyła je bez słowa. Dopiero teraz była gotowa spojrzeć na Justina.

Dojrzała w jego oczach pożądanie, i jeszcze coś. To była czujność, znak, że Justin tak samo był bezbronny wobec niej jak ona wobec niego

To dodało jej sił.

- Jeśli będę chciała się z tobą kochać, powiem ci o tym. - Odeszła, nie odwracając się, nie spoglądając ani razu za siebie. Kolana ciągle jeszcze jej drżały.

Justin patrzył za nią. Mógłbym ją zatrzymać, pomyślał, zaciskając dłoń. To prawda. Mógłby

zaciągnąć ją do swojej kabiny i po chwili byłiby już w łóżku. Mógłby sobie powiedzieć: „Do diabła z przemyślanym planem gry” i zaspokoić wreszcie trawiący go głód. Gdyby tylko raz, raz jeden, został z nią naprawdę sam na sam...

Powoli rozprostował zaciśniętą dłoń.

- Nigdy nie dawaj się ponieść emocjom, głupcze - mruknął do siebie.

Od dawna stosował tę zasadę i teraz też nie powinien o niej zapominać.

Podniósł krem, który Serena zostawiła koło leżaka, zakręcił starannie tubkę. Zaintrygowała ją oferta pracy, widział to. Będzie się opierała, ale propozycja już padła. Przez ostatni rok musiała słuchać poleceń, teraz mogłaby je wydawać, to dobra przynęta. Przed chwilą odniosła małe zwycięstwo, będzie więc ufna we własne siły, będzie sądziła, że zdoła go pokonać w ich prywatnej grze. Liczył, że nosząc nazwisko MacGregor, podejmie wyzwanie.

Uśmiechnął się. Lubił wyzwania nie mniej niż ona. Obstawił i teraz mógł czekać.

W kabinie było zupełnie ciemno, kiedy rozległ się dzwonek. Serena po omacku odnalazła budzik, pacnęła, ale dzwonek nie ustawał. Sięgnęła w stronę telefonu, zrzuciła słuchawkę i oberwała nią w skroń.

- Au! Cholera!

- Dzień dobry, moja maleńka.

Na wpół rozbudzona przyłożyła słuchawkę do ucha, rozcierając jednocześnie bolące miejsce.

- Tata?

- Co słyhać na pełnym morzu? _ zagadnął wesoło.

Skrzywiła się.

- Ja... - Usiłowała się ocknąć.

- Wysłów się, dziecko.

- Tato, jest... - Podświetliła wyświetlacz budzika. - Jest szósta rano.

- Dobry marynarz wstaje o brzasku.

- Mhm. Dobranoc, tato.

- Mama pyta, kiedy będziesz w domu.

Uśmiechnęła się. Anna MacGregor, nigdy nie była kwoką, za to Daniel...

- Wracamy do Miami w sobotę po południu. Powinam być w domu w niedzielę. To co, zamówie orkiestrę dętą? Albo szkockiego kobziarza?

- Zawsze byłaś nieznośna, Reno. _ Miało to zabrzmieć jak przygana, ale w głosie Daniela słyszało się wyłącznie ojcowską dumę. - Mama pyta, czy dobrze was tam karmią.

Omam nie parsknęła śmiechem.

- Dzienny przydział to pół bochna chleba, za to w niedzielę prawdziwa wyżerka, bo dcdają plaster solonej wołowiny. Jak mama?

- Dobrze. Już pojechała do szpitala. Znowu dzisiaj kogoś kroi.

- A Alan i Caine?

Daniel prychnął.

- A kto ich wie. Takich dochowaliśmy się dzieci, że nie pamiętają o rodzicach. Matce serce przez was krwawi. W dodatku żadnych wnuków.

- Tak, jesteśmy zupełnie nieczuli - zgodziła się ochoczo.

- Gdyby Alan ożenił się z tą miłą Judsonówną...

- Utykała na obie nogi - ucięła bezczelnie.
- Alan znajdzie sobie odpowiednią żonę, kiedy przyjdzie czas.

- Już to widzę! - huknął Daniel. - Nic, tylko siedzi na Kapitolu, w ogóle nie ma prywatnego życia. Natomiast Caine skacze z kwiatka na kwiatek, a ty pływasz na jakiejś łajbie.

- Na liniowcu.

- Twoja biedna matka nie doczeka się wnuków.
- Westchnął ciężko i zapalił cygaro, jedno z tych, których Annie nie udało się skonfiskować.

- Budzisz mnie o szóstej rano, żeby zrobić wykład o obowiązkach reprodukcyjnych?

- Nie ma się co krzywić i sarkać, drogie dziecko. Klan...

- Nie krzywię się i nie sarkam - zapewniła Serena, by uniknąć wykładu. - Posiedzę trochę w domu. Od niedzieli będziesz miał szansę znęcać się nade mną, ile zechcesz.

- O czym ty mówisz, dziecko - obruszył się Daniel. - Czy ci kiedyś zrobiłem krzywdę?

- Jesteś najlepszym ojcem na świecie - zapewniła szczerze. - Kupię ci skrzynkę whisky na Wyspie św. Tomasza.

- Świetnie. - Daniel przypomniał sobie inną obiecaną skrzynkę whisky, a przy okazji i główny powód, dla którego zadzwonił do Sereny o tak nieludzkiej porze. - Poznałaś w tym rejsie jakichś ciekawych ludzi, córeczko?

- Mnóstwo. Mogłabym napisać książkę. Będzie mi brakowało tego tłumy na statku. Szczególnie załogi.

- A jak pasażerowie? - nalegał Daniel, pusz-

czając kółka z dymu. - Trafił się jakiś rasowy gracz?

- Są i tacy. - Pomyślała o Justinie, podobnie jak ojciec.

- Pewnie nie możesz opędzić się od facetów.
- Serena mruknęła w sposób, który nic nie oznaczał i obróciła się na plecy. Szczególnie od jednego faceta nie mogła się opędzić. - Mały romans od czasu do czasu nikomu nie zaszkodzi - dodał Daniel jowialnie. - Pod warunkiem, że facet jest wart grzechu i ma w sobie to coś. Prawdziwy gracz musi mieć precyzyjny umysł.

- Poczujesz się lepiej, jak ci powiem, że zamierzam uciec z jednym takim?

Daniel zastrzygł uszami.

- Z jakim jednym?

- Żart - powiedziała Serena. - Kończę. Daj mi jeszcze pospać. I pamiętaj, żebyś pozbył się tych cygar, zanim mama je odkryje. - Daniel popatrzył krzywym okiem na telefon, potem na cygaro. - Zobaczymy się w niedzielę. Kocham cię, stary piracie.

- Zjedz przyzwoite śniadanie - przypomniał dziecku i odłożył słuchawkę.

Rena zawsze stanowiła trudny orzech do zgryzienia, myślał w zadumie. A jeśli chodzi o Justina, to chłopak nie byłby tym, za kogo Daniel go miał, jeśli nie spędzi kilku wieczorów z Sereną. Zgasił cygaro, pamiętając, by zatrzeć wszelkie ślady, zanim Anna wróci do domu.

Niech go kule biją, jeśli pomylił się co do Justina. Znał się przecież na ludziach. Już widział oczami wyobraźni czarnowłose wnuki o fiołkowych

oczach. Pierwszy powinien być chłopiec. To nic, że nie będzie nazywał się MacGregor, wystarczy, że w jego żyłach będzie płynęła krew tego zacnego i walecznego klanu. No i na pewno dostanie imię po dziadku.

W znacznie lepszym nastroju Daniel podniósł ponownie słuchawkę. Skoro już zaczął, ponęka pozostałe dzieci.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Serena mówiła sobie co prawda, że to nie jej sprawa, ale zżerała ją ciekawość, co knuje Justin. Bo otóż zniknął bez śladu. Od dwóch dni ani razu nie pojawił się w kasynie, nie widziała go też na pokładzie spacerowym, gdzie pasażerowie grywali w karty. W każdym razie nie było go, ilekroć tamtędy przechodziła.

Co porabia? - zadawała sobie pytanie. Gracz powinien grać w karty, prawda? Chyba nie dołączył do starszych pań ekscytujących się bingo w wielkim salonie.

Robi to specjalnie, uznała. Chce w ten sposób zwrócić na siebie uwagę. Opala się gdzieś w cichym kącie, wiedząc, że ona łamie sobie głowę, dlaczego zapadł się pod ziemię. Może zabawia panią Dewalter, która wyraźnie była zainteresowana nawiązaniem bliższej znajomości z przystojnym Komanczem. Serena zaczęła szcztokować włosy z taką zawziętością, jakby to one były winne zniknięciu Justina.

- I bardzo dobrze - powiedziała głośno do swojego odbicia. - Przynajmniej mam spokój.

Nie chciała, żeby ostatnie dni na statku upłynęły jej na utarczkach z tym cholernym facetem. Jeśli znalazł sobie inny obiekt zainteresowania, powinna się tylko cieszyć. Kłopot z głowy.

Denerwował ją swoją obecnością. Denerwował ją swoją nieobecnością. Rzuciła szczotkę na toaletkę. Gdzie tu sprawiedliwość? Nie będzie o nim myślała. Nałożyła sandały, gotując się do zejścia na ląd. Pójdzie na plażę, potem pochodzi po mieście, zrobi zakupy. Ojcu kupi obiecaną skrzynkę szkockiej. Spędzi miło dzień, mówiła sobie z zawziętością. A o Justinie postara się zapomnieć.

Robi jej na złość, to oczywiste. Ni stąd, ni zowąd zaproponował, żeby poprowadziła kasyno w Atlantic City. Pomachał marchewką przed nosem i zniknął. Wiedział, jak grać jej na nerwach.

Cóż, chcesz gry, pomyślała ze złością, będziemy grali. Ona też może zniknąć, zapaść na chorobę morską, zamknąć się na cztery spusty w kabinie. Da Justinowi nauczkę.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

- Otwarte! - zawołała.

Wszystkiego się spodziewała, ale nie tego, że zobaczy w progu swojej kabiny Justina. I że jego widok sprawi jej radość. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo go jej brakowało.

Dostrzegł błysk uśmiechu w jej oczach, zanim zdążyła zrobić nadaśaną minę.

- Dzień dobry.

- Pasażerom nie wolno przebywać w tej części statku - oznajmiła lodowatym głosem.

Niewiele sobie robiąc z regulaminu, wszedł do kabiny, zamknął drzwi i rozejrzał się po wnętrzu.

Serena potrafiła za pomocą zaledwie kilku drobiazgów pozbawić je anonimowości, nadać charakter. Plakat na ścianie, szklana miska z muszelkami, poduszka zrobiona przez Annę, i już jest inaczej. Pozostała jednak straszna ciasnota. Spizarnia w Hyannis Port była większa.

- Ani centymetra kwadratowego zmarnowanej przestrzeni - zauważył.

- Ale to moja przestrzeń - podkreśliła. - Nie wolno ci tu przebywać. Wyjdź, proszę, jeśli nie chcesz, żebym miała przez ciebie kłopoty.

- Przecież za dwa dni i tak schodzisz ze statku. - Przyjrzał się uważniej plakatowi. - Ładny. To zdjęcie stąd, z Wyspy św. Tomasza?

- Tak. - Serena nie wstawała z fotela. Gdyby to zrobiła, musieliby się dotknąć w ciasnocie kabiny.

- Po pierwsze nie wolno ci tu przebywać - powtórzyła. - Po drugie właśnie wychodzę do miasta.

Justin mruknął coś w odpowiedzi i usiadł na koi.

- Twarda - stwierdził odkrywco.

Serena uśmiechnęła się mimo woli.

- Świetna na kręgosłup. - Przez chwilę mierzyli się w milczeniu na spojrzenia. - Myślałam, że wreszcie się od ciebie uwolniłam - powiedziała w końcu.

- Tak? - Wziął do ręki cieniutką koszulę nocną, w której sypiała, przesunął palcami po delikatnym materiale. Oczami wyobraźni widział, jak zdejmuje tę mgiełkę z Sereny.

- Odłóż to. - Nachyliła się, żeby wyrwać mu koszulę z ręki.

- Lubisz jedwabie i koronki. - Upuścił koszulę na koję, zanim Serena zdążyła mu ją odebrać.

-Zawsze podziwiałem kobiety, które kupują takie rzeczy, a potem kładą się do łóżka same. Uważam, że to oznaka duchowej niezależności.

Uniosła brwi.

- To miał być komplement?

- Tak mi się wydawało. - Nachylił się z uśmiechem i nawinał sobie kosmyk jej włosów na palec.

- Dlaczego uznałaś, że się mnie pozbyłaś?

- Wolałabym, żebyś nie był taki miły. Zbijasz mnie z tropu. - Westchnęła. - Nie pokazywałeś się w kasynie.

- Są jeszcze inne rozrywki na statku.

- Z pewnością - wycodziła. - Na przykład zabawianie pani Dewalter. - Tego wieczoru, kiedy przegrała w blackjacka, wdowa (a może rozwódka) wdziękczyła się strasznie przy stole do Justina, czego Serena nie mogła mu wybaczyć, choć po prawdzie nie ponosił najmniejszej winy.

- Zabawianie kogo?

Serena nastroszyła się i zaczęła szukać swojej torby.

- Rudej damy z gęsim jajem na palcu.

- Ach. - Z rozbawieniem przyglądał się Serenie. - Szukasz czegoś?

- Tak, szukam. - Wsadziła głowę pod stolik przy ścianie.

- Pomóc ci?

- Nie! Cholera - zawołała, bo właśnie walnęła się w głowę.

Kiedy wyczołgała się spod stołu, Justin siedział na podłodze. Uśmiechnął się i odgarnął jej włosy z twarzy.

- Justin... - Odwróciła się i wysypała zawartość

torby na koję. - Muszę coś ci powiedzieć, mimo że nie mam najmniejszej ochoty.

Wzruszył ramiona. Zdażył już przywyknąć do jej ciętego języka.

- Mów, jakoś to zniosę.

- Brakowało mi ciebie - stwierdziła, a na jego twarzy już po raz drugi w czasie rejsu odmalowało się głębokie zdumienie. - Uprzedzałam, że nie mam ochoty tego mówić. - Chciała się podnieść, ale przytrzymał ją za ramię.

Trzy słowa.

Trzy słowa, które wywołały strumień sprzecznych odczuć, jakich dotąd nie doświadczył. Był przygotowany na gniew, chłód, wściekłość, tylko nie na te trzy proste słowa.

- Sereno. - Dotknął delikatnie jej policzka. - Niebezpiecznie mówić coś takiego, kiedy jesteśmy zupełnie sami.

Odsunęła powoli jego rękę.

- W ogóle nie chciałam ci tego mówić. Sama chyba nie zdawałam sobie sprawy, co czuję, dopóki nie zobaczyłam cię w drzwiach. - Westchnęła żałośnie, bezradnie. - Nic nie rozumiem.

- Już tak z nami jest, że należymy, ty i ja, do tych ludzi, którzy zawsze chcą wszystko rozumieć - powiedział na wpuł do siebie.

Podniosła się gwałtownie i zaczęła w pośpiechu pakować torbę.

- Wybieram się na plażę. Chcę trochę ponurkować. Potem pochodzę po mieście. Idziesz ze mną? - zapytała.

Nie słyszała, żeby Justin się poruszył, ale wiedziała, że stoi za nią i po raz pierwszy, od kiedy

zamieszkała w ciasnej kabinie, była bliska ataku klaustrofobii.

Położył jej dłonie na ramionach i odwrócił ku sobie. Te oczy o niezwykłym kolorze, pomyślał. Wystarczyło w nie spojrzeć, żeby się zatracić.

- Rozejm? - zapytał.

Serena odetchnęła. Na szczęście nie zamierzał wykorzystywać przewagi, którą właśnie mu dała.

- A co to za frajda? - prychnęła. - Możesz ze mną iść, jeśli chcesz, ale nie będzie żadnego rozejmu.

- Całkiem rozsądna propozycja. - Gdy objął ją w pasie, Serena energicznie użyła swojej wielkiej płóciennej torby w charakterze odbojnika. - A to akurat żadna przeszkoda - stwierdził spokojnie.

- Proponowałam plażę i spacer po mieście, to wszystko.

- Zatem poprzestańmy na tym. - Opuścił ręce.

- Na razie.

Otworzyła drzwi kabiny.

- Płynąłeś kiedyś statkiem spacerowym ze szklanym dnem?

- Nie.

- Będiesz zachwycony. - Wzięła go za rękę.

Serena przeciągnęła się w słońcu i westchnęła z zadowoleniem.

- Lubię myśleć o piratach. - Spojrzała na turkusowe morze, na szmaragdowe wzgórza. Miała wrażenie, że niemal widzi łopocącą na wietrze czarną banderę, zwaną Wesołym Rogerem, postrach żeglarzy. - Byli tu jeszcze dwieście, trzysta lat temu. W porównaniu z wiekiem tych wysp, zaledwie przed chwilą.

- Czarnobrody mógłby się zdenerwować, gdyby to zobaczył. - Justin zatoczył dłonią, wskazując tłumy plażowiczów. - Na pewno nie przypuszczał, jaki los spotka jego dziewicze wyspy.

Serena zaśmiała się, odprężona po godzinie nurkowania z fajką i w masce.

- Znalazłby sobie inne. Piraci mają srynykałkę do odkrywania odosobnionych miejsc.

- Mówisz o nich z podziwem.

- Mogę ich podziwiać, skoro nikomu już nie zagrażają. - Oparła się na łokciach, wystawiając twarz do słońca. - Zawsze podziwiałam ludzi, którzy sami ustanawiają dla siebie zasady.

- Bez względu na cenę?

- Och, nie bądź taki pryncypialny. - Na błękitnym niebie nie było ani jednej chmurki. - Tu jest zbyt pięknie, żeby prowadzić rozmowy na zasadnicze tematy. Zresztą dzisiaj na świecie jest tyle samo barbarzyństwa i okrucieństwa co trzysta lat temu, ulotnił się tylko smak przygody. - Rozmarzyła się. - Tak bardzo chciałabym wsiąść do wehikułu czasu Wellsa.

Justin sięgnął po grzebień leżący na kocu i zaczął rozczesywać jej włosy.

- Dokąd byś się wybrała?

- Do Brytanii króla Artura, Aten Platona, Rzymu Cezara. - Westchnęła. - W dziesiątki różnych miejsc. Do Szkocji, by spotkać Rob Roya, bo inaczej ojciec nigdy by mi nie wybaczył. Na Dziki Zachód, zanim pojawili się osadnicy. Chciałabym być w pierwszym wozie jadącym do Oregonu. - Odchyliła głowę do tyłu, tak że widziała teraz odwróconą twarz Justina i zaśmiała się. - Twój

przodkowie pewnie zdjęliby mi skalp, ale taka podróż warta jest ryzyka.

Justin ważył jej włosy w dłoni.

- Taki skalp to prawdziwy skarb.

- Wolę go zachować - zastrzegła szybko.

- A ty? Chciałbyś cofnąć się w czasie i siać do pokera w saloonie w Tombstone?

- Jako Komańcz nie przeżyłbym takiej wizyty.

Wyciągnęła rękę i odgarnęła mu mokry kosmyk z czoła.

- Znowu robisz się zasadniczy.

Przyglądał się jej przez chwilę.

- Byłbym z tymi, którzy atakują wasze wozy.

- Tak. - Nie powinna zapominać, kim jest Justin. Był inny. Ale to czyniło go tylko bardziej pociągającym. - Tak by było. My zdobywaliśmy nowe terytoria, wy broniliście swojej ziemi. Nigdy nie czułeś się oszukany, wydziedziczony?

Przeciagnał powoli grzebieniem przez złocące się w słońcu włosy Sereny.

- Nie myślę o dziedzictwie. Wystarczy mi to, co sam wypracuję.

Skinęła głową. Sama też tak uważała.

- MacGregorowie byli prześladowani w Szkocji. Musieli zrzec się swoich włości, swojego kiltu, nawet nazwiska. Gdybym tam była, walczyłabym. Teraz to tylko fascynująca opowieść. - Zaśmiała się. - Ojciec powtarza ją bez końca, przy każdej okazji, a nawet bez okazji.

Mała dziewczuszka, która uciekła matce, dotoczyła się do Sereny i pacnęła pupą na jej kolana niczym różowa piłeczka, a potem ze śmiechem zarzuciła jej łapki na szyję.

- Cześć. - Serena uścisnęła małą serdecznie i spojrzała w wesołe brązowe oczy. - Figle ci w głowie, co, panna?

Dziewczynka chwyciła ją za włosy.

- Adna.

- Jakie bystre dziecko - ucieszyła się Serena i spojrzała na Justina.

Ku jej zaskoczeniu wziął małą na kolana i dotknął palcem perkatego noska.

- Ty też jesteś ładna.

Mała zachichotała i wycisnęła na jego policzku mokrego całusa.

Serena jeszcze nie ochłonęła ze zdumienia, że Justin tak łatwo nawiązał kontakt z dzieckiem i nawet nie skrzywił się na mokrego całusa, kiedy nadbiegła zdenerwowana matka dziewczynki.

- Rosie! - Odgarnęła zniecierpliwionym gestem włosy. - Bardzo przepraszam.

- Adny - stwierdziła Rosie z przekonaniem i raz jeszcze dała całusa Justinowi.

Serena parsknęła śmiechem.

- Naprawdę bardzo państwa przepraszam. Wystarczy na moment odwrócić głowę i Rosie zwiewa. Każdemu, kogo dopadnie, okazuje swoje uwielbienie. Nikt nie jest bezpieczny.

- Takie ucieczki to dopiero zabawa, co, Rosie? - Serena potarmosiła ciemne włosy małej i posłała jej matce uspokajający uśmiech. - Musi być bardzo absorbująca dla pani.

- Och, to prawda, potrafi człowieka zupełnie wykończyć. Ja...

- Proszę już nie przepraszać. - Justin podniósł dłoń. - Ma pani śliczną córeczkę.

Matka wyciągnęła rękę do Rosie. Pochwała sprawiła jej widoczną przyjemność.

- Dziękuję. Państwo macie dzieci?

Serena była tak bardzo zaskoczona, że nie mogła wykrztusić słowa, Justin natomiast wykazał się refleksem.

- Jeszcze nie - powiedział gładko. - Nie sprzeda nam pani Rosie?

Mama oparła małą o biodro i posłała Justinowi promienny uśmiech.

- Nie, chociaż czasami mam wielką ochotę wypożyczyć ją komuś na dłuższy czas. Strasznie chuligani. Dziękuję państwu za wyrozumiałość. Nie każdy lubi, jak go atakuje dwulatka przypominającą tornado. Powiedz do widzenia, Rosie.

- Dzenia! - Mała pomachała łapką i natychmiast zaczęła kombinować, jak by tu znaleźć się z powrotem na ziemi. Serena jeszcze przez chwilę słyszała jej głośny śmiech.

- Wiesz co, Justin... - zaczęła, strząsając z koca piasek naniesiony przez Rosie. - Dlaczego powiedziałeś tej kobiecie, że nie mamy dzieci?

- Bo nie mamy.

- Doskonale wiesz, o co mi chodzi.

- I kto teraz jest pryncypialny?

Objął ją wpół i pocałował w ramię, co wcale nie było niemiłe. Przyjemnie było czuć jego bliskość.

- Słodkie dziecko.

- Jak większość dzieci. - Pocałował ją w drugie ramię. - Nie mają pretensji, uprzedzeń, nie wiedzą, co to strach. Niestety niedługo matka ją nauczy, że nie wolno rozmawiać z obcymi. Konieczne, ale smutne.

Odsunęła się, żeby spojrzeć mu w twarz.

- Byłam pewna, że temat dzieci w ogóle dla ciebie nie istnieje.

Chciał jej powiedzieć, że scena, która miała miejsce przed chwilą: dziecko, pocałunki, kobiece ciepło, obudziła w nim pragnienie posiadania własnej rodziny, ale szybko poniechał tego zamiaru. Po nieznanym gruncie trzeba stąpać ostrożnie.

- Ja też. Ale właśnie zaczął istnieć.

- Jesteś pewien? - Z uśmiechem położyła mu dłoń na ramieniu.

- Raczej tak.

- Coś ci powiem. - Nachyliła się ku niemu z poważną miną. - Według mnie wcale nie jesteś ładny.

- Dzieci widzą lepiej niż dorośli.

- Masz paskudny charakter. - Pocałowała go w usta.

- Ty też.

Gdy oddał pocałunek, Serenie zdało się, że coś, co dotąd było tylko jej, stało się własnością Justina, jakby ofiarowała mu drobną, ale niezwykle ważną część siebie.

- Nigdy nie chciałam mieć mniej paskudnego.

- Bogu niech będą dzięki.

Odsunęła głowę. Coś się zmieniło. Nie wiedziała co, nie wiedziała kiedy i jak, ale była pewna, że zaszła zmiana. Potrzebowała czasu, żeby zrozumieć, o co chodzi. Czuła się słaba, bezbronna, trochę jak istota nie z tej ziemi.

- Zbierajmy się już - powiedziała. - Przed powrotem na statek muszę załatwić kilka sprawunków w mieście.

- Czas i pływy nie czekają na nikogo - stwierdził Justin sentencjonalnie.
- Otóż to. - Podniosła się i włożyła sukienkę.
- Nie zawsze będziesz miała taką wymówkę.
- Stał obok niej, ujął jej dłonie.
- Ale teraz mam.

Jazda przez zatłoczone ulice Charlotte Amalie wymagała nie tyle jakich umiejętności. Cudem znaleźli miejsce do parkowania. Serena i Justin przez całą drogę milczeli, każde pochłonięte własnymi myślami.

Co zaszło na plaży, w czasie króciutkiego, niemal przyjacielskiego pocałunku? Dlaczego czuła się zupełnie rozbita i jednocześnie szczęśliwa? Być może rozrzewniła się na widok dziecka na kolanach Justina? Nie mogła pojąć, że zawodowy gracz, cynik, człowiek aż nazbyt trzeźwy, dał się oczarować dwuletniej brunetce o brudnych, lepjących się łapkach. Tego po prostu nie przewidziała.

A może rzeczywiście go lubiła? Bo lubiła, z całą pewnością. Choć nadal była ostrożna. Otóż to. Z Justinem należało postępować bardzo ostrożnie.

Teraz, kiedy wreszcie przyznała, że go lubi, gdy dobrze się poczuła w jego towarzystwie, rejs dobiegał końca. Po wypłynięciu z Charlotte Amalie nie znajdzie już ani chwili dla niego. Aż do momentu zawinięcia do portu w Miami będzie po szesnaście godzin pracowała w kasynie.

Mogła oczywiście przyjąć jego ofertę pracy...

Spojrzała na stragan z kapeluszami wyplatany z liści palmowych, rozstawiony w strategicznym punkcie, tuż obok butiku Gucciego, i zmarszczyła czoło. Przez ostatnie dwa dni usiłowała wyprzeć

propozycję Justina ze świadomości. Przemawiała przez nią złość, ale też trzeźwe przekonanie, że powinna rozważyć sprawę na spokojnie, kiedy jego nie będzie w pobliżu. Prowadzenie kasyna w Atlantic City to byłaby prawdziwa przygoda, natomiast praca u Justina wiązałaby się z ogromnym ryzykiem. Ale przygoda i ryzyko to przecież jedno.

Gdy tak rozmyślała, Justin zadawał sobie pytanie, dlaczego nie podoba mu się ta nagła zmiana frontu u Sereny. Przecież o to mu chodziło, żeby zmiękła. Nadal jej pragnął, tak jak pragnął, kiedy tylko zobaczył ją przy stole w kasynie. A jednak razem spędzone dni: sprzeczki, żarty, namiętność, dopełniły to, co w pierwszej chwili było wyłącznie nagim instynktem i powinno takim pozostać.

Nie mógł też zwalić winy na Daniela. Prawdę mówiąc, nie myślał o Serenie jako o jego córce. A chyba powinien, tak byłoby rozsądniej... przynajmniej w tej chwili.

- Szukamy znowu breloczków wygrywających „Dla Elizy”? - zapytał rzeczowo, parkując. I pocałował ją, nie zważając na racjonalne argumenty, które przed chwilą obracał w głowie.

- Nigdy się nie powtarzam - w oczywisty sposób zaprzeczyła sobie.

- Ten jeden raz - mruknął Justin.

Nagle zapomnieli, że siedzą w samochodzie zaparkowanym na zatłoczonej ulicy w samym centrum miasta. Dzisiaj w nocy, myślała, obejmując dłońmi jego twarz. Czas, żeby przestała udawać. Weźmie to, czego pragnęła.

- Sereno... - trochę mruknął, trochę jęknął.

- Wiem. - Oparła czoło o jego ramię. - Nigdy

nie jesteśmy sami. - Westchnęła głośno, po czym wysiadła z samochodu. - Za długo zmarudziliśmy na plaży. Zostało mi niewiele czasu na zakupy. - Rozejrzała się i wskazała pobliski sklep. - Wejść tutaj. Kupię kilka pamiątek i alkohol.

Ruszyła w oznaczonym kierunku, ale zatrzymała się przed wystawą Cartiera i spojrzała tęsknym wzrokiem na umiejętnie wyeksponowaną biżuterię.

- Nie rozumiem, co inteligentna kobieta może widzieć w tych wszystkich kamykach - zadała głośno pytanie samej sobie.

- To naturalna fascynacja, nie sądzisz? - Justin stanął obok niej. - Kobiety kochają brylanty. Mężczyźni zresztą też.

- To tylko alotrop węgla. - Ponownie westchnęła. - Kawałek skały. Dawniej używany był jako amulet chroniący przed złymi mocami. A bursztyn? Fenicjanie zapuszczali się aż nad Bałtyk, żeby go zdobyć. Za te kamyki przelewano krew, toczono o nie wojny... i ciągle nas pociągają.

- Nigdy nie ulegasz słabościom?

Odwróciła się z uśmiechem.

- Nie. Przyrzekłam sobie, że następnym razem wypuszczę się w podróż wyłącznie dla przyjemności. Wtedy zaszaleję. A teraz muszę kupić kilka upominków i skrzynkę chivas regal.

Justin wszedł z nią do sklepu. Serenę od progu ogarnął szal wyszukiwania odpowiednich prezentów. W zasadzie nie lubiła zakupów, ale kiedy już się na nie zdecydowała, oddawała się temu zajęciu z prawdziwą pasją. Pochłonięta oglądaniem haftowanych obrusów, nie zauważyła nawet, kiedy Justin zostawił ją samą.

Obładowana torbami przeszła do stoiska alkoholowego. Zerknęła na zegarek. Za niecałe dwie godziny powinna być na statku.

- Proszę skrzynkę dwunastoletniej Chivas.
- Dwie.

Odwróciła się, słysząc głos Justina.

- Tu jesteś. Myślałam, że cię zgubiłam.
- Kupiłaś, co chciałaś?
- Znaczniej więcej. - Skrzywiła się. - Będę pluła sobie w brodę, kiedy przyjdzie do pakowania.
- Sprzedawca postawił dwie skrzynki whisky na ladzie. - Proszę to dostarczyć na Celebration.
- Podała kartę kredytową.

- Moją skrzynkę również - dodał Justin.

Dziwne, pomyślała Serena. Nie przypuszczała, że Justin aż tak lubuje się w szkockiej, żeby kupować ją na skrzynki. Kiedy grał, nie brał alkoholu do ust. To była jedna z pierwszych rzeczy, które zauważyła. W ciągu całego rejsu tylko raz widziała go z drinkiem w dłoni, w czasie pikniku w Nassau. Może kupił whisky na prezenty, dla wszystkich przyjaciół tę samą, żeby oszczędzić sobie zachodu. Serena podpisała wydruk z terminala i schowała paragon do torebki.

- To już wszystko. - Ruszyła do wyjścia. - Zabawna koincydencja, oboje kupiliśmy ten sam gatunek scotcha.

- Żadna koincydencja, zważywszy, że kupowaliśmy z myślą o tej samej osobie.

Uśmiechnęła się zaskoczona i zerknęła na Justina.

- Dla tej samej osoby?
- Twój ojciec nie uznaje żadnej innej whisky poza chivas regal.

Pokręciła głową, ciągle nic nie rozumiejąc.

- Jak to... ? Kupujesz whisky dla mojego ojca...? Po co?

- Prosił mnie.

- Prosił cię? - Zanim zdążył odpowiedzieć, na moment rozdzielił ich tłum kupujących. - Co to znaczy, prosił cię?

- W postępowaniu Daniela zawsze tkwi jakiś haczyk. - Ujął Serenę pod łokieć i ruszyli w stronę samochodu. Szła jak w transie, nie odrywając oczu od jego twarzy. - W pierwszej chwili pomyślałem, że rzeczywiście chodzi mu tylko o whisky.

Daniel? Justin jest po imieniu z jej ojcem? Mówił o nim z taką poufałością... Zatrzymała się jak wryta na środku chodnika, pośród tłumu przechodniów. W głowie kłębiły się pytania, coś zaczęło do niej powoli docierać.

- Justin, wyjaśnij mi natychmiast, o co w tym wszystkim chodzi!

- Właśnie mówię. Kupiłem skrzynkę whisky dla twojego ojca. Chciałem mu podziękować w ten sposób za bilet na Celebration.

- Coś ci się pomyliło. Mój ojciec nie prowadzi biura podróży.

Wybuchnął tak samo niepohamowanym śmiechem, jak kilka dni wcześniej, w Nassau, kiedy poznał nazwisko Sereny.

- Oczywiście. Daniel prowadzi rozliczne interesy, ale akurat nie biuro podróży. Usiądźmy na chwilę. - Pociągnął Serenę do kawiarnianego ogródka.

- Nie mam ochoty siadać. Chciałabym się natomiast dowiedzieć, dlaczego, u diabła ciężkiego,

mój ojciec wysłała cię w rejs wycieczkowy po Karaibach, i to akurat na Celebration.

- Myślę, że chciał ułożyć mi życie. - Niemal siłą posadził Serenę przy wolnym stoliku. - Nam obojgu - dodał, siadając naprzeciwko niej.

Z wnętrza kawiarni dochodził zapach świeżo pieczonych ciastek, z księgarni tuż obok wyszła grupka głośno dyskutujących klientów, jednak do Sereny nic nie docierało. Miała szczerą ochotę komuś przyłożyć, rąbnąć cukierniczką o ziemię, więc na wszelki wypadek oparła mocno dłoń o blat stolika.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

- Poznałem twojego ojca dziesięć lat temu.
- Zapalił cygaro. Serena zareagowała dokładnie tak, jak się spodziewał. To trochę złagodziło napięcie, które czuł od tamtej rozmowy na plaży. Przez ostatnie dni miał uczucie, że coś mu się wymyka.
- Pojawiłem się w Hyannis Port z propozycją biznesową. Rozegraliśmy partię pokera i od tamtej pory przeprowadziliśmy razem wiele udanych interesów. - Przerwał na chwilę. - Masz bardzo interesującą rodzinę.

Nie powiedziała słowa, zacisnęła tylko mocniej dłoń.

- Bardzo się zżyłem z twoimi rodzicami i braćmi. Ilekroć przyjeżdżałem, byłaś poza domem, ale wiele słyszałem o... Renie. Alan podziwia twój umysł, Caine twój prawy sierpowy. - Z jej oczu sypały się skry, ale Justin nie mógł pohamować uśmiechu. - Twój ojciec wzniósł ci niemal pomnik, kiedy skończyłaś Smith dwa lata wcześniej, idąc indywidualnym tokiem studiów.

Miała ochotę kłać najgorszymi wyrazami. Ten człowiek od dziesięciu lat miał wgląd w jej życie, a ona nic o tym nie wiedziała. Informacje i opowieści przepływały bez jej zgody.

- Wiedziałeś - syknęła wściekle. - Wiedziałeś od samego początku, kim jestem, i nie zdradziłeś się ani słowem. Igrałeś ze mną, miałeś ubaw po pachy, kiedy wystarczyło po prostu powiedzieć...

- Poczekaj chwilę. - Chwycił ją za rękę, kiedy podniosła się od stolika z zamiarem odmaszerowania. - Nie wiedziałem, że krupierka o imieniu Serena to cudowna Rena MacGregor, o której słuchałem od dziesięciu lat.

Poczerwieniała. Ojciec rzeczywiście wiecznie się nią chwalił. Było to bardzo kłopotliwe i zenujące, ale jednocześnie miłe. Teraz poczuła się tak, jakby ktoś wymierzył jej policzek.

- Nie wiem, jaką grę prowadzisz, ale...

- Nie ja, tylko Daniel - przerwał jej Justin.
- Dopiero tam, na plaży, kiedy zaczęłaś krzyczeć, że z MacGregorami nie ma żartów, zrozumiałem, kim jesteś i dlaczego Daniel tak strasznie mnie namawiał, żebym popłynął w rejs.

Nie kłamał. Pamiętała jeszcze osłupienie, jakie odmalowało się wtedy na twarzy Justina.

- Posłał ci bilet i ani słowem nie wspomniał, że pływam na Celebration?

- A jak ci się wydaje? - Zgasił cygaro w plastikowej popielniczce. - Kiedy usłyszałem, jak się nazywałeś, zrozumiałem, że zostałem wmanewrowany przez prawdziwego specę od manipulacji. - Wyszczrzył zęby w radosnym uśmiechu. - Przyznaję, że w pierwszej chwili zrobiło mi się trochę nijako.

- Nijako - powtórzyła Serena, której jakoś nie udzielał się wyśmienity humor Justina. Dopiero teraz, w świetle jego słów, zrozumiała, że ojciec w ostatniej rozmowie telefonicznej próbował podpytywać ją na wszelkie sposoby, czy jego knowania przyniosły spodziewany efekt. - Zabiję go - oznajmiła bardzo spokojnie, ale w jej oczach rzeczywiście widziało się zbrodnię. Dwie, mówiąc ściśle. - Ale najpierw rozprawię się z tobą. - Wciągnęła głęboko powietrze, żeby nie krzyknąć. - Mogłeś powiedzieć mi od razu.

- To prawda, mogłem, ale też doskonale wiedziałem, jak zareagujesz, więc postanowiłem nic nie mówić.

- Postanowiłeś... - syknęła znowu. - Ojciec postanowił. Mężczyźni, ci cudowni egomaniacy! Żadnemu z was nie przyszło do głowy, że ja też jestem w tej grze?! - Była wściekła. - Powinieneś był jednak zaciągnąć mnie do łóżka. Powetowałbyś sobie na ojcu, że poczułeś się przez niego, jak to określasz - zmelła w ustach podłe przekleństwo - „trochę nijako”.

- Doskonale wiesz, że nie o to chodziło. Ilekroć się do ciebie zbliżałem, zapominałem, czyją jesteś córką.

- Zaraz ci powiem, co ja wiem. - Jej głos brzmiał naprawdę groźnie. - Obaj jesteście siebie warci. Dwaj zadufani, nadęci durnie! Może mi, do jasnej cholery, wyjaśnisz, jakie macie prawo ingerować w moje życie?!

- Twój ojciec tylko sprowokował sytuację - próbował tłumaczyć Justin. - Reszta nie zależała już od niego, na nic nie miał wpływu. Jeśli chcesz

zostać sierotą i go zabić, to zabijaj, ale nie wyładuj swojej wściekłości na mnie.

- Nie potrzebuję twojego pozwolenia, żeby go ukatrupić! - zawołała tak głośno, że odwróciło się ku nim kilka głów od sąsiednich stolików.

- Chyba właśnie to powiedziałem.

Zerwała się z fotela, szukając na próżno czegoś, czym mogłaby cisnąć w Justina.

- Obawiam się, że nie mam tak rozwiniętego poczucia humoru jak ty. Dla mnie to, co zrobił ojciec, jest po prostu uwłaczające i podłe. - Zachowując resztki godności, Serena zebrała torby z zakupami. - Będę ci wdzięczna, jeśli do końca rejsu będziesz trzymał się ode mnie z daleka. Chyba że chcesz wylądować za burtą.

- Zgadzam się na wszystko, pod warunkiem, że w ciągu dwóch tygodni dasz mi odpowiedź, czy przyjmujesz pracę w Atlantic City.

- Co??? - Wybałuszyła oczy, otworzyła usta. Słów jej zabrakło na tę dezynwołturę, na ten szczyt bezczelności. Zanim zdążyła rzucić przekleństwo, Justin na wszelki wypadek uniósł dłoń.

- Nie. Teraz nie przyjmuję żadnej odpowiedzi. Daję ci dwa tygodnie.

- Odpowiedź będzie brzmiała dokładnie tak samo, jak brzmiałaby w tej chwili, ale mogę się wstrzymać. Do widzenia.

- Sereno. - Gdy odwróciła się do niego, cis-kając gromy z oczu, dodał: - Pozdrów ode mnie Daniela, zanim go ukatrupisz.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pierwsze, co uderzyło Serenę w drodze z lotniska, to drzewa. Patrzyła na złoto-czerwone dęby, buki, klony... Krążąc od ponad roku między Florydą i Karaibami, zapomniała, że istnieje coś takiego jak jesień. Powinno ją to rozrzewnić, a tylko zirykowało. Gdyby nie to, że wiązała ją umowa o pracę, po tym, co usłyszała od Justina, najchętniej przerwałaby rejs, wsiadła w pierwszy samolot odlatujący z Wyspy św. Tomasza i zapomniała o Celebration.

Czuła się oszukana, a że Justin, zgodnie z obietnicą, zniknął jej z pola widzenia, więc cała złość skrupiła się na ojcu.

- Pożałujesz jeszcze - mruknęła mściwie pod nosem.

Zdziwiony taksówkarz spojrział na nią w lusterku wstecznym. Taka ładna kobieta, szkoda, że rąbnięta, pomyślał ze współczuciem.

Kiedy ujrzała z daleka rodzinny dom opromieniony zachodzącym słońcem, zapomniała na chwilę o palącej żądzy zemsty. Masywny korpus z szarego kamienia dopełniały dwa parterowe skrzydła.

W jednym mieściły się garaże na dziesięć samochodów, chociaż rodzina nigdy nie potrzebowała aż tylu, nawet licząc wozy Alana i Caine'a, w drugim podgrzewany basen. Daniel kazał wznieść rezydencję w dość surowym stylu, przywodzącym na myśl stare zamki, ale cenił sobie komfort.

Serena wysiadła z taksówki i podeszła do drzwi frontowych, nad którymi widniał herb MacGregorów z rodowym zawołaniem, które z gaelickiego na angielski tłumaczyło się jako „Królewski jest nasz ród”. Uśmiechnęła się jak zawsze, ilekroć czytała te słowa. Ojciec nauczył ich poprawnie wymawiać dumne motto, chociaż poza tym cała trójka ani w ząb nie znała gaelickiego.

Taksówkarz wyjął bagaże i skrzynkę whisky, ustawił to wszystko obok Sereny, skasował pieniądze za kurs i odjechał. Serena uderzyła kilka razy potężną mosiężną kołatką, drzwi otworzyły się niemal natychmiast i drobna, siwowłosa kobieta o ostrych rysach wykrzyknęła:

- Panienska Rena!

- Lily. - Serena uściskała wylewnie starszą panią, która od lat pełniła w Hyannis Port obowiązki gospodyni i zastępowała trójce niezdolnych MacGregorów matkę, kiedy Anna była w szpitalu. Opatrywała porozbijane kolana, łagodziła sprzeczki, powściągała temperamenty.

- Tęskniłaś za mną? - zapytała Serena, odsuwając drobniutką Lily na odległość ramienia.

- Nawet nie zauważyłam, że cię nie ma. - Gospościa uśmiechnęła się ciepło. - Gdzie twoja tropikalna opalenizna?

- W wyobraźni.

- Ktoś przyjechał, Lily? - W drzwiach w głębi holu pojawiła się Anna MacGregor. - Rena! - Otworzyła szeroko ramiona na przywitanie córki. - Anna była i delikatna, i silna, a jej córka odziedziczyła tę dość niezwykłą kombinację cech. - Witaj w domu, skarbie. Spodziewaliśmy się ciebie dopiero jutro.

- Złapałam wcześniejszy samolot. - Serena z przyjemnością przyglądała się matce: delikatna cera, młode, świetliste oczy, krótko obcięte, falujące brązowe włosy lekko przyprószone siwizną, zaledwie kilka zmarszczek pomimo lat obcowania z cierpieniem i śmiercią. I charakterystyczny zapach jabłkowych perfum, których Anna używała zawsze, od kiedy Serena sięgała pamięcią. Miała wrażenie, że starość nigdy nie dotknie jej matki. - Jak ty to robisz, że ciągle jesteś taka piękna?

- Ojciec nie chce mnie innej.

Serena zaśmiała się i ujęła dłoń matki.

- Dobrze być znowu w domu.

- Wyglądasz ślicznie, Reno. - Anna patrzyła na córkę z nieskrywaną dumą. - Morskie powietrze ci posłużyło. Lily, powiedz kucharce, że Rena przyjechała, niech już dzisiaj przygotuje powitalną kolację. - Zwróciła się znowu do Sereny: - Musisz mi opowiedzieć wszystko o swoich podróżach, ale najpierw przywitaj się z ojcem, bo nigdy by mi tego nie wybaczył.

Serena zachmurzyła się, zmrużyła oczy. Och, ten ukochany tatuś i jego knowania...

- Pójdę do niego.

- Chcesz mi coś powiedzieć? - zapytała Anna, widząc zmianę nastroju córki.

- Potem. - Serena wzięła głęboki oddech. - Będzie potrzebna pomoc lekarska, kiedy już się z nim rozprawię.

- Rozumiem. - Anna uśmiechnęła się tylko. Nie zadawała żadnych pytań, wiedząc, że i tak nic nie wyciągnie z córki. - Czekam na ciebie w salonie. Pogadamy sobie, kiedy zmyjesz już głowę ojcu.

- To nie potrwa długo. - Ruszyła szerokimi schodami do góry.

Na pierwszym piętrze zatrzymała się. Tutaj, w korytarzu odchodzącym w lewo, pełnym mrocznych zakamarków i zakrętów, znajdowały się sypialnie całej rodziny. Serena pamiętała, jak Caine schował się kiedyś za załomem, żeby wyskoczyć z krzykiem i wystraszyć siostrę.

Goniła go potem przez dobry kwadrans, aż złość na brata zmieniła się w radość z pościgu. W końcu dał się złapać na trawniku przed domem. Siłowali się przez dobrą chwilę, dopóki Serena nie poddała się, obezwładniona śmiechem. Ile mogła mieć wtedy lat? Osiem, dziewięć? Caine jedenaście albo dwanaście. Nagle strasznie za nim zatęskniła, odezwały się więzy krwi.

A Alan, wspominała. Zawsze ją chronił, opiekował się nią. Był o sześć lat starszy od niej i może dlatego nigdy nie toczyła z nim walk, jak z Caine'em. Jako chłopiec Alan był zawsze prawdomówny do bólu, podczas gdy Caine uciekał się nieraz do przemilczeń, jeśli taktowne przemilczenie mogło akurat uratować mu skórę. Ale nie kłamał nigdy. Serena uśmiechnęła się do swoich wspomnień. Po prostu stosował uniki. Alan, prawdomówny Alan,

zawsze potrafił obrócić wszystko na swoją korzyść. I to była chyba wspólna cecha wszystkich MacGregorów.

Teraz jeden z nich będzie musiał jej za to zapłacić, przyrzekała sobie, wchodząc na wieżę, w której mieścił się gabinet jej ojca.

Rozparty w fotelu Daniel słuchał przez telefon nudnego i bardzo precyzyjnego wywodu. Bankierzy, myślał z gryźliwie. Prawdziwe przekleństwo, że człowiek musi się z nimi zadawać. Znikąd żadnego ratunku, nawet pakiet kontrolny w banku cię nie uchroni.

- Dajcie im trzydziestodniowe odroczenia spłaty kredytu - zadecydował w końcu. - Tak, znam cyfry, właśnie mi je pan podał. - Dureń, uzupełnił w myślach, bębniąc palcami w blat biurka. Dlaczego bankierzy widzą wyłącznie cyfry? - Trzydzieści dni - powtórzył. - I zwykłe odsetki za zwłokę. - Usłyszał głośne pukanie, miał już huknąć, żeby mu nie przeszkadzano, kiedy drzwi się otworzyły. - Tak zróbcie - polecił jeszcze, trzasnął słuchawką i uśmiechnął się szeroko. - Rena!

Nie zdążył podnieść się z fotela, kiedy podeszła do biurka, oparła dłoń o blat i nachyliła się do ojca.

- Ty stary capie.

Daniel odchrząknął, czując, że czeka go ciężka przeprawa.

- Ty też świetnie wyglądasz - stwierdził.

- Jak... śmiałeś... to... zrobić - wycodziła, starannie oddzielając słowa, następny groźny sygnał. - Jak śmiałeś nęcić do mnie Justina Blade'a, jakbym była połciem poledwicy wołowej.

- Połciem połędwicy? - zdziwił się Daniel. Piękna ta moja pannica, prawdziwa MacGregorówna, pomyślał z dumą. - Zupełnie nie wiem, o czym mówisz. A więc poznałaś Justina? Świetny chłopak.

Z gardła Sereny dobył się groźny dźwięk.

- Wrobiłeś mnie. Siedzisz w tej swojej wieży i knujesz jakieś idiotyczne spiski, niczym rąbnięty król z superatą w córkach. Trzeba było od razu spisać kontrakt. Wcale bym się nie zdziwiła. Niżej podpisany Daniel Duncan MacGregor niniejszym przekazuje swoją jedyną córkę panu Justinowi Blade'owi w zamian za skrzynkę dwunastoletniej whisky. - Uderzyła dłonią w blat biurka. - Mógłbyś nawet określić, jaką liczbę progenitury powinnam wyprodukować w tym szczęśliwym związku - zasyczała jak wściekły wąż. - No powiedz mi, dlaczego jeszcze nie wynegocjowaliście wysokości posagu?

- Posłuchaj, maleńka...

- Tylko bez maleńkich! - Przeszła za biurko i obróciła fotel z wbitym weń ojcem do siebie. - Obrzydliwość. Nigdy w życiu nie zostałam tak poniżona, upokorzona.

- Naprawdę nie wiem, o czym mówisz. Namówiłem przyjaciela, żeby popłynął w rejs po Karaimbach, odpoczął. To wszystko.

- Tylko mi się tu nie wykręcaj! - Puknęła go palcem w pierś. - Wysłałeś go w rejs, licząc, że natkniemy się na siebie i inwestycja zwróci ci się z nawiązką.

- Wcale nie musieliście się spotkać! - huknął Daniel. - To duży statek.

- Statek duży, ale kasyno małe! - równie głośno huknęła Serena. - Doskonale wiedziałeś, że będziemy musieli się spotkać.

- I co w tym złego, żeście się spotkali? - ryknął Daniel. - Poznałaś mojego serdecznego przyjaciela. Nie pierwszego przecież i nie ostatniego. Mam dziesiątki przyjaciół.

Z gardła Sereny znowu dobył się ten sam groźny dźwięk. Podeszła do wielkiej szafy bibliotecznej na wschodniej ścianie wieży, wyjęła opasły tom zatytułowany „Zgromadzenie konstytucyjne”, otworzyła go i ukazało się sześć cygar ukrytych w sprytnym schowku powstałym przez wycięcie karteek. Wyjęła je i skrupulatnie połamała, nie spuszczać wzroku z ojca.

- Reno! - jęknął Daniel ze zgrozą.

- Ciesz się, że nie dosypałam ci arszeniku do kawy. - Otrzepała pałce.

Daniel podniósł się, położył dłoń na sercu i oznajmił grobowym głosem:

- Mroczny to dzień, kiedy córka zwraca się przeciwko własnemu ojcu. - Wzniósł oczy ku niebu. - Zdrada, śmiertelny grzech, zdrada.

- Zdrada!?! - zawołała Serena. - Masz jeszcze czelność mówić o zdradzie? Nie wiem, co myśli Justin, ale ja czuję się znieważona!

Daniel najeżył się, ale nie uszło jego uwagi, że nazwała Justina po imieniu. Może nie jest tak źle, pomyślał z nadzieją.

- Tak mi dziękujesz za to, że leży mi na sercu twoje szczęście? Ale cóż, poeta mówi, że nie masz ostrzejszego narzędzia nad język niewdzięcznego dziecka. - Daniel najwyraźniej poczuł się królem

Learem, choć cytatu dokładnie nie potrafił przytoczyć.

- Jest. Nóż rzeźnicki.

- Przed chwilą wspominałaś o truciznie, miła dziecino.

- Jestem elastyczna. - Serena uśmiechnęła się.

- Żebyś nie myślał, że wyrzuciłeś pieniądze w błoto, powiem ci, co postanowiłam w kwestii Justina.

- W takim razie mów... - Daniel wrócił za biurko. Miał nadzieję, że teraz, kiedy córeczka dała upust słusznej złości, będzie trochę spokojniejsza i rozsądniejsza. Szkoda tylko cygar. - To świetny chłopak. Dumny, z charakterem. - Zaplótł dłonie na brzuchu i zastygł w postanowieniu, że teraz będzie już wielkoduszny i wszystko wybaczy.

- Tak, zgadza się - przytaknęła Serena słodko.

- Jest też bardzo przystojny.

Daniel uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Wiedziałem, że mogę liczyć na twój rozsądek. Od dawna czułem, że ty i Justin bylibyście dobrą parą.

- W takim razie powinna ucieszyć cię wiadomość, że zamierzam zostać jego kochanką.

- Ja nie... - Daniel w pierwszej chwili osłupiał, po czym wybuchnął: - Ani mi się waź! Nie będziesz... Nie będziesz niczyją... kokotą! Utrzymanką! Jeśli zrobisz coś podobnego, pierwszy raz w życiu sięgnę po pas i złożę ci tyłek. Tak, Sereno MacGregor, złożę ci tyłek, chociaż jesteś dorosłą kobietą.

- Proszę, proszę, teraz się okazuje, że jestem dorosłą kobietą. - Posłała ojcu przeciągłe spojrzenie. - Wobec tego zapamiętaj sobie, że dorosła

kobieta sama decyduje, kiedy ma wyjść za mąż, za kogo i czy w ogóle. Dorosła kobieta nie potrzebuje, żeby ojciec ją swatał, motając kretyńskie intrygi. Zanim znowu wpadniesz na podobny pomysł, zastanów się dwa razy, jak coś takiego może się skończyć. I nie wtykaj nosa w moje życie.

Daniel zmierzył córkę uważnym spojrzeniem.

- A więc nie zostaniesz jego kochanką?

- Mogę wziąć sobie kochankę, ale nie zostanę niczyją kochanką, jeśli rozumiesz, na czym polega różnica - oznajmiła wyniosłym tonem.

Danielowi zrobiło się głupio, a zarazem czuł dumę. Oczywiście wolał skoncentrować się na dumie, co przyszło mu nadspodziewanie łatwo. Podniósł się zza biurka i podszedł do córki.

- Pamiętałaś o mojej szkockiej? - Próbowała piorunować go wzrokiem, ale mina Daniela zupełnie ją rozbroiła. On zaś uśmiechnął się czule. - Oj, Reno, dziecino moja.

Zarzuciła ojcu ręce na szyję.

- Nie mam zamiaru ci przebaczyć - mruknęła.

- Udaję tylko, że przebaczam. I chciałam ci powiedzieć, że wcale za tobą nie tęskniłam. - Pocałowała go w policzek.

- Zawsze byłaś nieznośną smarkulą. - Uściskał ją serdecznie.

Anna zgodnie z obietnicą czekała na Serenę w salonie. Na stoliku obok jej ulubionego fotela obitego materiałem w różę stała taca z zastawą do herbaty.

- Dorzuc do ognia, kochanie - poprosiła Anna, podnosząc głowę znad robótki - a potem usiadł

obok mnie, nalej sobie herbaty, póki gorąca, i opowiadaj.

Serena nigdy nie mogła się nadziwić, jak matka łączy w sobie tak różne cechy. Te same dłonie, które teraz zajęte były haftem, w poniedziałek miały kroić ciało kolejnego potrzebującego pomocy pacjenta.

Anna odłożyła robótkę, a Serena podeszła do kominka. Patrzyła przez chwilę, jak drewno chwytta ogień, a kiedy płomienie buchnęły z nową siłą, wciągnęła głęboko powietrze. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo tęskniła za zapachem palących się polan.

- I gorącą kąpielą - dodała na głos, odwracając się z uśmiechem do matki. - To dopiero będzie luksus, wyciągnąć się wygodnie w wannie po dwunastu długich miesiącach chlapania się pod prysznicem w ciasnej kabinie.

- Pomimo to byłaś zachwycona.

Zaśmiała się i usiadła na podnóżku obok fotela matki.

- Znasz mnie na wylot. Praca była ciężka, przygoda niezwykła, ale cieszę się, że jestem znowu w domu. - Wzięła podaną przez Annę filiżankę.

- Nigdy nie poznałabym tylu różnych ludzi, gdybym nie pływała na Celebration.

- Pisałaś o tym w listach. Sama powinnaś je kiedyś przeczytać, żeby odświeżyć wspomnienia.

- Anna podwinęła nogi i zaśmiała się. - Nie wyobrażasz sobie, jak trudno było namówić ojca, żeby zgodził się na ten twój pomysł i puścił cię w świat.

- Kiedy on wreszcie przestanie martwić się o mnie? - zapytała Serena, kręcąc głową.

- Nigdy. W ten sposób okazuje, jak bardzo cię kocha.

- Wiem. - Serena westchnęła i upiła łyk herbaty. - Gdyby wreszcie przestał trząść się nade mną i pozwolił mi decydować o własnym życiu...

- Powiedz mi, co myślisz o Justinie. - Serena gwałtownie poderwała głowę, na co Anna tylko się uśmiechnęła. - Nie, nie miałam pojęcia o planach twojego ojca. Nie pisał ani słowem, co zamierza. Wasza... dyskusja była dość głośna.

- To nie do wiary! - Serena na nowo zawrzała oburzeniem. Tak się zdenerwowała, że wstała i zaczęła chodzić po pokoju. - Namówił Justina na ten rejs, wyobrażając sobie, że wrócę do domu zakochana bez pamięci, z głową w chmurach. Nigdy jeszcze nie byłam tak wściekła. I tak zażenowana.

- A Justin jak to przyjął?

Z wyrzutem spojrzała na matkę, jakby miała jakiś udział w tym diabelskim spisku.

- W pierwszej chwili osłupiał, ale potem świetnie się bawił tą sytuacją. Nie wiedział, kim jestem, ale któregoś dnia na plaży pokłóciliśmy się i wykrzyczałam mu swoje nazwisko.

Pokłócili się na plaży, pomyślała Anna i upiła łyk herbaty, chcąc ukryć uśmiech.

- Rozumiem. Twój ojciec bardzo go lubi i ceni, Reno. Ja też. Podejrzewam, że Daniel po prostu nie mógł sobie odmówić niewinnego podstępu.

- Potrafi zupełnie wyprowadzić człowieka z równowagi.

- Kto?

- Justin... Obaj - poprawiła się Serena i odstawiła gwałtownie filiżankę. - Powiedział mi

przed samym końcem rejsu, ot tak, mimochodem, jakby nie widział w tym nic dziwnego, że ojciec zaaranżował nasze spotkanie. A ja zaczynałam już... - Odwróciła się do ognia, nie kończąc zdania.

- Zaczynałaś... - powtórzyła Anna, czekając na dalszy ciąg.

- To bardzo ciekawy człowiek - mruknęła Serena. - Trochę bezczelny, ale na tym polega jego urok. W jednej chwili potrafi cię oczarować.

- Aha... - mruknęła tylko Anna. Wolała się nie odzywać, za to uważnie słuchała słów córki i rozważała ich znaczenie.

- Nawet kiedy doprowadzał mnie do białej furii, to budził we mnie inne emocje, których lepiej nie budzić. Nigdy dotąd nie czułam takich emocji i chyba wolałabym nigdy ich nie poznawać. To niebezpieczne uczucie. - Odwróciła się i spojrzała matce w oczy. - Spędziliśmy razem cały dzień na Wyspie św. Tomasza. Poszłabym z nim wtedy do łóżka, gdyby mi nie powiedział o knowaniach kochanego tatusia.

- A teraz co czujesz?

Serena spojrzała na swoje dłonie i westchnęła smętnie.

- Nadal go pragnę. Nie wiem, czy jest w tym coś więcej. Skąd mam wiedzieć? Znam go raptem niecałe dwa tygodnie.

- Reno, ufasz choć trochę swojemu instynktowi? - Gdy jej córka zasepiła się na to pytanie, Anna dodała: - Zastanów się, czy nasze uczucia mają rozwijać się w jakimś określonym czasie? To bardzo indywidualna sprawa, każdy człowiek jest inny. Kiedy poznałam twój ojca, pomyślałam,

że to zadufany w sobie, hałaśliwy półgłówek.

- Serena parsknęła śmiechem. - Oczywiście był taki, ale zakochałam się w nim, niezależnie od wszystkiego. Dwa miesiące później mieszkaliśmy razem, a po roku byliśmy już małżeństwem. - Anna uśmiechnęła się, widząc zaszokowaną minę córki.
- Nie twoje pokolenie wymyśliło seks przedmałżeński, nie myśl sobie. Daniel nalegał na ślub, ja chciałam najpierw skończyć studia, natomiast oboje zgadzaliśmy się co do tego, że nie możemy żyć bez siebie.

Przez chwilę zastanawiała się nad słowami matki, słuchając ognia trzaskającego na kominku.

- Skąd wiedziałaś, że to właśnie miłość, a nie pożądanie?

- Z waszej trójki ty zawsze zadawałaś najtrudniejsze pytania. - Anna nachyliła się i ujęła dłoń córki. - Nie wiem, czy ktokolwiek jest w stanie rozdzielić oba te uczucia. Można oczywiście tylko kochać i tylko pożądać, ale ani to prawdziwa miłość, ani prawdziwa namiętność. Pożądanie przychodzi i szybko odchodzi, wypala się w jednym błysku, nic po nim nie pozostaje. Myślisz, że zakochałaś się w Justinie, czy tylko się boisz, że mogło tak się stać?

Serena otworzyła usta, zamknęła je, w końcu wykrztusiła:

- Jedno i drugie.

Matka uścisnęła jej dłoń.

- Nie mów tylko nic ojcu, bo wpadnie w samouwielbienie. - Anna usiadła na powrót w fotelu.

- Co zamierzasz z tym zrobić?

- Nie wiem. Nie zastanawiałam się. Dokładnie

mówiąc, nie chciałam o tym myśleć. - Serena oparła brodę na kolanach. - Tak czy inaczej, będę musiała się z nim spotkać. Wiedziałam o tym od samego początku. Zaproponował mi pracę.

- Tak?

Serena wzruszyła nerwowo ramionami.

- Miałabym prowadzić kasyno w Atlantic City. Zbieg okoliczności, bo od kilku miesięcy myślę o otwarciu własnego kasyna-hotelu. Zamierzałam nawet przedyskutować ten pomysł z tatą.

- Jeśli Justin zaproponował ci pracę, to znaczy, że docenia twoje umiejętności i ma do ciebie zaufanie.

- Chyba potrafię radzić sobie z ludźmi. - Nigdy nie posądzała się o taką zdolność, dopiero teraz ją w sobie odkrywała.

- Z ludźmi to ty już potrafiłaś sobie radzić, kiedy miałaś dwa lata - uświadomiła jej matka.

- Mam smykałkę. Naprawdę czuję grę, wiem, co to kasyno. - Na twarzy Sereny pojawił się ledwie zauważalny uśmiech. - Przez ten rok wiele się nauczyłam, nie tylko rozdawać karty. Celebration to najlepiej prowadzony hotel, jaki widziałam. Kasyno jest co prawda niewielkie, ale w sam raz, żeby zdobyć praktykę. Poznałam wszystkie tajniki tego biznesu. - Uśmiechnęła się szerzej.

Anna dobrze znała ten jej wyraz twarzy.

- Co ty kombinujesz, Reno?

- Myślę o wejściu do gry. Wygram, przegram albo odejdę od stołu ze swoją stawką.

Justin zamknął drzwi za boyem hotelowym, rozebrał się i wszedł pod prysznic. Rano pokojów-

ka rozpakuje walizki, a kasyno jeszcze tego wieczoru obędzie się bez jego obecności. Zamierzał zjeść kolację w swoim apartamencie i wykonać telefony do swoich hoteli, sprawdzić, czy wszystko w porządku. Oby tak było, bo miał ważniejsze sprawy na głowie niż rozwiązywanie problemów w Las Vegas czy Tahomie.

Odkręcił kran i stanął pod pulsującym strumieniem wody. Serena jest już na pewno w domu i zapewne zdążyła zrobić awanturę ojcu. Justin uśmiechnął się szeroko na tę myśl. Wiele by dał, by widzieć rodzinne powitanie. Zrekompensowałoby mu to, przynajmniej w pewnym stopniu, dwa ostatnie, dłużeńce się w nieskończoność dni na pokładzie Celebration.

Nie przypuszczał, że tak trudno będzie mu dotrzymać słowa. Widział oczami wyobraźni, jak Serena rozdaje karty przy stole do blackjacka w tym swoim wytwornym smokingu, jak kładzie się do łóżka w koszulce z cieniutkiego jedwabiu, i zwyczajnie wariował. Trzymał się jednak od niej z daleka, bo tak obiecał. Układ to układ. Poza tym czuł, że pod złością Sereny kryje się zażenowanie, więc lepiej będzie zostawić ją samą. Dał jej dwa tygodnie, to powinno wystarczyć, by doszła do siebie po wstrząsie, jaki zafundował jej Daniel.

Nawet jeśli odrzuciłaby jego propozycję pracy, nie zamierzał się poddać. Zwabi ją jakoś do Atlantic City, a wtedy wykorzysta swoją przewagę gospodarza. Tym razem to on będzie rozdawał karty.

Zakręcił kurek i sięgnął po ręcznik.

Potrzebował naprawdę dobrego menadżera

w kasynie na parterze i pragnął kobiety w swoim apartamencie na ostatnim piętrze hotelu. Serena i tylko ona mogła zaspokoić obydwie te potrzeby. Justin owinał się ręcznikiem i przeszedł do sypialni.

Pokój, jak cała reszta apartamentu, był przestronny i urządzone ze smakiem. Gruby dywan, przesłonięta wertykalami przeszklona ściana z drzwiami prowadzącymi na balkon, z którego otwierał się widok na ocean, wielkie łożo przykryte jedwabną ciemnoniebieską narzutą. Ile kobiet spało w tym łóżku? Justin nie liczył i niewiele go to obchodziło. Spotkania na jedną noc, obopólna przyjemność, to wszystko.

Wyjął z garderoby szlafrok i włożył go, pozwalając ręcznikowi zsunąć się z bioder. Pamiętał czasy, kiedy gnieździł się w klitkach niewiele większych od tej garderoby. Wtedy też miał kobiety. Gdyby chciał towarzystwa na dzisiejszą noc, wystarczyło, żeby zajrzał do adresownika i wystukał dowolny numer. Pragnął kobiety, ale po raz pierwszy w życiu wiedział, że tego pragnienia nie zaspokoi pierwsza lepsza.

Zaczął kręcić się niespokojnie po apartamencie. Miał swoje powody, żeby osiąść na Wschodnim Wybrzeżu. Hotel w Atlantic City był jego najnowszą inwestycją, dlatego też wymagał szczególnej uwagi.

W gruncie rzeczy Justin nigdy nie przywiązywał wagi do tego, gdzie mieszka. Przez lata przyzwyczał się do hoteli, gdzie wystarczy nacisnąć odpowiedni guzik, żeby każde twoje życzenie zostało natychmiast spełnione. Teraz zaczął myśleć

o domu, własnym domu, wokół którego trzeba kosić trawę i który daje poczucie bezpieczeństwa, stabilizacji oraz prywatności.

Przejechał włosy palcami, zadając sobie pytanie, skąd to uczucie niezadowolenia i niedosytu, kiedy miał wszystko, czego chciał. Nigdy w jego planach nie było miejsca dla kobiety - tej jednej kobiety, na całe życie. A teraz, kiedy wszedł po podróży do swojego apartamentu, owionął go nie miły chłód. Czyżby właśnie dlatego? Gdyby ona tu była, nie czułby pustki. Napełniłaby luksusowe wnętrza swoim śmiechem i wybuchami złości. Swoją namiętnością.

Dlaczego dał jej dwa tygodnie? - wściekał się sam na siebie, wpychając dłonie do kieszeni szlafroka. Dlaczego nie namówił jej, żeby jechała z nim od razu do Atlantic City? Powinien był ją przekonać, nie byłby teraz sam, nie tęskniłby za nią. Musiał czuć jej obecność, usłyszeć choćby jej głos. Podszedł do telefonu i wystukał prywatny numer Daniela MacGregora.

- Słucham, MacGregor.

- Ty stary draniu - przywitał go Justin z czułą serdecznością.

- A, to ty. - Daniel wzniosł oczy do sufitu, wiedząc, że czeka go już druga tego dnia awantura.

- Jak się udał rejs?

- Doskonale, dziękuję. Edukacyjne wakacje, można powiedzieć. Bardzo pouczające doświadczenie. Rozumiem, że Serena już z tobą rozmawiała.

- Jest szczęśliwa, że wróciła do domu. - Daniel spojrzał markotnie na brutalnie sponiewierane

cygara, których nie zdążył jeszcze uprzatnąć.

- Wyraża się o tobie w samych superlatywach.

- W to nie wątpię. - Justin z ponurym uśmiechem usadowił się na sofie. - Nie byłoby prościej powiedzieć mi od razu, że Serena pracuje na Celebration? - zapytał, znając z góry odpowiedź.

- A popłynąłbyś wtedy w rejs?

- Nie.

- No właśnie - stwierdził Daniel rzeczowo. - Tymczasem rejs bardzo był ci potrzebny. Ostatnio byłeś bardzo spięty, nerwowy i nad wyraz drażliwy, mój chłopcze. - Zastanawiał się, czy nie dałoby się zapalić kogoś z połamanych cygar. - Nie przejmuj się, pogadam z Reną, przemówię jej do rozsądku. Na pewno ochłonie.

- Nie, nie pogadasz z Reną. Przestań wreszcie mącić i wtrącać się, w przeciwnym razie nie dostaniesz swojej dwunastoletniej, wolnocłowej chivas regal, którą u mnie zamówiłeś.

- Po co tak ostro stawiasz sprawę? Po co te groźby? - obruszył się Daniel. - Kierowała mną ojcowska troska o was oboje. - A ci niewdzięcznicy tak mi dziękują, pomyślał z goryczą. - Przedłuż sobie wakacje i wpadnij do nas na kilka dni, Justin - dodał na głos, nie rezygnując ze swoich planów.

- Serena przyjedzie do mnie, do Atlantic City.

- Jak to, przyjedzie do ciebie? - Na szerokim czole pojawiły się głębokie zmarszczki. - Co to niby ma znaczyć?

- Dokładnie to, co powiedziałem.

Daniel westchnął.

- Może mi powiesz z łaski swojej, jakie masz zamiary, mój chłopcze.

- Nie. - Justin, już odprężony, rozsiadł się wygodnie na kanapie, założył nogę na nogę, poprawił poły szlafroka. Rozmowa zaczynała go bawić.

- Co to znaczy, nie?! - huknął. - Jestem jej ojcem.

- Ale nie moim. Sam rozdałeś karty, ja je tylko rozgrywam.

- Posłuchaj... - zaczął Daniel tonem, w którym brzmiała pogróżka.

- Nie - przerwał mu Justin spokojnie. - Wypadłeś z licytacji. Ja i Serena gramy teraz o wszystko albo nic.

- Jeśli ją skrzywdzisz, obedrę cię żywcem ze skóry, zobaczysz.

Justin zaśmiał się.

- Kto jak kto, ale Serena MacGregor na pewno nie da zrobić sobie krzywdy.

- To prawda - przytaknął Daniel z dumą. - Ta dziewczyna to pistolet.

- Oczywiście jeśli uważasz, że może zrobić jakiś nierozważny krok, to gotów jestem wycofać się i zapomnieć, że ją poznałem... - kpił sobie Justin.

Daniel zareagował dokładnie tak, jak można było przewidzieć.

- Żadne z moich dzieci nie zrobiło nigdy nierozważnego kroku - oznajmił urażony do żywego.

Justin uśmiechnął się, słysząc jego ton.

- Świetnie, zatem nie wtrącaj się już, z łaski swojej.

Daniel zazgrzytał zębami i skrzywił się paskudnie do słuchawki.

- Obiecuj, Danielu.

- Dobrze, dobrze. Umywam ręce i róbcie sobie, co chcecie, ale pamiętaj, jeśli usłyszę, że ty...

- Do widzenia, Danielu.

Justin odłożył słuchawkę z pełnym satysfakcji uśmiechem. Miał przyjemne poczucie, że odpłacił Danielowi pięknym za nadobne.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Biuro Justina na parterze hotelu łączyła z apartamentem na ostatnim piętrze prywatna winda, przeznaczona wyłącznie do jego użytku. Było to rozwiązanie niezwykle wygodne, bo pracował w bardzo różnych godzinach i nie zawsze miał ochotę pojawiać się w pomieszczeniach hotelowych. Prywatna winda, weneckie lustro ukryte w ścianie gabinetu i rząd monitorów, wszystko to dawało mu poczucie, że panuje nad swoim królestwem.

Sam gabinet, obszerny pokój pozbawiony okien, z jednym tylko wejściem, dawał mu poczucie całkowitej prywatności. Była w tym pewna sprzeczność, bo Justin po czasie spędzonym w celi miał awersję do zamkniętych przestrzeni. Żeby złagodzić poczucie zamknięcia, urządził biuro bardzo starannie. Wnętrze utrzymane było w jasnych, pastelowych kolorach. Na ścianach wisały pogodnie w tonacji obrazy: pustynny pejzaż o zachodzie słońca, scena górską, dzielny Komańcz galopujący na kucyku. W takim otoczeniu mógł pracować, nie czując się uwięziony za biurkiem.

Właśnie przeglądał notowania giełdowe, które

powinny ucieszyć każdego posiadacza akcji Blade Enterprises. Czytał raport dwa razy, stwierdzał, że nic nie pamięta i zaczynał od początku. Dwa tygodnie minęły, Serena dotąd się nie odezwała i Justin czuł, że jego cierpliwość się kończy.

Jeśli ta uparta dziewczyna nie zadzwoni w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin, mówił sobie, to on pojedzie do Hyannis Port i wymusi na niej decyzję: albo, albo.

Do diabła, nie będzie przecież uganiał się za nią, sarknął i ze złością odrzucił raport, nad którym nie mógł się skupić. Nigdy w życiu nie uganiał się za żadną kobietą, a jeśli chodzi o Serenę, to od samego początku był tego bliski. Najlepiej grał wtedy, gdy przeciwnik przechodził do ofensywy.

Przeciwnik, powtórzył. Tak właśnie powinien o niej myśleć. Tak było bezpieczniej. Bezpieczniej? Jakkolwiek by ją nazwał, myślał o niej cały czas, nie mógł się uwolnić od jej obrazu. Była ciągle obecna, blisko, na wyciągnięcie ręki, czuł jej zapach, niemal mógł dotknąć, stawiała mu przed oczami, kiedy tylko zdążyło mu przemknąć przez głowę, że ma ochotę na kobietę. Pragnął jej tak bardzo, że nie pociągała go żadna inna.

Sfrustrowany i głodny, mówił sobie, że musi cierpliwie czekać. Teraz uznał, że dość już tego czekania. Będzie ją miał, zanim dzień dobiegnie końca.

Kiedy sięgał po słuchawkę telefonu, rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść.

Do gabinetu ostrożnie zajrzała sekretarka, spłoszona ostrym tonem głosu szefa.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, Justin - powiedziała cicho.

Opanował się. Nie miał powodu wyładowywać złości na Bogu ducha winnej dziewczynie.

- O co chodzi, Kate?

- Telegram. - Weszła do pokoju. Była szczupła, ciemnowłosa i zawsze stonowana. - Pan Steeves czeka w sekretariacie, pyta, czy go przyjmiesz. Chciałby przedłużyć termin spłaty długu.

Justin odebrał telegram, chrząknął.

- Steeves, powiadasz? Znowu. Pytałaś, ile jest nam winien?

-- Pięć - powiedziała, mając na myśli pięć tysięcy dolarów.

Justin otworzył telegram.

- Cholerny dureń. Gra jak nałogowiec, nigdy nie wie, kiedy przestać. Kto jest w sali?

- Nero.

- Powiedz mu, że Steeves może obstawić jeszcze raz, a potem koniec. Jeśli będzie miał szczęście, odegra się i wyjdzie z kilkoma tysiącami w kieszeni.

- Wiesz, że nigdy nie ma szczęścia - odparła Kate. - Będzie próbował kupić sztony za swoje akcje AT&T. Nie ma nic gorszego niż bogaty bubek, któremu akurat zabrakło gotówki.

- Nie będziemy nikogo umoralniać - ostudził ją Justin. — Dopilnuj, żeby Nero miał na niego oko. To wszystko.

- W porządku. - Kate zamknęła drzwi i wycofała się do sekretariatu.

Justin nacisnął guzik. Odsunął się panel boazerii, za którym ukryte było weneckie lustro. Sam też powinien poobserwować Steevesa.

Spojrzał na telegram.

Rozważyłam Twoją propozycję. Przyjeżdżam w czwartek po południu omówić warunki. Załatw mi odpowiednie lokum.

S. MacGregor

Justin dwa razy przeczytał tekst, wreszcie na jego twarzy pojawił się uśmiech. To bardzo w jej stylu, pomyślał. Krótko, rzeczowo, z miejscem na niedopowiedzenia. Świetnie wyliczony czas. Właśnie minęła dwunasta. Czwartek. A więc Serena przyjeżdża omówić warunki. Poczuł, jak rozluźniają się napięte mięśnie karku. Wyjął z pudełka cygaro i zapalił powoli. Warunki, powtórzył w myślach. Owszem, omówią warunki. Przeprowadzą chłodną rozmowę o interesach.

Kiedy proponował jej pracę w swoim kasynie, wiedział, co robi. Był przekonany, że Serena doskonale się sprawdzi w roli menadżera, poradzi sobie bez trudu i z personelem, i z klientami. Potrzebował kogoś, kto potrafi podejmować samodzielne decyzje, zwalniając go z tego obowiązku. Sam, posiadając pięć kasyn, miał aż nadto pracy, poza tym nieustannie musiał przemieszczać się z miasta do miasta.

Wypuścił dym z cygara. Postara się, żeby Serenie spodobała się praca. A kiedy już to ustalą...

Kiedy już to ustalą, rozmyślał, przejdą na grunt prywatny. Przymknał oczy, zacisnął usta. Tym razem Daniel MacGregor, dobroduszny lis z asem w rękawie, nie będzie rozdawał kart. Dzisiaj wieczorem on i Serena usiądą do gry tylko we dwoje.

Justin zaśmiał się.

Wiedział, jak wygrywać, i umiał wygrywać.
W końcu żył z hazardu, taki miał fach.

Podniósł słuchawkę, połączył się z recepcją.

- Recepcja hotelu Comanche, Steve przy telefonie. W czym mogę pomóc?

- Tu Blade.

- Tak, sir - padła służbista odpowiedź.

- Dzisiaj po południu przyjeżdża do nas panna MacGregor. Dopilnuj, żeby dostała apartament na moim piętrze. Jak tyłko się zamelduje, skieruj ją natychmiast do mnie.

- Tak jest, sir.

- Zamów w kwiaciarni fiołki do jej pokoju.

- Tak jest. Z bilecikiem?

- Nie.

- Zajmę się tym osobiście.

- Świetnie. - Usatysfakcjonowany Justin odłożył słuchawkę i sięgnął ponownie po notowania giełdowe. Tym razem nie miał najmniejszych kłopotów z przeczytaniem w skupieniu raportu.

Serena oddała kluczyki do samochodu portierowi i omiotła spojrzeniem fasadę hotelu Comanche. Justin, zamiast epatować oznakami luksusu, wybrał oszczędną, minimalistyczną architekturę. Otwarta smukła sylweta w kształcie litery V strzelała w niebo na wysokość kilkudziesięciu pięter i tak została zorientowana, że niemal wszystkie pokoje miały widok na ocean. W zakolu podjazdu znajdował się zagłębiony o jeden poziom basen z kaskadą wodną. Na jego dnie pobłyskiwały w słońcu

monety. Goście wrzucali tu drobne, wierząc, że w ten sposób zapewnią sobie szczęście w grze.

Obok wejścia stała figura Komańcza w imponującym pióropuszu na głowie. Żadna tania cepelia, tylko piękna, naturalnej wielkości rzeźba z białego, żyłkowanego marmuru. Serena nie mogła się oprzeć i dotknęła lekko marmurowego torsu. To bardzo w stylu Justina, nie zadowalać się byle czym, pomyślała, spoglądając na rzeźbioną w kamieniu wyrazistą twarz. Czy to wyobraźnia piata jej figle, czy rzeczywiście jest pewne podobieństwo? Gdyby oczy były zielone... Pokręciła głową i odwróciła się.

Czekając, aż jej bagaż zostanie wypakowany i wniesiony do holu, przyglądała się otoczeniu. Znane nazwiska wypisane złotymi literami na ogromnych billboardach, równie wielkie neony jarzące się jeszcze blado w miękkim popołudniowym świetle, hotel za hotelem, fontanny, uliczny gwar, ożywiony ruch, ale atmosfera zupełnie inna niż w Las Vegas.

Nie chodziło tylko o to, że na widnokręgu nie widziało się gór, za to słychać było szum oceanu. Tutaj panował nastrój karnawału, Atlantic City ciągle pozostawało kurortem z białymi plażami. Oczywiście czuło się w powietrzu hazard, ale było to wilgotne powietrze nasycone słoną wonią oceanu, powietrze, w którym niósł się beztroski śmiech dzieci stawiających na plaży zamki z piasku.

Serena poprawiła torbę na ramieniu i weszła do hotelowego holu.

Nie było tu czerwonego chodnika i rozjarzonych żyrandoli. Zamiast ostentacji kusiła delikatna mo-

zaikowa posadzka z terakoty i subtelnie ukryte, rozproszone źródła światła. Mile zaskoczona dojrzała też rośliny w wielkich glinianych donicach, a na ścianach kilimy przedstawiające sceny z życia Indian.

Justin chyba nie zdawał sobie nawet sprawy, jak bardzo związany jest ze swoim dziedzictwem, myślała, podchodząc do recepcji.

Słyszała dobiegający z sal kasyna przytłumiony odgłos automatów do gry i stukanie własnych obcasów o posadzkę. Wręczyła napiwek portierowi i zwróciła się do recepcjonisty:

- Serena MacGregor.

- Witam, panno MacGregor. - Chłopak uśmiechnął się uprzejmie. - Pan Blade spodziewa się pani. Zabierz bagaże panny MacGregor do apartamentu na ostatnim piętrze - polecił boyowi, który już czekał przy kontuarze. - Pan Blade prosił, by skierować panią od razu do jego biura, panno MacGregor, tam oczekuje. Zaprowadzę panią osobiście.

- Dziękuję. - Serena poczuła, że nerwy dają znać o sobie, ale postanowiła nie zwracać na to uwagi. Wiedziała, co robić. Miała całe dwa tygodnie na przygotowanie precyzyjnej strategii. W czasie długiej jazdy z Massachusetts do New Jersey po wielokroć wracała w myślach do swojego planu. Raz czy dwa bliska była tego, by zawrócić na północ i schronić się bezpiecznie w domu rodziców. Podejmowała ogromne ryzyko, stawała przed decyzją, która miała zaważyć na całej jej przyszłości, a stawką w tej grze było jej serce. Wcześniej czy później przyjdzie jej odcierpieć to,

co zamierzała właśnie zrobić. To było nieuniknione. Ale w Atlantic City czekał ktoś, kogo pragnęła.

Ten ktoś nazywał się Justin Blade.

Kiedy recepcjonista otworzył ciężkie dwuskrzydłowe drzwi opatrzone tabliczką „Biura”, położyła dłoń na żołądku, jakby chciała w ten sposób zażegnać czy choćby złagodzić niepokój, który szedł gdzieś z głębi trzewi. Siedząca przy hebanowym biurku szczuplutka, krótko ostrzyżona brunetka podniosła natychmiast wzrok na Serenę.

- Panna MacGregor - zaanonsował gościa recepcjonista.

- Oczywiście. - Kate podniosła się i skinęła na powitanie głową. - Dziękuję, Steve. Pan Blade oczekuje pani, panno MacGregor. Proszę zaczekać moment, powiadomię go, że pani już jest.

A więc to dlatego szef był w takim paskudnym humorze, pomyślała Kate, mierząc Serenę baczny spojrzeniem, i szybko podniosła słuchawkę wewnętrznego telefonu. Podziwiała długie, jasne włosy zebrane do tyłu wpiętymi nad uszami grzebieniami, wyraziste, klasyczne rysy, duże, fiołkowe oczy, szczupłą, zgrabną sylwetkę, kostium z grubego, surowego jedwabiu w kolorze o ton ciemniejszym od barwy irysów. Elegancka, z klasą, oceniła Kate. Przy tym twarda, dodała w myślach, kiedy Serena nie odwróciła wzroku pod jej spojrzeniem.

- Przyszła właśnie panna MacGregor, Justinie. Oczywiście. - Kate odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się do Sereny niemal przyjaźnie. - Tędy proszę, panno MacGregor. - Podeszła do drzwi gabinetu i otworzyła je.

Serena zatrzymała się obok niej na moment.

- Dziękuję, panno...

- Wallace - odpowiedziała Kate automatycznie i raz jeszcze się uśmiechnęła.

- Dziękuję, panno Wallace. - Serena weszła do pokoju i zamknęła drzwi za sobą.

Kate przez chwilę patrzyła na klamkę lekko zaskoczona. Oto została grzecznie, ale stanowczo odprawiona. Raczej zaintrygowana niż urażona, wróciła za biurko.

- Serena. - Justin odchylił się w fotelu. Sam nie rozumiał, dlaczego właściwie spodziewał się jakiejś zmiany. Wydawało mu się, że przez te dwa tygodnie czekania zdążył się na tyle przygotować, by teraz panować nad wybuchem emocji. Otóż nie, bo pierwsze spojrzenie na Serenę podziało jak detonator i spokój prysł w jednej chwili.

- Cześć, Justin. - Miała nadzieję, że nie wyciągnie dłoni na powitanie, bo jej była wilgotna ze zdenerwowania. - Piękny hotel.

- Siadaj. - Wskazał fotel stojący koło biurka.

- Napijesz się czegoś? Kawy?

- Nie. - Uśmiechnęła się uprzejmie i usiadła w fotelu obciążonym kremową skórą. - To miło, że przyjąłeś mnie od razu.

Uniósł brwi na te słowa. Krażyli wokół siebie jak bokserzy na ringu, którzy szykują się do pierwszego starcia i wzajemnie oceniają swoje możliwości.

- Jak lot?

- Przyjechałam samochodem. Bardzo mi tego brakowało przez ostatni rok, a pogoda jest piękna,

doskonała na jazdę. - Starła się ograniczyć do banalnej wymiany zdań, dopóki się nie uspokoi.

- Jak rodzina?

- Rodzice mają się dobrze, a z Alanem i Cainem nie miałam jeszcze okazji się widzieć. - Serena po raz pierwszy uśmiechnęła się naprawdę.

- Ojciec przesyła pozdrowienia.

- To znaczy, że przeżył?

- Znalazłam subtelniejsze metody odwetowe.

- Z pewną satysfakcją pomyślała o połamanym cygarach tatusia.

- Rozumiem, że przyzwyczajasz się na powrót do życia na stałym lądzie? - Justin nie mógł oprzeć się pokusie i wbrew własnej woli spojrzał na jej usta. Były lekko wilgotne, bez śladu szminki.

- Owszem, ale nie zamierzam przyzwyczajać się do bezrobocia. - Poczła mrowienie na wargach i falę ciepła przenikającą całe ciało. Była w tej chwili gotowa na wszystko, na każdy układ, który zaproponowałby Justin, na każde warunki, byle tylko znowu znaleźć się w jego ramionach, poczuć na skórze dotknięcie jego zmyślnych palców. Na wszelki wypadek zaplotła dłonie na kolanach.

- O tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać.

- Moja propozycja jest ciągle aktualna. Możesz zostać szefem kasyna - powiedział lekko, choć nieco trudu go kosztowało, by spojrzeć Serenie w oczy. - Będiesz miała długi dzień pracy, ale nie tak wyczerpujący jak na statku. W salach gry nie musisz pojawiać się przed piątą. Oczywiście sama ustawiasz grafik, w zależności od tego, kiedy chcesz mieć wolny wieczór. Jest trochę roboty papierkowej, ale generalnie twoje zadanie to pano-

wanie nad personelem, dbanie o gości, rozwiązywanie ewentualnych sporów i niejasności. Biuro menadżera znajduje się po drugiej stronie budynku, obok recepcji. Możesz także stamtąd obserwować, co się dzieje w kasynie. Są monitory, jest też bezpośredni podgląd.

Justin nacisnął przycisk i panel boazerii odsunął się, odsłaniając lustro weneckie. Przez jednostronną szybę można było widzieć bezgłośnie jak w niemym filmie tłum gości kasyna, obstawiających grę, rozmawiających, przemieszczających się między stołami.

- Będziesz miała asystenta - ciągnął. - To kompetentny chłopak, ale bez prawa do podejmowania samodzielnych decyzji. Otrzymasz służbowe mieszkanie. Pod moją nieobecność ty i tylko ty rządysz kasynem, oczywiście w ramach ustalonych zasad.

- Oczywiście - powtórzyła, rozluźniając zaciśnięte dotąd dłonie, i uśmiechnęła się pogodnie.
- Justin, chciałabym kierować kasynem jako... twoja współniczka.

Dojrzała błysk w jego oczach, krótki błysk, który zapalił się na ułamek sekundy i zaraz zgasł. Justin odchylił się w fotelu. U kogoś innego taki ruch oznaczałby odprężenie, u niego był znakiem gotowości do akcji.

- Wspólniczka?

- Tak. Wspólniczka w Atlantic City Comanche
- przytaknęła spokojnie.

- Szukam menadżera, który poprowadzi mi kasyno, Sereno. Nie potrzebuję wspólnika.

- A ja nie potrzebuję pracy na etacie. Ani pensji

- odparowała. - Na szczęście jestem finansowo niezależna, ale chcę coś robić, mieć jakieś zajęcie. Nie potrafię leniuchować. Praca na Celebration to był eksperyment, który spełnił moje oczekiwania, i nie muszę szukać kolejnego, podobnego zajęcia. Zależy mi na czymś znacznie poważniejszym.

- Mówiłaś przecież, że po zejściu ze statku chciałaś podjąć pracę w kasynie.

- Nie. - Serena z uśmiechem pokręciła głową. - Nie zrozumiałeś mnie. Miałam na myśli otwarcie własnego kasyna.

- Chcesz otworzyć własne kasyno? - Justina wyraźnie rozbawił ten pomysł. - Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza?

Uniosła hardo brodę.

- Myślę, że tak. Spędziłam rok, pracując w pływającym kasynie-hotelu. Wiem, jak prowadzić kuchnię, która musi przygotować posiłki dla półtora tysiąca ludzi, ile potrzeba zmian pościeli, żeby nigdy nie zabrakło świeżej, jakie wina zamawiać i w jakich ilościach. Wiem, kiedy krupier nie wytrzyma napięcia i trzeba go szybko zastąpić kimś innym, i jak wyperswadować klientowi, żeby przestał grać, zanim zacznie się awanturować. Na statku nic mnie nie rozpraszało, mogłam się uczyć. A ja szybko się uczę.

Justin słuchał jej chłodnej, ale pełnej furii przemowy, widział błysk determinacji w jej oczach. Niewykluczone, że podołałaby temu wyzwaniu, pomyślał po chwili zastanowienia. Potrafiłaby poprowadzić hotel z kasynem. Miała potrzebną do tego iskrę, chęć, upór. I konto w banku.

- Biorąc pod uwagę wszystko, co powiedziałaś

- zaczął powoli - dlaczego miałbym uczynić cię swoją współpracowniczką?

Serena wstała i podeszła do lustra weneckiego.

- Widzisz krupierkę przy stole numer pięć?

- zapytała, pukając palcem w szybę.

Zaintrygowany Justin stanął obok niej.

- Widzę, i co?

- Ma świetne dłonie, szybkie, pewne. Wypracowała sobie odpowiedni rytm. Sprawia wrażenie swobodnej, nie pośpiesza graczy, nie narzuca im tempa, jest na to za dobra. Nie powinna pracować popołudniami w dni powszednie. Taka krupierka potrzebna jest przy stole w czasie największego ruchu. Z kolei krupier, który prowadzi grę w kości, wygląda, jakby był śmiertelnie znudzony. Powinno się z miejsca go wyrzucić albo dać mu podwyżkę.

- Wyjaśnij mi to.

Serena uśmiechnęła się, słysząc rozbawienie w głosie Justina.

- Podwyżka, jeśli są szanse, że zrozumie aluzję i obudzi się wreszcie. Zwolnienie, jeśli nie rokuje, że zrozumie. Pracownicy kasyna powinni mieć tę samą postawę co pracownicy hotelu.

- Racja - przyznał Justin. - I dobry powód, żebyś została menadżerem. Powtarzam raz jeszcze, nie szukam współnika. Czy współpracownicy.

Odwróciła się plecami do szyby, za którą toczyła się bezgłośnie gra.

- Podam ci zatem inne powody. W czasie twojej nieobecności, czy będziesz akurat na Zachodnim Wybrzeżu, czy w Europie, tu będzie czuwał ktoś, kto zaangażował w kasyno, w całe przedsięwzięcie, swoje środki i kto jest równie żywotnie jak ty

zainteresowany, żeby interesy szły możliwie najlepiej. Poszperałam trochę, zebrałam dane. - Przerwała na chwilę. - Jeśli Blade Enterprises będzie się rozwijało nadal w tym tempie, sam najzwyczajniej w świecie nie podołasz wszystkim obowiązkom, ktoś musi cię odciążyć. Chyba że chcesz harować dwadzieścia cztery godziny na dobę i zbijać majątek, nie mając czasu na cieszenie się swoim sukcesem. Pieniądze, które jestem gotowa zainwestować, zrekompensują ci z nadwyżką straty, jakie poniosłeś na Malcie.

Justin uniósł brew.

- Rzeczywiście zebrałaś dane. Wyczerpujące, powiedziałbym.

- My, Szkoci, nigdy nie kupujemy kota w worku. - Uśmiechnęła się triumfalnie. - Rzecz w tym, że nie mam najmniejszej ochoty pracować dla ciebie. Ani dla nikogo innego, jeśli już o tym mowa. Za połowę udziałów poprowadzę kasyno tutaj, w Atlantic City, i będę służyła pomocą w innych, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba.

- Połowa udziałów - powtórzył, kierując to bardziej do siebie niż do niej.

- Wspólnicy, którzy posiadają te same udziały, te same prawa. - Spojrzała mu prosto w oczy.

- Justin, tylko na takich warunkach zgodzę się z tobą pracować.

Zapadła cisza tak kompletna, że Serena słyszała tylko swój przyspieszony oddech. Miała nadzieję, że Justin go nie słyszy, że nie widzi, jak bardzo jest zdenerwowana.

Tak łatwo byłoby teraz zapomnieć o dumie i znaleźć się w jego ramionach. To, co się zaczęło

w czasie ich ostatniego spotkania, dokonało się samoistnie w okresie rozłąki. Serena zakochała się w Justinie, chociaż był daleko, nie kusił jej, nie roztaczał niebezpiecznego czaru. Ale on nie miał się o tym dowiedzieć, nie zamierzała się przed nim zdradzać. Jeszcze nie teraz.

- Zastanów się nad tym, co powiedziałam
- odezwała się w końcu, przerywając milczenie.
- Mam jeszcze inne plany. - Podeszła do fotela i wzięła torebkę. - Skoro już jestem tutaj, wykorzystam okazję i obejrzę kilka nieruchomości.

Gdy poczuła palce Justina na ramieniu, odwróciła się powoli do niego. Była pewna, że powie jej: „blefujesz”. Wówczas pozostawały jej dwa wyjścia: złożyć karty albo podbić stawkę.

- Jeśli w ciągu pierwszego roku stwierdzą, że ta spółka funkcjonuje nie tak, jak bym chciał, będę miał prawo cię wykupić.

Serenę ogarnęło uczucie triumfu. A więc jednak udało się, wygrała!

- Zgoda - odparła, siląc się na spokój.

- Mój prawnik sporządzi stosowną umowę. Tymczasem zapoznaj się z kasynem. Przed podpisaniem dokumentów będziesz miała mniej więcej tydzień czasu, żeby się zastanowić.

- Już się zastanowiłam, Justin. Kiedy raz podejmę decyzję, nie zwykłam jej zmieniać. - Mierzyli się długą chwilę spojrzeniami, w końcu Serena wyciągnęła rękę. - Zatem umowa stoi?

Zamknął jej dłoń w swojej dłoni i trzymał przez chwilę, po czym powoli uniósł do ust.

- Umowa stoi - powtórzył. - Aczkolwiek obydwójce możemy tego bardzo żałować.

Cofnęła dłoń.

- Pójdę do siebie, przebiorę się i wieczorem będę w kasynie.

- Wystarczy, jeśli pojawisz się tam jutro. - Justin wyprzedził ją, stanął przy drzwiach i położył dłoń na jej dłoni, kiedy dotknęła klamki.

- Nie chcę marnować czasu. Przedstaw mi mojego asystenta, krupierów i startujemy.

- Jak sobie życzysz.

- Rozpakuję się tylko, przebiorę i za godzinę będę gotowa. - Nacisnęła klamkę. Chciała jak najszybciej zostać sama.

- Musimy porozmawiać jeszcze o innych rzeczach, Sereno.

Przeszedł ją dreszcz, jakby słowa Justina dotknęły skóry. Tak bardzo go pragnęła, że aż bolało. Odwróciła się do niego.

- Owszem - przytaknęła cicho - ale najpierw chciałam omówić interesy. Nie mieszajmy tych dwóch spraw. Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

Przesunął palcami po klapie jej jedwabnego kostiumu.

- Nie byłbym wcale taki pewien, czy rzeczywiście jedno z drugim nie ma nic wspólnego - mruknął. - Nie oszukujmy się. Nie ma sensu udawać, że jest inaczej, Sereno. Nie jesteśmy przecież dziećmi.

Czuła, jak puls przyspieszył gwałtownie, ale powiedziała mocnym, stanowczym głosem:

- O tym wkrótce będziemy mieli szansę się przekonać, nie sądzisz?

Opuścił rękę, uśmiechnął się i powoli cofnął o krok.

- Cóż, przekonamy się. Czekam na ciebie. Zejdź, jak tylko będziesz gotowa.

Serena szybko odkryła, że praca w kasynie będzie równie ciężka jak na Celebration, tylko że wystąpi tu w innej roli, jako współniczka z połową udziałów. Kiedy składała pierwszy podpis na kwicie kasowym, poczuła radość, że już wkrótce to pulsujące życiem miejsce będzie należało po części do niej.

Minie trochę czasu, zanim zaaklimatyzuje się, zanim ludzie ją zaakceptują. Teraz spoglądali w jej stronę ciekawie. Kiedy Justin przedstawiał ją jako swoją przyszłą współniczkę, słyszała niemal, jak w głowach zaczynają obracać się trybiki. Czekał ją trudny czas próby. Będzie musiała dowieść swoim podwładnym, że jest kompetentna, że potrafi poprowadzić kasyno. Pokieruje nim, niezależnie od tego, jak będą się układały jej prywatne relacje z Justinem. Zasada pierwsza: ufać we własne siły. Zasada druga: być wytrwałą. Obie te zasady w przekonaniu Sereny stanowiły kombinację nie do pokonania. Zdażyła ją wypróbować na własnym ojcu i znała jej siłę.

Jej asystent, Nero, potężny, czarnoskóry, wybitnie małomówny trzydziestokilkulatek, przyjął wiadomość, że teraz jego szefową będzie panna MacGregor, wzruszeniem ramion. Jak się okazało, od dawna pracował u Justina w różnych miejscach i na różnych stanowiskach. Oprowadził Serenę po kasynie, udzielając niezwykle lakonicznych informacji na temat panujących tu zasad, jakby całym

swoim zachowaniem chciał dać do zrozumienia, że nie będzie łatwo zdobyć jego zaufanie.

Przy jednym ze stołów krupier najwyraźniej miał kłopoty z klientem. Słyszając podniesiony głos, Serena ruszyła w tamtą stronę. Mężczyzna, któremu nie powiodło się w grze, miał za złe całemu światu swój brak szczęścia.

- Proszę wybaczyć. - Serena, stanąwszy obok krupiera, uśmiechnęła się do gości. - Jakies problemy? - zapytała, patrząc na awanturnika.

- Owszem, złotko. - Mężczyzna nachylił się i chwycił ją za nadgarstek. - A ty kim jesteś?

Spojrzała na jego dłoń, potem podniosła wzrok na twarz rozjątrzonego gracza.

- Właścicielką.

Mężczyzna zaśmiał się głośno i dokończył swojego drinka.

- Znam właściciela, panienko, i nie powiem, żebyś była choć trochę podobna do niego.

- To mój partner - oznajmiła Serena z lodowatym uśmiechem. Kątem oka zobaczyła, że Nero zmierza w jej stronę, dała mu więc ledwie zauważalny znak głową, że sama sobie poradzi. - W czym mogę panu pomóc?

- Przegrałem kupę kasy przy tym stole. Ci ludzie mogą to potwierdzić.

Jedni gracze czekali na koniec awantury z oznakami irytacji na twarzach, inni byli wyraźnie znużeni towarzystwem podpitego pechowca, w każdym razie wszyscy omijali go wzrokiem.

- Będzie pan łaskaw skasować sztony, które mu zostały? - zaproponowała Serena grzecznie.

- Chciałbym się odegrać, przynajmniej częś-

ciowo - burknął gracz. - A ten tutaj - wskazał na krupiera, który słuchał wymiany zdań z kamienną twarzą i tylko w jego oczach można było dojrzeć wściekłe błyski - nie chce podnieść stawki.

- Nasi krupierzy nie są upoważnieni do podnoszenia stawek, panie...

- Carson. Mick Carson. Co to za kasyno, w którym człowiek nie może się odegrać!

- Tak jak powiedziałam, krupierzy nie mają prawa podnosić stawki, ale ja tak - oznajmiła Serena spokojnym głosem. - Można wiedzieć, o jakiej sumie pan myśli, panie Carson?

- To już brzmi lepiej. - Dał znak, że chce kolejnego drinka, ale Serena rzuciła ostrzegawcze spojrzenie kelnerce. - Pięć tysięcy. - Uśmiechnął się wyzywająco. - To pozwoli mi się odegrać.

- W porządku. Nero, proszę przynieść wykaz pana Carsona - zwróciła się do asystenta, który jednak pojawił się u jej boku. - Może pan postawić jednorazowo pięć tysięcy. Jeśli pan przegra, to będzie koniec na dzisiaj.

- Dobrze, słoneczko. - Ponownie chwycił ją za nadgarstek i omiótł od stóp do głów lekko zamglonym spojrzeniem. - Jeśli wygram, może wypijemy razem drinka w jakimś zacisznym miejscu?

- Niech pan nie żąda zbyt wiele od losu, panie Carson - ostrzegła go z uśmiechem na twarzy.

Carson zachichotał, po czym złożył zamaszysty podpis na kartce, którą podsunął mu Nero.

- Nigdy nie zaszkodzi spróbować, skarbie... O nie! - zawołał, kiedy zamierzała odejść. - Ty będziesz rozdawała.

Serena bez słowa zajęła miejsce krupiera i w tej

samej chwili dostrzegła stojącego z boku Justina, który spokojnie obserwował całą scenę. A niech to, pomyślała. Chyba nie dała ponieść się zdenerwowaniu. Spojrzała na Carsona. Życzyła mu, żeby wreszcie wygrał i wyniósł się z kasyna bez dalszych awantur.

- Proszę obstawiać - zaczęła, ale nikt z siedzących przy stole nie kwapił się wchodzić do gry, jakby się umówili, że przeczekają awanturnika.

- Tylko ty i ja. - Carson przesunął swoje sztopy na środek stołu.

W pierwszym rozdaniu dostał dwójkę i siódemkę.

- Dobieram - zażądał, podnosząc machinalnie pustą szklankę. Serena odkryła damę. - Stop - powiedział.

- Stop na dziewiętnastu. - Serena odkryła teraz swoje karty. - Dwanaście, piętnaście... - zliczała, odkrywając piątkę. - Dwadzieścia.

Carson zaklął głośno.

- Zapraszamy ponownie, panie Carson - powiedziała chłodno, czekając, aż ten się podniesie.

Mierzył ją przez chwilę wściekłym wzrokiem, po czym wstał z ociąganiem i bez słowa opuścił salę.

- Przepraszam za małe zamieszanie. - Serena uśmiechnęła się do pozostałych graczy i skinęła na krupiera.

- Gładko pani poszło, panno MacGregor - mruknął Nero, kiedy przechodziła koło niego.

Zatrzymała się.

- Dziękuję, Nero. Jestem Rena.

Nero uśmiechnął się, a ona podeszła do Justina.

- Chciałeś mieć tu w kasynie kogoś zaufanego?
- zapytała cicho.

- Chciałem mieć tu ciebie. - Nawinał na palec kosmyk jej włosów. - Z bardzo różnych powodów. To był jeden z nich.

Serena zaśmiała się.

- Co by było, gdybym przed chwilą przegrała z tym człowiekiem?

Wzruszył ramionami.

- Tobyś przegrała, nic wielkiego. Ważne, że załagodziłaś sytuację spokojnie i z wielką klasą
- szepnął, patrząc jej w twarz. - Podziwiam twój styl, Sereno MacGregor.

- Dziwne. - Poczuła, że dokonuje się w niej jakaś zmiana, która wyzwala ciepło i łągodność.

- Ja od początku podziwiałam twój.

- Masz podkrążone oczy, jesteś zmęczona.

- Trochę. Która godzina?

- Dochodzi czwarta.

- Nic dziwnego. Problem z kasynami polega na tym, że tracisz poczucie czasu. Nie wiesz, czy to dzień, czy może noc.

- Wkładasz w pracę bardzo dużo energii. - Justin ruszył do wyjścia. - Powinnaś zjeść porządne śniadanie.

- Mhm.

- To mruknięcie ma znaczyć, że jesteś głodna, dobrze rozumiem?

- Owszem, bardzo dobrze rozumiesz. Dopiero teraz, kiedy wspomniałeś o jedzeniu, poczułam, że umieram z głodu. - Wchodząc za Justinem do sekretariatu biura, obejrzała się przez ramię. - Restauracja, jeśli pamiętam, jest po drugiej stronie.

- Zjemy śniadanie w moim apartamencie.
- Chwileczkę. - Zaśmiała się i zatrzymała w przejściu. - Wolę zjeść w restauracji. Tak będzie wytworniej.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym sięgnął do kieszeni.

- O nie... proszę...
- Orzeł u mnie, reszka w restauracji.

Serena zmarszczyła nieufnie brwi i wyciągnęła dłoń.

- Pokaż mi tę monetę. - Wzięła pieniążek w palce i obejrzała go uważnie. - Dobrze, rzucaj - skapitulowała. - Jestem zbyt zmęczona, żeby się z tobą kłócić.

Justin rzucił monetę i chwycił ją na wierzch dłoni.

- Jedziemy na górę - stwierdził.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Któregoś dnia w końcu cię pobiję i to ja wygram - powiedziała Serena z przekonaniem i ziewnęła szeroko, kiedy wsiedli do windy. Justin nacisnął guzik penthouse'u. - Ale wtedy stawka będzie znacznie wyższa niż śniadanie. - Omiotła spojrzeniem wyłożoną dymnymi lustrami kabinę. - Nie zauważyłam wcześniej, że masz w biurze windę.

- To droga ewakuacyjna - powiedział z uśmiechem. - Od czasu do czasu dobrze jest mieć dokąd uciec przez nikogo niewidzianym.

- Nie podejrzewałam cię o skłonności eskapistyczne. Chociaż nigdy nic nie wiadomo. - Przypomniała sobie lustro weneckie w gabinecie Justina.

- Nie czujesz się czasami osaczony przez ten tłum, który przetacza się przez kasyno?

- Ostatnio, owszem, zdarza mi się. Myślę, że tobie zdarzało się coś podobnego na Celebration. Czy nie dlatego w nocy, kiedy wszyscy już spali, wychodziłaś na pokład?

Wzruszyła ramionami.

- Skoro mam tu mieszkać, muszę się przy-

zwyczać. Zresztą mam wrażenie, że zawsze, od-
kąd pamiętam, otaczał mnie tłum ludzi. - Drzwi
windy rozsunięły się bezszelestnie i Serena wysiad-
ła. - Justinie, tu jest naprawdę ślicznie.

W prywatnym apartamencie kolorystyka była
śmielsza niż w biurze: poduchy indygo na roz-
łożystej kanapie, lampa z zielonym kloszem. Do
tego spokojne rysunki węglem na ścianach i stare
kryształowe lustro w rzeźbionej, złoconej ramie.

- Wnętrze, w którym się odpoczywa. - Wzięta
do ręki odlaną w brązie figurkę pikującego orła.
- Tyle tu osobistych drobiazgów. Można zapom-
nieć, że to hotelowy apartament.

Dziwne, ale dopiero teraz, kiedy Serena trzy-
mała w dłoni rzecz, która należała do niego, Justin
poczuł, że rzeczywiście jest u siebie w domu. Do tej
pory było to po prostu mieszkanie, nic więcej.
Miejsce, gdzie chronił się po pracy. W każdym
swoim hotelu miał podobne: wygodne, zaciszne
i absolutnie puste, teraz to sobie uświadamiał.
Puste aż do dzisiaj.

- Mój apartament też jest bardzo ładny, ale
poczuję się tam naprawdę dobrze, kiedy zaaranżuję
go po swojemu. Poproszę, żeby mama przysłała mi
moje biurko, kilka innych mebli i drobiazgów.
- Podniosła głowę i zobaczyła, że Justin obserwuje
ją tym swoim przenikliwym wzrokiem, w mil-
czeniu. Jakie to typowe dla niego, pomyślała, ale
poczuła się nieswojo. Odstawiła na półkę kulę
z kobaltowego szkła, którą trzymała właśnie w dło-
niach. - Jaki masz stąd widok? - Chciała podejść
do okna, przed którym był niewielki podest, kiedy
zobaczyła, że stół jest już nakryty. Podniosła po-

krywę z jednego z półmisków i jej oczom ukazał się duży, smakowicie wyglądający omlet meksykański, bekon i bułeczki kukurydziane. Obok stał srebrny dzbanek z aromatyczną kawą, a na stojaku przy stole wiaderko z lodem, w którym chłodził się szampan.

- Coś podobnego - mruknęła, wyjmując pączek róży z kryształowego wazonu. - Stoliczku, nakryj się? Po prostu wspaniale.

- A mówią, że cuda się nie zdarzają.

- Chcesz dowodu, że się zdarzają? - spytała, wachając różę. - Otóż to prawdziwy cud, że nie wylałam ci kawy na głowę.

- Jeśli chodzi o kawę, zdecydowanie wolę stosować ją wewnętrznie. - Podeszedł do niej. - Podobają ci się róże?

Puściła pytanie mimo uszu.

- Już drugi raz przygotowujesz posiłek bez uzgodnienia ze mną.

- Dbam o ciebie. Poprzednim razem też byłaś głodna.

- Nie w tym rzecz.

- A w czym?

Wciągnęła głęboko powietrze, a z nim aromatyczne zapachy ciepłego jedzenia.

- Przed minutą przegrałam w orła i reszkę i zgodziłam się jechać na górę. Jakim sposobem zdażyłeś zamówić śniadanie?

- Zadzwoiłem do obsługi hotelowej, zanim poszedłem na salę sprawdzić, czy nie potrzebujesz pomocy. - Wyjął butelkę z wiaderka, owinał ją serwetką i zreżnie otworzył.

- Bardzo sprytnie. - Usiadła za stołem, oparła

łokcie na blacie i brodę na dłoniach. - Szampan do śniadania?

- Wczesny ranek to najlepsza pora na szampana. - Justin napełnił smukłe kieliszki i usiadł naprzeciwko niej.

- To bardzo miło z twojej strony - powiedziała, nakładając sobie kawałek omleta na talerz - pod warunkiem, że zdecyduję się przymknąć oko i wybaczę ci arogancję.

- Smacznego - mruknął.

Wzięła do ust pierwszy kęs i rzeczywiście przymknęła oczy... z rozkoszy.

- Wybaczenie przychodzi łatwo, kiedy człowiek od wielu godzin nie miał nic w ustach. Albo umieram z głodu, Justinie, albo jest to najlepszy omlet, jaki w życiu jadłam.

- Miło słyszeć. Nie omieszkam przekazać szefowi, że ci smakował.

- Mhm. Bardzo. Jutro zajrzę do kuchni i do klubu nocnego. Widziałam afisze. Chuck Rosen występuje u ciebie przez najbliższy tydzień. Domyślałam się, że masz bilety wysprzedane do ostatniego miejsca.

- Podpisałem z nim dwuletni kontrakt. Zgodził się występować wyłącznie w moich hotelach i frekwencja jest rzeczywiście świetna.

- Mądre posunięcie. Wiesz co... - Uniosła kieliszek i przyglądała się Justinowi przez chwilę. - Jesteś dokładnie taki, jakim cię zobaczyłam, kiedy usiadłeś pierwszy raz przy moim stole, a jednocześnie zupełnie, ale to zupełnie inny, niż sobie wyobrażałam.

Upił łyk szampana, potem spojrzął jej w oczy.

- A jak mnie sobie wyobrażałaś? - zapytał zaintrygowany.

- Myślałam, że jesteś zawodowym hazardzistą. W pewnym sensie jesteś... - Upiła kolejny łyk. Justin miał absolutną rację: szampan to wino, które należy pić o świcie, wtedy smakuje najlepiej. — Jakoś nie widziałam w tobie biznesmena, który prowadzi sieć kasyn, i to całkiem rentownych.

- Nie? - Był wyraźnie rozbawiony. - A kogo widziałas w takim razie?

- Nomadę bez stałego miejsca, kogoś, kto cały czas jest w drodze. W pewnym sensie niewiele się pomyliłam, biorąc pod uwagę twoje pochodzenie, ale nie sądziłam, że potrafisz wziąć na siebie brzemię obowiązków, jakie łączy się z prowadzeniem rozległych, bądź co bądź, interesów. Stanowisz ciekawą kombinację brawury i odpowiedzialności, twardości i... - uniosła znowu różę - niezwykłej delikatności.

- Nigdy jeszcze nikt nie zarzucił mi czegoś podobnego - mruknął Justin, napełniając ponownie jej kieliszek.

- Mianowicie?

- Że jestem delikatny.

- Cóż, nie jest to twoja dominująca cecha - stwierdziła rzeczowo i upiła łyk musującego wina. - Dlatego działa obeszładniająco, kiedy się wreszcie ujawnia.

- Cała przyjemność po mojej stronie, jeśli działam na ciebie obeszładniająco. - Dotknął palcami jej dłoni. - Lubię... działać obeszładniająco - dodał z wesołym błyskiem w oku.

Upiła kolejny łyk, powtarzając sobie, że nie da zbić się z tropu.

- Nie myśl tylko, że jestem słabą i kruchą kobietką, bo czeka cię głębokie rozczarowanie.

- To już wiem - przyznał uczciwie. - Nie musisz się zastrzeżać. Tym bardziej doceniam, że tak reagujesz. Puls ci przyspiesza, kiedy cię dotykam - szepnął, przesuwając palcem po wewnętrznej stronie nadgarstka.

Serena odstawiła kieliszek.

- Powinnam już iść.

Podniósł się razem z nią, ich dłonie się splotły. Kiedy spojrzała mu w oczy, dojrzała w nich absolutną pewność i spokój.

- Obiecałem sobie wczoraj, że jeszcze tej nocy będziemy się kochać, Sereno. - Zrobił krok i ujął jej drugą dłoń. - Do wschodu słońca została nam jeszcze godzina.

Pragnęła tego. Każdą komórkę ciała przenikało obezwładniające pożądanie, a jednak gdyby nie zaciskał tak mocno dłoni na jej dłoniach, cofnęłaby się, uciekła.

- Justinie, też cię pragnę, nie przeczę, nie będę cię okłamywać, ale myślę, że będzie lepiej, jeśli damy sobie trochę czasu.

- Bardzo rozsądna propozycja. - Wziął ją w ramiona. - Lecz ten czas właśnie się skończył. - Kiedy Serena zaczęła się śmiać, zamknął jej usta pocałunkiem.

Tego głodu żadne pożywienie nie mogło zaspokoić. Tulił ją do siebie, przygarniał tak mocno, że nie mogła się uwolnić. Nie próbowała nawet się uwalniać, walczyć z Justinem, wiedząc, że to na

nic. Tak, nie kłamała, pragnęła go tak samo mocno, jak on pragnął jej.

Nie była to gra erotyczna, tylko desperackie poszukiwanie bliskości. Teraz. Już nie mogli się wycofać. To, co zaczęło się kilka tygodni wcześniej od wymiany chłodnych spojrzeń, wreszcie miało znaleźć swoją kulminację.

I znajdzie kulminację, przemknęło Serenie przez głowę, bo oboje tego pragnęli, oboje nie wyobrażali sobie innego finału.

Te pierwsze poruszenia namiętności napełniły ją cichą radością. Oto kochała. A miłość, teraz to zaczynała rozumieć, jest najwspanialszą ze wszystkich przygód, jakie może przeżyć człowiek. Ujęła twarz Justina w dłonie i oderwała usta od jego ust. Spojrzała mu w oczy, w których czytała pragnienie.

Potrzebowała jednej krótkiej chwili, by umysł błyskawicznie otrzeźwiał i mogła powiedzieć to, co chciała powiedzieć, spokojnie, nie dając się ponieść emocjom.

Delikatnie przesunęła palcami po jego policzkach. Słyszała, jak serce wali mu gwałtownie, czuła jego bicie przez skórę, gdy jej zaczynało bić zwykłym, spokojnym rytmem. Uśmiechnęła się lekko.

- Chcę tego. Zdecydowałam się - powiedziała.

Justin milczał, wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany. Te proste słowa miały większą siłę przyciągania niż delikatny zapach Sereny, niż smak jej ust. Nigdy nie przypuszczał, że potrafi czuć się tak bezbronny jak w tej chwili. Nie znał siebie takim. Nagle poczuł, że to coś więcej niż namiętność. Podniósł dłoń Sereny do ust.

- Od naszego ostatniego spotkania myślę cały czas tylko o tobie - powiedział. - Pragnę tylko ciebie. - Przesunął dłonią po jej włosach. Pożądanie, myślał... Dobry Boże, kiedy w życiu czuł takie pożądanie. - Chodźmy do łóżka, Sereno. Nie wytrzymam bez ciebie ani chwili dłużej.

Bez słowa podała mu rękę i przeszli do sypialni spowitej w szarym świetle przedświt.

Było cicho, tak cicho, że Serena słyszała własny, przyspieszony teraz oddech. A była przecież taka spokojna... Kiedy Justin odsunął się od niej, poczuła, że ogarnia ją zdenerwowanie.

Nie będzie delikatny, pomyślała, wspominając jego gwałtowne pocałunki. Groźny i fascynujący kochanek. Usłyszała suchy trzask, zobaczyła płomyk zapałki i po chwili pokój rozświetlił pełgający blask świecy, na ścianach zatańczyły cienie.

Nie odrywała oczu od jego niebezpiecznie pięknej twarzy. Teraz zdawał się bardziej należeć do świata swoich indiańskich przodków niż do jej świata, tego świata, w którym poruszała się pewnie, który dobrze znała i rozumiała.

Dopiero teraz pojęła, dlaczego złotowłosa dziewczyna znad strumienia najpierw walczyła na śmierć i życie, a potem została ze swoim Indianinem.

- Chcę cię zobaczyć - szepnął Justin, wciągając ją w krąg światła padającego od świecy i poczuł ku swemu zaskoczeniu, że ciałem Sereny wstrząsnął dreszcz. - Ty drżysz.

- Wiem. - Wciągnęła powietrze i szybko je wypuściła. - To głupie.

- Nie. - Jej reakcja dała mu dziwną moc,

napełniła się. Serena MacGregor nie była kobietą, która drżałaby przed mężczyzną, ale kiedy patrzyła na niego rozplamionym wzrokiem, jednak drżała. Ujął jej głowę w dłonie, spojrzał prosto w świetliste oczy, w których płonęło pierwotne pożądanie.

- Nie - powtórzył, pocałował ją i położył na łóżku.

W pierwszym brzasku dnia twarz Sereny wydawała się jak z porcelany. Zamknęła oczy, rozchyliła usta i oddychała szybko. Na wpół przytomny z pożądania, ślubował sobie, że nigdy żaden mężczyzna nie zobaczy jej takiej, jaką on widział ją w tej chwili.

Wiedział, po prostu wiedział, że jeszcze nikt, nigdy nie zdobył Sereny bez reszty.

- Spójrz na mnie - poprosił zdławionym, chropowatym głosem. - Popatrz na mnie, Sereno.

Otworzyła oczy, w których była rozkosz, namiętność, pożądanie.

- Jesteś moją kobietą. - Wszedł w nią ponownie i niemal stracił kontrolę nad sobą. - Nie ma już dla ciebie powrotu.

- Ani dla ciebie.

Zaczęli poruszać się jednym rytmem.

Justin próbował zrozumieć, co powiedziała, ale zanurzył twarz we włosach Sereny i zatracił się zupełnie. Świat zniknął...

Przez wielkie okno sypialni sączyło się różanokwiatowe światło brzasku.

Justin leżał z głową na ramieniu Sereny, a ona patrzyła na grę tonów na jego skórze. To, co widziała, zgadzało się z tym, co czuła. Obrazy

i odczucia stanowiły doskonałą jedność. Wszystko jaśniało, było przesycone życiem, nowe. Czy może być piękniejszy wschód słońca niż ten, który przychodzi, kiedy leżysz wyczerpana w ramionach kochanka? Sen... Nie chciało się jej spać. Mogłaby tak leżeć w nieskończoność, patrzeć na grę słonecznego światła i słuchać oddechu Justina.

Westchnęła szczęśliwa i przesunęła dłońmi po jego plecach.

Unióśł głowę. Wpatrywał się długo w jej twarz, jakby chciał utrwalić w pamięci każdy najdrobniejszy rys. Nie widział nic poza jej twarzą, o niczym innym nie myślał, była tylko twarz Sereny. Zaczął obsypywać delikatnymi pocałunkami usta, powieki, skronie, policzki, aż poczuła, że płacz wzbiera jej w gardle. Nie wiedziała, gdzie są granice jej ciała, gdzie jest ona, gdzie on, wszystko się zatarło, stało się jednym.

- Myślałem, że wiem, jak będzie wyglądała nasza noc - szepnął, muskając jej wargi. - A powinienem był wiedzieć, że z tobą wszystko jest inne, nic nie da się przewidzieć. - Znowu uniósł głowę i przesunął palcem po policzkach, na których rysowały się cienie od zmęczenia. - Powinnaś teraz spać.

Uśmiechnęła się, odgarnęła Justinowi włosy z czoła.

- Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek zasnę. Nie chcę przespać już nigdy żadnego wschodu słońca.

Pocałował ją lekko, obrócił się na plecy i pociągnął ją z sobą.

- Chcę, żebyś była ze mną, Sereno.

Wtuliła się w niego.

- Jestem z tobą.

- Chcę, żebyś mieszkała ze mną - powiedział, patrząc jej w oczy. - Tutaj. Nie w swoim apartamencie, tylko tutaj. - Przesunął kciukiem po jej wargach. - Nie chcę, żeby pracownicy spekulowali, zgadywali. Jak zamieszkamy razem, nie będą mieli o czym mówić.

Oparła głowę na ramieniu Justina i przesunęła palcem po jego piersi.

- Będą mieli. Będą ekscytować się tym, że związałeś się z córką Daniela MacGregora.

- Tak. - W głosie Justina zabrzmiała nowa nuta, ale Serena wiedziała, że jeśli teraz spojrzy w jego oczy, nic z nich nie wyczyta. - Media będą miały wspaniały temat. Dziewczyna z dobrego domu, dziedziczka MacGregorów, i jakiś Indianin prowadzący kasyna...

- Justin... - Przesunęła palcem przez środek jego klatki piersiowej w dół i z powrotem. - Ustalmy, prosisz, żebyśmy z tobą zamieszkała, czy usiłujesz wyperswadować mi ten pomysł?

Milczał przez chwilę, a Serena wodziła palcem po jego torsie.

- I to, i to - powiedział w końcu.

- I to, i to - powtórzyła kpiąco. - Rozumiem. Przecież to takie proste. - Przechyliła głowę i pocałowała go w szyję. - Zastanowię się. Rozważę wszystkie za i przeciw - mówiła, całując go w brodę. Przesunęła się i położyła na Justinie. - A może ty mógłbyś wyliczyć wszystkie za i przeciw? - poprosiła słodko, całując go w usta. - Bardzo by mi to ułatwiło sprawę.

- I pomogło, ma się rozumieć, podjąć przemyślaną decyzję. - Delikatnie pogłodził jej biodro.

- Mhm. - Znalazła wrażliwy punkt tuż za jego uchem. - Wiesz, że na ostatnim roku w Smith College to ja prowadziłam wszystkie dyskusje uczelniane?

- Nie. - Przymknął oczy, pozwalając, by Serena uwodziła go pieszczotami.

- Daj mi tylko temat - powiedziała, sunąc palcami po jego żebrach - i czas na... zebranie materiału - pocałowała go w szyję - a ja potrafię znaleźć argumenty za i przeciw. Więc wracając do naszej zasadniczej kwestii, w tej chwili widzę ją tak - westchnęła uszczęśliwiona, czując pod wargami puls na jego szyi. - Otóż mieszkanie z tobą oznacza mnóstwo problemów.

Pieścił jej biodro, przesunął dłoń między uda, ale Serena zsunęła się niżej, psując mu przyjemność.

- Sereno...

- Nie, teraz ja rządę - powiedziała, drażniąc językiem skórę na jego brzuchu. - Otóż - powróciła do tematu - stracę prywatność, w dodatku będę chronicznie niewyspana - mówiła i, wsłuchując się z rozkoszą w jego przyspieszony oddech, dalej eksplorowała jego ciało. - Będę narażona na plotki i domysły ze strony pracowników. Stanę się obiektem zainteresowania prasy. - Tu straciła wątek, krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach. - Nie sposób z tobą mieszkać - dodała z największym trudem. - Jesteś potwornie absorbujący, irytujący i w dodatku tak pociągający, że nie będę miała przy tobie ani chwili spokoju. - Przesunęła się znowu w górę, ocierając się zmysłowo o Justina.

- Zważywszy więc wszystkie przeciw, daj mi choć jeden przekonujący powód, dla którego powinnam z tobą zamieszkać.

Justin słyszał swój urywany, przyspieszony oddech, ale nie był w stanie go kontrolować. Chwycił Serenę za włosy i nie był to wcale delikatny chwyt, ale tego też nie był w stanie kontrolować.

- Chcę cię.

Nachyliła twarz tak, że jej usta niemal dotykały jego ust.

- Pokaż mi, jak bardzo.

Cztery godziny później zadzwonił telefon. Serena poruszyła się, westchnęła i zakłęta cicho. Justin przygarnął ją do siebie jednym ramieniem, a wolną dłonią podniósł słuchawkę.

- Tak? - Zobaczył, że Serena uniosła powieki i przygląda mu się sennie. Pocałował ją lekko w czubek głowy. - Kiedy? - Justin zeszywniał. Zaalarmowana Serena uniosła się na łokciu. - Wszyscy ewakuowani? Nie, sam to załatwię. Poczekaj chwilę, nic nie rób. Zaraz będę na dole.

- Co się stało?

Justin zdążył wyskoczyć już z łóżka i podbiec do szafy.

- Podobno w Vegas ktoś podłożył bombę. Dostali ostrzeżenie. - Chwycił pierwsze z brzegu rzeczy do ubrania, które nawinęły mu się pod rękę: dzinsy i kaszmirowy sweter.

- O Boże. - Serena podniosła się i zaczęła szukać swojej bielizny. - Kiedy to ma się stać?

- Ten, kto dzwonił, powiedział, że zdetonują ładunek o trzeciej trzydzieści pięć ich czasu, jeśli

nie dostaną dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Nie mamy zbyt wiele czasu - mruknął Justin, zapinając dzinsy. - Właśnie kończą ewakuować hotel.

- Chyba nie masz zamiaru zapłacić tym bandytom? - Z wściekłym błyskiem w oku wciągnęła koszulkę przez głowę.

Przyglądał się jej przez chwilę w milczeniu, po czym na jego twarzy pojawił się zimny, ostry jak stal uśmiech.

- Nie, nie mam zamiaru płacić.

Przeszedł do sąsiedniego pokoju, Serena za nim.

- Przebiorę się i też zaraz będę na dole.

- Nie musisz. W niczym nam nie pomożesz.

Drzwi windy otworzyły się, ale Serena chwyciła Justina za rękę.

- Chcę być z tobą.

Jego rysy na moment złagodniały.

- W takim razie pospiesz się. - Pocałował ją i wszedł do kabiny.

Dziesięć minut później Serena szła szybkim krokiem przez hotelowy hol do biura Justina. Kiedy weszła do gabinetu, podniósł wzrok, skinął nieznacznie głową i dalej rozmawiał przez telefon spokojnym, cichym głosem. Kate z zacisniętymi dłońmi i z napiętą twarzą stała obok biurka.

- Dzień dobry, panno MacGregor - przywitała się, nie odrywając wzroku od Justina.

- Możesz mi powiedzieć, co się dzieje?

- Jakiś idiota twierdzi, że podłożył bombę w naszym hotelu w Vegas. Podobno może ją zdalnie

zdetonować za... - spojrzała na zegarek - godzinę i piętnaście minut. Zarządzono ewakuację, na miejscu jest oddział antyterrorystyczny, przeszukują budynek, ale...

- Ale co? - ponagliła ją Serena.

- To ogromny hotel, panno MacGregor, szukanie w nim bomby to jak szukanie igły w stogu siana.

- Głos Kate zadrżał.

Serena bez słowa podeszła do barku w rogu pokoju, nalała kieliszek brandy i niemal siłą wcisnęła go Kate do ręki.

- Wypij to - poleciła.

Kate wzdygnęła się, ale przechyliła posłusznie kieliszek i opróżniła go jednym haustem.

- Dziękuję. - Zaciśnęła na moment usta, po czym spojrzała na Serenę. - Przepraszam. Mój mąż stracił rękę w Wietnamie. Wpadł w zasadzkę. Teraz...

- Wciągnęła głęboko powietrze. - Teraz to wraca.

- Siadaj, Kate. - Serena ujęła ją pod łokieć i poprowadziła do kanapy. - Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać.

- Justin nie zamierza płacić - szepnęła Kate ledwie słyszalnie.

- Nie. - Serena spojrzała na nią zdziwiona.

- Uważasz, że powinien?

Kate przeczesła włosy palcami.

- Nie jestem obiektywna w takich sprawach, ale... - podniosła wzrok na Serenę - ma bardzo dużo do stracenia.

- Gdyby zapłacił, straciłby nie tylko pieniądze.

- Serena stanęła za Justinem. Dotknęła go tylko raz, kładąc mu przelotnie rękę na ramieniu. Kiedy Kate spojrzała w ich stronę, właśnie splótł palce

z palcami Sereny. Ten jeden gest powiedział jej więcej niż tysiąc słów.

On ją kocha, pomyślała zdumiona. Nigdy nie przypuszczała, że ktoś taki jak Justin Blade potrafi się zakochać, stracić głowę dla kobiety. Patrzyła na niego i ciągle nie wierzyła, że to możliwe. Podejrzewała, że sam Justin nie zdaje sobie jeszcze sprawy, co tak naprawdę czuje.

- Ekspłodował ładunek w jednym z pomieszczeń magazynowych w piwnicach hotelu Comanche. - Justin oparł na moment słuchawkę na ramieniu.

- Jezu! Są ranni?

Z jego twarzy Serena nie mogła nic wyczytać.

- Nie, nikt nie jest ranny. Szkody materialne też niewielkie. Facet zadzwonił na policję i powiedział, że to tylko przygrywka, dowód, że nie blefuje. Żąda przekazania pieniędzy dokładnie o piętnastej piętnaście ich czasu.

Położyła dłoń na jego ramieniu.

- Justinie, co o tym wszystkim myślisz?

- Zastanawiam się, czy rzeczywiście chodzi mu tylko o te ćwierć miliona, czy o coś jeszcze. Kiedy dzwonił do hotelu, chciał rozmawiać ze mną osobiście. Wymienił moje nazwisko.

Ta wiadomość wzmogła tylko niepokój Sereny.

- To przecież żadna tajemnica. Jesteś osobą publiczną, mnóstwo ludzi zna twoje nazwisko, wie, że jesteś właścicielem sieci Comanche. Chyba że to ktoś, kto pracował kiedyś u ciebie, ale wtedy raczej nie wymieniałby twojego nazwiska - próbowała zgadywać.

Ponownie przyłożył słuchawkę do ucha.

- Musimy czekać. - W tych dwóch krótkich, wypowiedzianych spokojnym głosem słowach Serena usłyszała zapowiedź odwetu, groźbę skierowaną pod adresem anonimowego terrorysty. - Ile osób jest jeszcze w hotelu? - zapytał swojego rozmówcę po drugiej stronie linii. - Nie. Wszyscy mają zostać natychmiast ewakuowani. Co do jednego człowieka.

- Zrobię kawę - zaproponowała Serena.

- Nie. - Kate pokręciła głową i poderwała się z kanapy. - Ja zrobię. Sereno, zostań z Justinem. - Wreszcie przełamała opory i po raz pierwszy zwróciła się do niej po imieniu.

Serena spojrzała na zegarek stojący na biurku i zwilżyła wargi. Dziesiąta czterdzieści pięć. Zaciśnięta dłoń na oparciu fotela Justina.

On też spojrzał na zegarek. Jeszcze pół godziny, pomyślał. A on nic nie może zrobić. Jak wytłumaczyć, że Comanche w Vegas to dla niego coś więcej niż tylko beton, szkło i aluminium? To był jego pierwszy hotel, jego pierwszy dom, odkąd umarli rodzice. Symbol jego niezależności, sukcesu. A teraz musiał czekać z opuszczonymi rękami, kiedy to wszystko z hukiem wyleci w powietrze.

Czuł, że to jakieś porachunki osobiste, że człowiek, który podłożył bombę, kieruje atak bezpośrednio przeciwko niemu. Potarł kark dłonią. Nic nie rozumiał, nie domyślał się powodów, ale intuicja mówiła mu, że ktoś chce się na nim zemścić. Tylko za co?

- To może być bluff- usłyszał głos stojącej za nim Sereny i poczuł dziwną ulgę. Wyciągnął dłoń i czekał, aż obejdzie fotel.

- Nie sędzę.

Ujęła jego dłoń.

- Nie można ulegać szantażom. Dobrze zrobiłeś, że nie zgodziłeś się zapłacić.

- Akurat to wiem, jak zrobić - rzucił do słuchawki. - Dobrze - dodał po chwili. - Wszyscy już zostali ewakuowani z hotelu - zwrócił się do Sereny.

Gdy usiadła na oparciu jego fotela, oboje wbili wzrok w zegarek.

Kate przyniosła kawę, ale nikt nie miał ochoty pić. Cała trójka czekała niespokojnie. Minuty mijały, napięcie rosło. Justin siedział w milczeniu ze słuchawką przy uchu. Serena wyobrażała sobie, jak skomplikowane muszą być poszukiwania niewielkiego ładunku wybuchowego w ogromnym hotelu. Setki pokoi, pomieszczeń gospodarczych, tysiące zakamarków.

Czy wybuch będzie słyhać przez telefon? - zastanawiała się bezradnie. Ile już razy Justin był narażony na igraszki losu? Lecz teraz, powiedziała sobie, kładąc znowu dłoń na jego ramieniu, fortuna będzie musiała pokonać zjednoczone siły ich obojga.

Zobaczyła, że Justin zaciska palce na blacie i usłyszała, jak mówi matowym głosem:

- Tak.

Nie chciała zadawać pytań, przygryzła tylko wargę i słuchała.

- Rozumiem. Nie, nic mi na ten temat nie wiadomo. Tak, przylecę tak szybko, jak to będzie możliwe. Dziękuję. - Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Sereny: - Znaleźli ładunek.

- Dzięki Bogu. - Przytknęła czoło do jego czoła i odetchnęła.

- Bomba mogła zniszczyć całe kasyno i połowę parteru. Kate, zarezerwuj mi bilet na pierwszy lot do Vegas.

- Justinie... - Serena wstała z oparcia fotela, ale nogi uginały się pod nią. - Domyślasz się, kto to mógł zrobić?

- Nie. - Dopiero teraz zobaczył stojący na biurku kubek. Sięgnął po niego i wypił połowę kawy. - Muszę tam polecieć, sprawdzić na miejscu, jak to wszystko wygląda, porozmawiać z policją. Powinienem wrócić za jakieś dwa, trzy dni. - Wstał i położył Serenie dłonie na ramionach. - Wygląda na to, że moją współpracowniczkę czeka próba ogniowa.

- Nie martw się. Dam sobie radę. - Serena uśmiechnęła się i pocałowała go w same usta. - Zajmę się naszym hotelem.

- Tego jestem pewien. - Przyciągnął ją bliżej do siebie. - Nie mam ochoty rozstawać się z tobą, akurat teraz.

- Będę na ciebie czekała. - Ujęła jego twarz w dłoń. - Leć do Vegas, załatw wszystko i wracaj szczęśliwie.

Justin zniżył usta do jej ust.

- Chodźmy spać. Odpocznimy trochę - zaproponował cicho.

- O nie, wykluczone. To mój pierwszy dzień w pracy, bo wczorajszego wieczoru nie liczę. - Justin zdawał się spokojny, ale Serena wyczuwała wewnętrzne napięcie. Na usta cisnęły się jej dziesiątki pytań, lecz nie zadała żadnego. Uśmiechnęła się tylko i odsunęła o krok. - Czeka mnie sporo

zająć. Muszę poznać hotel, zajrzeć do kuchni, zapoznać się z dokumentami, dopilnować, by przeniesiono moje rzeczy do naszego apartamentu.

„Naszego” - zdumiało go to słowo, może nie tyle zdumiało, co zaskoczyło.

- Zrób to zaraz - poprosił, ujmując jej dłoń.
- Chcę mieć pewność, że będziesz spała w moim łóżku, Sereno. Chcę...

W drzwiach pokazała się głowa Kate.

- Zarezerwowałam bilet do Vegas. Masz samolot za czterdzieści pięć minut. Musisz się pośpieszyć, jeśli chcesz zdążyć.

Zerknął na zegarek.

- Dobrze. Dziękuję ci, Kate. Poproś, żeby zaraz podstawili mój samochód i uprzedź Comanche w Vegas, o której przylatuję. Niech ktoś z hotelu czeka na mnie na lotnisku.

- Justin. - Serena zaśmiała się i cofnęła dłoń.
- Zmiażdżysz mi palce.

W jego spojrzeniu była czujność, ale i gwałtowność, które sprawiły, że uśmiech w jednej chwili zniknął z twarzy Sereny.

- O co chodzi? - zapytała.

Czyżby zamierzał powiedzieć jej, że ją kocha? Justina ogarnęła panika na tę myśl. Tak, chciał to zrobić, zanim jeszcze słowa zdążyły uformować się w głowie.

- Kiedyś ci powiem - zbył jej pytanie.

- Dobrze. - Uśmiechnęła się pogodnie. Nie chciała widzieć go takim napiętym. Zarzuciła mu rękę na szyję i przywarła ustami do jego ust.
- Tęsknij za mną, proszę. I wracaj szybko. Chcę, żeby brakowało ci mnie.

- Postaram się. Kate ma mój numer w Vegas, jeśli będziesz mnie potrzebowała.

Jak na zawołanie w drzwiach pojawiła się znowu głowa sekretarki.

- Justin, samochód już czeka.

- Dziękuję, Kate. Jestem gotowy. - Pocałował Serenę na pożegnanie. - Będę tęsknił. A ty myśl o mnie. - Wyszedł z gabinetu.

Westchnęła i usiadła w fotelu.

- A mam jakiś wybór? - zapytała samą siebie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przez następny tydzień Serena zapoznawała się z rytmem pracy obowiązującym w hotelu Comanche. Spółka z Justinem była jej pierwszą inwestycją, o której zdecydowała samodzielnie, bez udziału ojca i w związku z tym chciała wiedzieć, co robi, jak ma się poruszać. Nie przeszkadzały jej ciekawe spojrzenia pracowników i wypowiedane szeptem komentarze.

Zagłębiała wszędzie, sprawdzała dokumenty, zapoznawała się z księgami rachunkowymi. Spodziewała się kąśliwych uwag, oznak niezadowolenia, czy nawet lekceważenia, ale uparła się poznać hotel na wskroś. I poznawała, dzień po dniu. Wieczorami nadzorowała pracę kasyna albo siedziała w swoim biurze nad papierami. Noce spędzała samotnie w apartamencie Justina.

Po tygodniu wytężonej pracy doszła do dwóch wniosków. Wniosek pierwszy: Comanche było znakomicie prowadzonym przedsiębiorstwem świadczącym usługi na najwyższym poziomie ludziom, którzy posiadali pieniądze i chcieli je wydawać. Wniosek drugi: przedłużająca się nieobecność

Justina okazała się, w gruncie rzeczy, błogosławieństwem.

Zajęta od świtu do nocy nie miała kiedy za nim tęsknić. Dopiero późną nocą, sama w jego apartamencie, uświadamiała sobie, jak bardzo uzależniła się od niego, od jego słów, dotyku, obecności. Pozbawiona tego wszystkiego, mogła udowodnić i samej sobie, i pracownikom, że jest kompetentna i potrafi poprowadzić hotel. Wykorzystała w pełni okazję.

Z racji swojego statusu doskonale wiedziała, czego oczekują od dobrego hotelu zamożni klienci, z kolei rok spędzony na Celebration dał jej wgląd w działanie hotelu od drugiej strony. Rozumiała problemy pracowników, wiedziała, co to zmęczenie, nuda, stres.

Pierwszych zjednała sobie Nerona i Kate, potem szefa kuchni, kierownika nocnej zmiany, intendenta. To były jej kolejne, wcale niemałe zwycięstwa.

Teraz siedziała przy biurku w swoim gabinecie i układała grafik pracy krupierów na najbliższy tydzień, spoglądając od czasu do czasu przez weneckie lustro na salę kasyna. Była odizolowana od ludzi grubą szybą, jednocześnie czuła ich obecność. Pora, jak na kasyno, była stosunkowo wczesna, więc mogła poświęcić jeszcze trochę czasu na pracę papierkową. Każdy z krupierów w razie potrzeby mógł wezwać ją interkomem. Jeśli nikt jej nie przeszkodzi, planowała, że za jakieś dwie godziny pójdzie do kasyna i zostanie tam do późnej nocy. Zmęczona położy się do łóżka i nie będzie czuła pokusy, żeby dzwonić do Justina.

Justin należał do tych ludzi, którzy potrzebują

przestrzeni. Nie czynił żadnych obietnic i sam ich nie oczekiwał. Jeśli w efekcie końcowym miała wygrać, powinna o tym pamiętać. Jeśli będzie cierpliwa, on przestanie bać się własnych uczuć, przywyknie do myśli, że ją kocha. Zaśmiała się i pokręciła głową. Tak jakby ona miała kiedykolwiek przywyknąć do myśli, że kocha Justina. Nawet sobie tego nie wyobrażała.

Potarła kark i wróciła do grafiku. Gdyby zatrudnili jeszcze jednego krupiera, podział pracy byłby bardziej przejrzysty, rozkład godzin wygodniejszy dla wszystkich, w dodatku...

- Proszę-powiedziała, słysząc pukanie, ale nie podniosła głowy. Tak, koniecznie muszą zatrudnić jeszcze jednego krupiera. Na rozłożony grafik upadł bukiet fiołków.

- Może jednak oderwiesz się na chwilę od roboty, współpracowniczko?

Serce zabiło jej szybciej, podniosła głowę.

- Wreszcie jesteś!

Zerwała się z fotela, podbiegła do Justina i zarzuciła mu ręce na szyję.

Całując ją na powitanie, pomyślał, że oto pierwszy raz, odkąd się znają, zobaczył spontaniczną, nieukrywaną radość na twarzy Sereny. Radość na jego widok. Zniknęło zmęczenie lotem, napięcie po ciężkim tygodniu spędzonym w Las Vegas.

- Co jest takiego w tobie, co sprawia, że tak wspaniale jest trzymać cię w ramionach? - zapytał żartobliwym tonem.

Uśmiechnęła się i odchyliła głowę, ale zaraz spoważniała.

- Wyglądasz na zmęczonego. - Przesunęła dło-

nią po policzku Justina, jakby chciała usunąć bruzdy, które utworzyły się koło ust. - Nigdy wcześniej nie widziałam zmęczenia na twojej twarzy. Czyżby w Vegas było aż tak źle?

- Zdarzało mi się milej spędzać czas. - Przygar-
nął ją do siebie. Chciał się nią nacieszyć, poczuć
znowu jej zapach. Później opowie jej o starannie
wydrukowanym liście, który dostał. Kolejna po-
gróżka, kompletnie bezsensowna, nieumotywowana.
Żadnych szczegółów, tylko obietnica, że to
jeszcze nie koniec. - Zrobiłem, jak prosiłaś. - Prze-
sunął dłonią po jej plecach.

- Co mianowicie?

- Tęskniłem za tobą.

Nie zaśmiała się, jak oczekiwał, tylko mocniej
objęła go za szyję i powstrzymując łzy, pocałowała
w policzek.

- Nie zadzwoniłeś ani razu. Czekałam na tele-
fon od ciebie. - Zdumiona własnymi słowami,
cofnęła się o krok i pokręciła głową. - Nie chcia-
łam, żeby to tak zabrzmiało. Wiem, że byłeś bardzo
zajęty. - Uniosła ręce i opuściła je bezradnie. - Ja
też byłam zajęta. Miałam milion spraw do załat-
wienia... - Przesunęła nerwowym gestem papiery
na biurku. - Oboje jesteśmy dorosłymi, niezależ-
nymi ludźmi. Wolnymi - mówiła szybko. - Nie
powinniśmy nawzajem się krępować. Każde z nas
musi zachować swobodę ruchów.

- Kiedy jesteś zdenerwowana, zaczynasz nie-
potrzebnie mnożyć słowa - zauważył Justin.

Spiorunowała go wściekłym spojrzeniem.

- Nie kpj sobie ze mnie.

- Może się to komuś wydać dziwne, ale brako-

wało mi tych twoich morderczych spojrzeń. - Gdy ujął jej twarz w dłonie i spojrzał prosto w oczy, minął jej gniew, czuła się tylko osłabiona gwałtownym atakiem złości. - Sereno... - Zamknął jej usta pocałunkiem.

Pocałunek, zrazu łagodny, szybko zmienił się w namiętny. Serena pragnęła Justina równie mocno jak on jej. Tydzień rozłąki wzmocnił tylko ich pożądanie. Spotykały się zgłodniałe usta, spragnione pieścizot dłonie. Przygarnął ją do siebie. Zamknął w mocnym uścisku. Nigdy jeszcze, przy żadnej kobiecie nie cierpiał takich katuszy.

- Nawet nie wiesz, jak ja cię pragnę, Sereno. Pragnę tak bardzo, że o niczym innym nie mogę myśleć. Jesteś tylko ty, poza tym nic nie istnieje.

Przytuliła policzek do jego policzka, ale kątem oka spojrzała na lustrzaną szybę, przez którą mogła obserwować, co się dzieje w kasynie.

- To głupie, ale mam wrażenie, że... wszyscy nas widzą. - Zaśmiała się nerwowo i cofnęła o krok, ale wystarczyło, że spojrzała Justinowi w oczy i serce znowu zabiło jej mocniej. - Zasłoń tę szybę - szepnęła - i będziemy się kochać. - W tej samej chwili, w najmniej odpowiednim momencie, rozległo się głośne pukanie do drzwi.

- Zupełnie zapomniałem - powiedział Justin.
- Przywiozłem ci prezent.

- Odpraw natręta, który się tu dobija - poprosiła Serena. - A prezent możesz dać mi później. Dużo później - dodała, ujmując Justina za rękę.

Znowu rozległo się pukanie.

- Wystarczy, Justin. Twoje dziesięć minut już się skończyło.

- Caine? - Na twarzy Sereny odmalowała się radość. - To Caine.

Justin pocałował ją w koniuszek nosa i uwolnił dłonie.

- Tak. Chyba go wpuścisz?

Podbiegła do drzwi i otworzyła je szeroko.

- Caine! Alan! - Zaśmiała się głośno, a potem zaczęła ścisnąć i całować braci. - Skąd się tu wzięliście? - pytała. - Dlaczego zaniedbujecie swoje obowiązki, jeden wobec kraju, drugi wobec rodzinnego stanu?

-- Nawet ci, którzy ofiarnie służą narodowi, od czasu do czasu potrzebują paru dni wytchnienia - stwierdził Caine, odsuwając siostrę na wyciągnięcie ramienia.

Prawie się nie zmienił, pomyślała. Chociaż obaj bracia wzięli imponujący wzrost po ojcu, Caine, w przeciwieństwie do potężnego Daniela, był szczupły, niemal chudy, i ta jego chudość zawsze martwiła Serenę. Miał za to fascynującą, wyrazistą twarz, bardzo ciemne oczy i obezwładniający uśmiech, z którego potrafił czynić użytek, gdy chciał kogoś rozbroić. Jasne, lekko rudawe włosy kręciły się niesfornie wokół głowy. Patrząc na Caine'a, Serena rozumiała, dlaczego ten wybitny prawnik ma tak nieprawdopodobne powodzenie u kobiet.

- Hm. Nasza siostrzyczka całkiem nieźle wygląda, prawda, Alan?

Uniosła lekko brwi i spojrzała na starszego brata.

- Owszem, nieźle - powiedział Alan i uśmiechnął się, a Serena pomyślała, że z tą swoją mroczną urodą wcale nie wygląda na amerykańskiego sena-

tora. - Ale ciągle jest zbyt chuda. - Ujął ją pod brodę, obrócił twarz ku sobie lewym, potem prawym profilem. - Śliczna dziewczyna - stwierdził, naśladowując szkocki akcent Daniela.

- Może jednak powinienesz być ożenić się z Arlene Hudson - zripostowała ze słodkim uśmiechem, a potem objęła obu braci. - Tak się cieszę, że was widzę, chłopaki.

Justin przysiadł na brzegu biurka i w milczeniu obserwował rodzinną scenę. Serena wydawała się taka drobna przy tych dwóch wielkoludach. Dopiero teraz dojrzał podobieństwo między nią i Caine'em: te same usta, nos, oczy. Alan wdał się co prawda bardziej w Annę, ale cała trójka odziedziczyła wiele po Danielu. To, że byli MacGregorami, po prostu rzucało się w oczy. Justin nie mógł zrozumieć, dlaczego nie dostrzegł tego już na Celebration. Można powiedzieć, że Serena nazwisko miała wypisane na twarzy.

Być może trzeba było tej rodzinnej sceny, żeby wreszcie to dostrzegł. Pomyślał o Dianie i zrobiło mu się przykro. Dwadzieścia lat skrywał w sobie bolesny rodzinny sekret. Uczyniłem wszystko, co mogłem, przekonywałem sam siebie. Tak czy inaczej nigdy nie poznał, czym naprawdę są więzy krwi. I nigdy też nie znajdzie miejsca dla siebie w sercu Sereny, bo należało ono do rodziny.

- Jak długo zostanieie? - zapytała, zamykając drzwi gabinetu.

- Przyjechaliliśmy tylko na weekend - powiedział Alan.

Caine rozejrzył się uważnie po pokoju.

- Więc w końcu zdecydowałeś się jednak na

wspólnika - zwrócił się do Justina. - Byliśmy zaskoczeni. Ojciec tyle razy proponował ci spółkę, ale za każdym razem odrzucałeś jego oferty.

- Mam znacznie większą siłę przekonywania
- stwierdziła Serena.

Caine rzucił Justinowi krótkie spojrzenie, w którym nie było pytania, bo po co, skoro sprawa zdawała się oczywista, było natomiast ostrzeżenie, subtelne wprawdzie, niemniej nad wyraz czytelne.

- Nie powiedzieliście mi jeszcze, jakim cudem tu się znaleźliście? - zapytała Serena i stanęła przy biurku, obok Justina.

Caine rozsiadł się w fotelu, a Alan podszedł do szyby.

- Słyszeliśmy o tej bombie w Vegas - odrzekł Alan. - Zadzwoiłem do Justina, a ten powiedział, że ucieszy cię nasza wizyta. Pomyśleliśmy z Caine'em, że warto wybrać się do Atlantic City, choćby po to, żeby odwlec przyjazd ojca.
- Uśmiech rozjaśnił zazwyczaj poważną twarz.

- Kiedy z nim ostatnio rozmawiałem, wspomniał, że krótki pobyt nad oceanem dobrze by mu zrobił - dodał Caine z niewinną miną.

Serena najpierw jęknęła, a potem parsknęła głośnym śmiechem.

- Domyślam się, że słyszeliście, co ostatnio wykombinował.

- Słyszeliśmy. Wygląda na to, że wyszło na jego - stwierdził Alan, patrząc, jak Justin kładzie Serenie dłoń na karku.

- Miałam ochotę urwać mu łeb, skończyło się na połamaniu cygar... - Zerknęła na światelko interkomu na biurku. - Stół sześć. Nie - powstrzymała

Justina, który chciał się podnieść. - Ja się tym zajmę, a wyjedźcie na górę i odpocznijcie. Dołączę do was, jak tylko zobaczę, o co chodzi.

- Skoro jesteś teraz współwłaścicielką tego hotelu, to chyba nie wypada, żebym siadał do gry? - zapytał Caine, drapiąc się w głowę.

- Jeśli będziesz grał tak marnie jak zawsze, to nie widzę przeszkód, a nawet serdecznie zapraszam - roześmiała się Serena i wyszła.

Caine zaklął z właściwym sobie wdziękiem i wyciągnął nogi.

- Wszystko dlatego, że dawałem jej wygrywać w pokera. Oto zapłata za moją braterską miłość.

- Dawałeś wygrywać? A niech to. Ogrywała cię do ostatniego grosza - prychnął Alan i odszedł od lustra.- Byłeś bardzo lakoniczny - zwrócił się do Justina-kiedy rozmawialiśmy przez telefon. Może teraz nam opowiesz, co właściwie wydarzyło się w Vegas?

Justin wzruszył ramionami i wyciągnął cygaro z kieszeni.

- Mała bomba domowej roboty. Podłożył ją pod stołem do gry w keno. FBI ma listę wszystkich byłych pracowników. Sprawdzają ich po kolei, a także gości, którzy przegrali w ostatnim czasie większe sumy, i notowanych szantażystów, którzy działają w podobny sposób jak ten nasz. Niech sprawdzają, ale nie bardzo wierzę, że go znajdą. Nie mają żadnego punktu zaczepienia. Dostałem w ciągu ostatniego tygodnia kilka telefonów z pogroźkami. Nie zdołali namierzyć, skąd dzwoniło, a głosu nie rozpoznałem. - Zapalił cygaro i przez chwilę przyglądał się Serenie, która stała przy

jednym ze stołów i rozmawiała z gościem kasyna.

- Nie sposób zidentyfikować wszystkich, którzy u mnie przegrali, nawet jeśli założymy, że to miał być motyw.

- Myślisz, że chodziło o coś innego? - zapytał Caine, idąc za wzrokiem Justina.

- Tak czuję... Dwa dni temu dostałem list. Nic konkretnego, kilka zdań, ale przesłanie całkiem jasne: mogę spodziewać się kolejnych ataków.

- Żadnych szczegółów, gdzie, kiedy, jak? - upewnił się Caine.

- Żadnych. - Justin uśmiechnął się ponuro.

- Mogę zamknąć wszystkie moje hotele i czekać na następny krok tego bydlaka. - Zaciągnął się nerwowo cygarem, z największym wysiłkiem powściągnąjąc narastającą wściekłość. - Oczywiście nie zrobię nic takiego. Ktoś chowa się jak szczur i grozi mi z ukrycia, a ja nie mogę nic zrobić, poza jednym: nie okazywać słabości, nie poddawać się. Ale to niebezpieczna gra. - Spojrzał na braci. - Serena powinna wrócić do domu i przeczekać to wszystko. Nawet jej tego nie proponowałem, bo sami wiecie, jak by zareagowała, ale wam może uda się ją przekonać.

Caine tylko się zaśmiał, zbyt dobrze bowiem znał siostrę, natomiast Alan powiedział cicho:

- Wróci, jeśli ty z nią pojedziesz.

- Do diabła, jak możesz proponować mi coś takiego! Nie jestem tchórzem, nie zamierzam się ukrywać przed tym draniem w mysiej dziurze.

- Ale chcesz, żeby Serena to zrobiła.

- Ma połowę udziałów w jednym z moich pięciu hoteli. Gdyby akurat tutaj coś się stało, ubezpieczenie pokryje straty. - Znowu spojrzął

w lustro. - Natomiast ja gram o najwyższą stawkę, dla mnie to być albo nie być.

- Wybacz, ale jesteś skończonym durniem, jeśli myślisz, że Serenie chodzi tylko o udziały - mruknął Alan.

Cała bezsilna złość, która narastała od tygodnia, znalazła wreszcie ujście. Justin jak dźgnięty nożem obrócił się gwałtownie do Alana.

- Mam złe przecucia. Ktoś poluje na mnie. To nie jest zwykły szantaż dla pieniędzy, choć tak ma to wyglądać, to sprawa osobista. Nie wiem, o co chodzi ani kto za tym stoi, ale czuję, że właśnie tak jest. Dlatego Serena dla własnego bezpieczeństwa powinna trzymać się od tego z daleka. Powinna wrócić do domu. Chcę, żeby stąd wyjechała. Przecież to rozumiecie. Na litość boską, to wasza siostra!

- A kim Rena jest dla ciebie? - zapytał Caine z naciskiem.

Justin był tak rozsierdzony, że najchętniej puściłby Caine'owi wiązkę najgorszych przekleństw. Spojrzał mu prosto w oczy, tak podobne do oczu Sereny.

- Pytasz, kim jest dla mnie? Wszystkim - powiedział cicho i utkwiał wzrok w szybie. - Absolutnie wszystkim.

- Już załatwione. Wystarczyło... - Serena zamarła w progu, wyczuwając gęstą, napiętą atmosferę. Spojrzała na braci, potem podeszła do Justina. - Co się dzieje?

- Nic się nie dzieje - odpowiedział Justin, siłąc się na spokój. Zgasił cygaro i ujął jej dłoń. - Jadłaś już kolację?

- Nie, ale...

- Możemy zamówić coś na górę, chyba że wolicie zjeść w restauracji.

- Zajrzę do kasyna - powiedział Caine. - Spróbuję szczęścia. Wezmę z sobą Alana, będzie pilnował, żebym nie przegrał za dużo. Sereno, jakaś podpowiedź?

- Zagraj na automatach po ćwierćdolarówce - sarknęła.

- Dlaczego nie wierzysz we mnie, siostrzo? - Pociągnął ją za ucho. - Do zobaczenia jutro rano.

- Rano, czyli gdzieś koło południa - poprawił go Alan. - Wątpię, żeby przed trzecią udało mi się wyciągnąć go z kasyna.

Serena odczekała, aż zamkną się drzwi za braćmi, i z miejsca zaatakowała:

- O co wam poszło?

- O nic. Jestem zmęczony. Jedźmy na górę.

- O nic? Nie rozmawiaj tak ze mną, dobrze? Przecież widzę, że się pokłóciliście. Kiedy weszłam do gabinetu, siekiera wisiała w powietrzu. Pytam jeszcze raz, o co wam poszło? Wściekłeś się na Alana i Caine'a?

- To nie twoja sprawa.

- Nie moja? Justin, nie zamierzam wtrącać się w twoje prywatne sprawy, ale rzecz dotyczy moich braci, a to wszystko zmienia. - W jej głosie zabrzmiały złość i uraza.

Chciał wziąć ją w ramiona, uspokoić, położyć kres pytaniom, zapomnieć o gniewie i napięciu. Kiedy stanęli przed drzwiami windy w jego biurze, powiedział sobie: „opanuj się, myśl chłodno”. Mógł przecież wykorzystać jej gniew i urazę do własnych celów. Już podjął decyzję.

- To nie twoja sprawa - powtórzył, gdy wysiedli na górze. - Zamów coś do jedzenia, a ja wezmę prysznic. - Nie czekając na odpowiedź, zniknął w sypialni.

Serena osłupiała. Wrócił z Vegas stęskniony, spragniony jej. Skąd ta nagła zmiana? Dlaczego traktuje ją jak obcą? Gorzej: jak przedmiot, jak kochankę na zawołanie, z którą nie trzeba się liczyć. Stała na środku pokoju i czekała, że obudzi się w niej gniew, ale czuła tylko ból. Wiedziała od początku, jakie ryzyko podejmuje. Wszystko wskazywało na to, że przegrała tę grę.

Nie. Zacisnęła dłonie i pokręciła głową. Nie da się zbyć tak łatwo. Niech Justin weźmie prysznic, zje kolację, a potem ona już... wyjaśni mu, czego od niego oczekiwała. Spokojnie, dodała w myślach, podchodząc do telefonu. Będzie bardzo spokojna.

Z zimną pasją powoli wystukała numer obsługi hotelowej.

- Mówi MacGregor. Poproszę stek i sałatę.

- Oczywiście, pani MacGregor. Stek ma być dobrze wysmażony czy krwisty?

- Najlepiej spalony.

- Słucham?

Opanowała się wysiłkiem woli.

- To dla pana Blade'a. Chyba wiecie, jaki stek lubi.

- Oczywiście, pani MacGregor. Kolacja zaraz będzie gotowa.

- Dziękuję. - Wszyscy skaczą wokół Justina Blade'a, pomyślała ponuro, odkładając słuchawkę, po czym podeszła do barku i nalała sobie dużego, solidnego drinka.

Siedziała na kanapie, a kelner nakrywał do stołu, kiedy Justin wyszedł z sypialni. Ogarnął pokój jednym spojrzeniem i wcisnął dłonie do kieszeni szlafroka.

- Ty nie będziesz jadła? - Wskazał głową pojedyncze nakrycie.

- Nie. - Wolno popijała swojego drinka. - Siadaj i jedz. - Wyjęła z torebki banknot i podała kelnerowi. - Dziękuję.

- Dziękuję, pani MacGregor. Smacznego, panie Blade.

Kiedy zamknęły się drzwi za kelnerem, Justin usiadł przy stole.

- Mówiłaś, że nie jadłaś kolacji.

- Nie jestem głodna.

Wzruszył ramionami i nałożył sobie porcję sałaty, ale nie zaczął jeść.

- Nie było chyba żadnych poważniejszych problemów w czasie mojej nieobecności.

- Nic, z czym nie mogłabym dać sobie rady. Dokonałabym może kilku zmian personalnych, ale poza tym hotel i kasyno funkcjonują świetnie.

- Zrobiłaś bardzo dobrą inwestycję. - Ukroił kawałek mięsa.

- Można tak na to spojrzeć. - Położyła rękę na oparciu kanapy. Żakiet naszywany koralikami połyskiwał i mienił się refleksami przy najdrobniejszym ruchu. Justin przyglądał się jej, myśląc, że najchętniej rozebrałby ją, zatracił się w niej bez reszty, cieszył jej białą skórą, złotymi włosami... Nabił kawałek steku na widelec.

- Hotel zamortyzował się i mniej więcej od roku zaczął przynosić dochody - powiedział lekkim

tonem. - Nie wymaga już wytężonej czujności. Nie musimy pilnować interesów przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. - Nie mógł przełknąć ani kęsa więcej, odsunął talerz i nalał sobie kawy.

- Mogłabyś właściwie wrócić teraz do domu.
Uniesiona dłoń z drinkiem zastygła w powietrzu.
- Mogłabym właściwie wrócić do domu? - powtórzyła głuchym głosem.

- Nie jesteś tu w tej chwili potrzebna - ciągnął Justin. - Pomyślałem, że będzie lepiej dla ciebie i wygodniej, jeśli pojedziesz do domu, dokądkolwiek. Wrócisz, jak będę musiał wyjechać.

- Rozumiem. - Odstawiła szklanekę na stolik i wstała. - Nie mam zamiaru być cichym współnikiem, Justinie. - Wprawdzie jej głos brzmiał stanowczo i donośnie, ale oczy się zaszklily. - Nie mam też zamiaru być dla ciebie zbyt cennym bagażem. Po prostu wróćmy do naszych pierwotnych ustaleń i zapomnijmy o tamtej nocy. Uznajmy to za pomyłkę. - Czując, że dłonie zaczynają jej drżeć, sięgnęła po drinka i wychyliła go do końca. - Spakuję rzeczy i przeniosę się z powrotem do mojego apartamentu.

- Do diabła! Masz stąd wyjechać. - Patrzył jak, Serena ostatnim wysiłkiem woli powstrzymuje łzy i serce mu się kroiło. W obawie, że za chwilę sam się rozklei, wstał gwałtownie i podszedł do niej.
- Nie chcę cię tutaj.

Słyszał, jak wciąga powietrze, ale oczy przestały się szkląć. Z dwojga złego wolał chyba łzy, bo spojrzenie, w którym malował się twardy ból, było po stokroć gorsze do zniesienia.

- Nie musisz być okrutny, Justinie - szepnęła.

-Wystarczająco jasno postawiłeś sprawę. Wyniosę się z twojego apartamentu, ale połowa hotelu należy do mnie i zamierzam tutaj zostać.

- Nie podpisaliśmy jeszcze papierów.

Patrzyła na niego długą chwilę w milczeniu.

- A więc tak bardzo chcesz się mnie pozbyć...

Mój błąd. - Utkwiła wzrok w pustej szklance.

- Gdybym była mądrzejsza, nie przespałabym się z tobą, dopóki nie sfinalizujemy porozumienia.

Na te słowa wyrwał jej szkło z dłoni i cisnął o ścianę, tak że rozprysło się na drobiny.

- Nie! - Przyciągnął ją do siebie i ukrył twarz w jej włosach. — Nie mogę tego zrobić. Nie mogę pozwolić, żebyś tak myślała.

Stała sztywno, nie próbowała się z nim siłować.

- Puść mnie - zażądała tylko.

- Posłuchaj mnie, Sereno. Posłuchaj, proszę

- powtórzył. - Przed wyjazdem z Vegas dostałem list, adresowany imiennie do mnie. Człowiek, który podłożył bombę, dał mi do zrozumienia, że to jeszcze nie koniec. Że zamierza uderzyć znowu. Nie wiadomo kiedy, nie wiadomo gdzie. Tu nie chodzi tylko o pieniądze, czuję to, wiem. To jakaś rozgrywka osobista, rozumiesz? Przy mnie nie będziesz bezpieczna.

Wpatrywała się w Justina, dopóki jego słowa nie przeniknęły do otepiałej z bólu świadomości.

- Powiedziałeś to wszystko, bo myślisz, że może mi grozić niebezpieczeństwo, jeśli zostanę?

- Nie chcę, żebyś była narażona na ataki jakiegoś szaleńca.

Odepchnęła go gwałtownie.

- Jesteś tak samo dobry jak mój ojciec! - rzuciła

z furia. - Obaj coś knujecie, chcecie koniecznie zdecydować za mnie, układać mi życie. Wiesz, co właśnie zrobiłeś? - Łzy znowu cisnęły się do oczu, lecz ponownie je powstrzymała. - Wiesz, jak bardzo mnie zraniłeś? Nie przyszło ci do tej tępej, szowinistycznej głowy, że po prostu można powiedzieć prawdę?

- Właśnie ci powiedziałem. - Justin nie wiedział, czy bardziej dręczą go w tej chwili wyrzuty sumienia, czy pożądanie, bolesne pragnienie, by być z Sereną. - Czy teraz wyjedziesz?

- Nie.

- Na litość boską...

Nie dała mu dokończyć.

- Oczekujesz, że spakuję walizki i ucieknę? Schronię się w domu tylko dlatego, że ktoś może podłożyć bombę w naszym hotelu? - Spojrzała na niego z pogardą. - Wiem, co się marzy tobie i równie mądrymu tatusiowi. No już, złóżcie się na śliczny szklany klosz ze słodkimi obrazkami w środku i zamknijcie mnie w nim. Będzie mi tak bezpiecznie i wygodnie...

- Sereno...

- Zamknij się! Teraz ja mówię! - Chwycała wazon ze stołu. Justin pomyślał, że czeka go szpital. Jednak zrezygnowała z tak drastycznej argumentacji. - Do diabła, przestań wygadywać androny, rzuć bohatera i ocknij się wreszcie. Ryzykuję tyle samo co ty. Dotarło do durnego łba?

- Hotel jest ubezpieczony. Jeśli coś się stanie, nie stracisz zainwestowanego kapitału.

Ręce jej opadły, wazon wysunął się z dłoni.

- Idiota - mruknęła bezradnie.

- Sereno, bądź rozsądna.

Otworzyła oczy. Była w nich czysta furia.

- Rozumiem, że ty jesteś w nadzwyczajnym wprost stopniu rozsądny.

- Mam gdzieś, czy jestem, czy nie jestem rozsądny! - wrzasnął Justin. - Chcę, żebyś stąd wyjechała. Muszę mieć pewność, że jesteś w bezpiecznym miejscu, gdzie ten szaleniec cię nie dosięgnie.

- Nigdy nie będziesz miał pewności! To jakiś absurd. Dopóki ten łajdak nie zostanie złapany, ani ty, ani ja, ani nikt z personelu i gości nie będzie bezpieczny. Zresztą czy w życiu można być czegośkolwiek pewnym? - prychnęła.

- Jestem pewien jednego, że cię kocham. - Złapał ją za ramiona i potrząsnął mocno. - Jestem pewien, że znaczysz dla mnie więcej niż ktokolwiek kiedykolwiek w moim życiu. Nie mogę pozwolić, żebyś wystawiała się na ryzyko.

- Wypowiadasz mi tu wzniosłe deklaracje i domagasz się jednocześnie, żebym wyjechała. Nie pomyślałeś, że ludzie, którzy się kochają, powinni być razem? Że miłość to dzielenie się losem?

Patrzyli na siebie długo, ważąc swoje argumenty. Wreszcie Justin rozluźnił palce, opuścił ręce.

- Zrób to dla mnie, Sereno.

- Wszystko, tylko nie to - odparowała bez chwili namysłu.

Podszedł do okna. Jego duszę rozdzierały mnogie uczucia. Spojrzał w dal. Słońce sięgało horyzontu, mniej silnie niż we dnie świeciło. Wtem zapadło do głębi i krąg złocisty niby włosy Sereny utonął na noc całą w błyskających tysięcznymi refleksami wodach oceanu.

- Nigdy nikogo nie kochałem - szepnął Justin.
- Rodziców, siostrę tak, ale oni dawno odeszli. Musiałem radzić sobie bez nich. Bez ciebie sobie nie poradzę, Sereno. Przeraza mnie myśl, że może ci się stać coś złego.

Podeszła do niego, objęła i przytuliła policzek do jego pleców.

- Nie wiesz nic na pewno. To wszystko są tylko domysły.

- Wystarczy, żebym martwił się o twoje bezpieczeństwo.

- Sama kieruję własnym życiem, Justinie. Musisz o tym zawsze pamiętać i nie próbuj tego zmieniać, bo ci się nie uda. Nie pozwolę, żeby ktoś za mnie podejmował decyzje. Powtórz jeszcze raz, co powiedziałaś - zażądała, zanim zdążył odpowiedzieć. - Tylko tym razem nie krzycz już. Szkoda moich uszu. Jestem wyjątkowo odporna na wrzaski.

Odwrócił się i przesunął palcem po jej wargach.

- Zawsze wydawało mi się, że „kocham cię” brzmi strasznie banalnie. Aż do teraz. — Pocałował ją delikatnie w usta. - Kocham cię, Sereno.

Westchnęła, kiedy zsunął jej żakiet z ramion.

- Justinie...

- Tak?

- Nie mówmy nic mojemu ojcu. Nienawidzę, kiedy zaczyna zrzedzić i trząść się nade mną.

Ze śmiechem chwycił ją na ręce i zaniósł do sypialni.

Serena przeciągnęła się rozkosznie, nie otwierając oczu.

- Czuję się wspaniale! - Nawet dla niej zabrzmiało to jak mruczenie zadowolonej kotki.

- Wcale w to nie wątpię - zgodził się Justin, przesuając dłonią po jej udzie.

Serena zaśmiała się, usiadła w pościeli, podniosła wysoko ramiona i odchyliła głowę do tyłu.

- Jesteś strasznie zadufany w sobie. Może czułabym się wspaniale - wprowadziła drobne zastrzeżenie - gdyby nie to, że umieram z głodu.

- Nie chciałaś jeść kolacji. Twierdziłaś, że nie jesteś głodna. - Objął ją w pasie i przewrócił z powrotem na poduszki.

- Bo nie byłam, ale teraz umieram z głodu.

- Położyła się na Justinie i pocałowała go lekko w usta.

- Możesz dokończyć mój stek.

- Jest zimny. - Pocałowała go tym razem w szyję. - Nie masz innych, ciekawszych propozycji?

- Podziwiam cię. Jesteś taka piękna. - Przesuwał dłonią po jej włosach. - A jeśli chodzi o jedzenie, to mam coś zamówić?

Westchnęła z zadowolenia.

- Trochę później. Kocham cię, Justinie.

Zamknął oczy i objął ją mocniej.

- Zastanawiałem się, kiedy mi to powiesz.

- Nie wspominałam ci jeszcze o tym?

- Z uśmiechem położyła głowę na jego piersi. - To słuchaj. Kocham cię. Uwielbiam. Pragnę. Pożądaj. Szaleję za tobą - recytowała, podkreślając każde słowo pocałunkiem.

- Na początek wystarczy. - Ujął jej dłoń i całował każdy palec po kolei. - Sereno...

- Nie. - Położyła mu dłoń na ustach. - Nie prosz

mnie znowu. Nigdzie nie wyjadę. Nie chcę się z tobą kłócić, Justinie. Nie dzisiaj. - Przytuliła policzek do jego policzka. - Mam wrażenie, że całe życie czekałam na taką noc jak ta. Wszystko, co było dotąd, to tylko preludium. Pewnie moje słowa zabrzmiały niewiarygodnie, ale kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, wiedziałam, że od tej chwili wszystko się zmieni. - Zaśmiała się znowu i odsunęła od Justina. - A wydawało mi się, że jestem na tyle sprawna intelektualnie, by nie wierzyć w miłość od pierwszego wejrzenia.

- Twoja sprawność intelektualna bardzo poważnie opóźniła rozwój wypadków.

- Wręcz przeciwnie - oznajmiła z pełnym wyższości uśmiechem. - Moja niepojęta wprost inteligencja pchnęła je na właściwe tory. Przecież to ja przyjechałam tutaj z propozycją, żebyśmy zostali współnikami, i to ja przekonałam cię, że beze mnie nie będziesz mógł żyć.

- Tak?

Uśmiechnęła się szeroko.

- Tak.

- I kto tu jest zadufany w sobie? - Pociągnął ją za włosy i wstał z łóżka.

- Dokąd się wybierasz?

- Przytrzeć ci trochę nosa. - Otworzył szufladę komody i wyjął małe pudełeczko. - Kupiłem to dla ciebie na Wyspie św. Tomasza.

- Prezent? - Uklękła w pościeli i wyciągnęła rękę. - Kocham prezenty.

- Zachłanna mała wiedźma - powiedział z niesmakiem i położył jej pudełko na dłoni.

Serena przestała chichotać, kiedy uniosła wiecz-

ko i zobaczyła kolczyki z drobnych brylantów i ametystów skrzących się nawet teraz, w szarym świetle przedświt. Pamiętała, jak podziwiała je na wystawie sklepu jubilerskiego w ostrym słońcu Karaibów. Dotknęła ich ostrożnie, jakby się bała, że roziskrzzone mogą sparzyć ją w palec.

- Są piękne. - Podniosła oczy na Justina. - Ale dlaczego?

- Bo pasują do ciebie, sama nie chciałaś ich sobie kupić, a ja... - dotknął dłonią jej policzka już wiedziałem, że nie pozwolę ci zniknąć z mojego życia. Gdybyś nie przyjechała do Atlantic City, pojechałbym po ciebie i przywiózł tutaj.

- Nawet wbrew mojej woli? - Uśmiechnęła się lekko.

- Uprzedzałem cię, że to nasza tradycja rodzinna. - Odgarnął jej włosy za uszy. - Włóż je. Chcę zobaczyć, jak będziesz w nich wyglądać.

Wpięła kolczyki.

Naga, z burzą złotych włosów, ze skrzącymi się klejnotami w uszach, wyglądała jak zjawisko, jak cudowna istota ze świata fantazji.

Wyciągnęła ręce do Justina.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Serena przeciągnęła się rozkosznie. Powinna wstać. Justin zjechał już na dół. Po jego wyjściu wylegiwanie się do późnych godzin rannych straciło swój urok. Całą noc spędzili razem i teraz, bez niego, w łóżku zrobiło się strasznie pusto.

Martwił się o jej bezpieczeństwo. Przed wyjściem szepnął jej do ucha tylko kilka słodkich słówek, ale wyczuła napięcie w jego głosie. Był przekonany, że podłożenie bomby w Las Vegas było atakiem skierowanym bezpośrednio na niego. Oczekiwał następnych, a ona nie umiała mu pomóc, ukoić obaw. Mogła tylko być przy nim i próbować tłumaczyć, że jej nic nie grozi, że da sobie radę.

Mężczyźni, pomyślała z uśmiechem. Nawet ci najbardziej liberalni trwają w przekonaniu, że kobieta jest słabą istotą, którą należy na każdym kroku otaczać opieką. Nie zamierzała wracać do Massachusetts i siedzieć tam z założonymi rękami, podczas gdy ten, którego kochała, będzie tkwił w New Jersey. To nielogiczne, monologowała w myślach, wstając z łóżka. Wykrzyczała poprzed-

niego wieczoru Justinowi, że ludzie, którzy się kochają, powinni być razem - wierzyła w to i nic tej wiary nie mogło zmienić.

Wiedziała, że Justin nie uspokoi się, dopóki policja nie złapie szantażysty z Vegas, a to mogło trwać miesiącami, o ile w ogóle ten człowiek zostanie ujęty. Po pierwszym niepowodzeniu mógł się przecież wycofać, zrezygnować z dalszego szantażu. Albo przyczaił się, by w dogodnym momencie ponownie uderzyć.

Otrząsnęła się. Dość snucia ponurych przypuszczeń. Serena, w przeciwieństwie do Justina, nie sądziła, by szantażysta ponowił atak. List z pogrozkami wysłał, kiedy jego plan zawiódł. Być może chciał w ten sposób choć trochę powetować sobie poniesioną porażkę. To zdawało się bardziej logiczne niż przypuszczenia Justina, że ktoś, z jakichś powodów, szuka na nim zemsty.

Wyjęła szlafrok z szafy.

Justin nie jest obiektywny, myślała, zawiązując pasek. Utożsamiał się ze swoimi hotelami, stanowiły jego integralną część. Tamten człowiek chciał uderzyć w czuły punkt i przegrał. Zdawał sobie przecież sprawę, że policja zacznie prowadzić dochodzenie, a Justin wzmocni ochronę budynków. Bomby podkładają tchórze, mówiła sobie. Tchórz nie zaryzykuje po raz drugi. Justin w końcu to zrozumie.

Usłyszała pukanie do drzwi i spojrzała na zegarek przy łożku. Za wcześnie na pokojówkę, pomyślała, przechodząc do salonu. Kto o tej porze... Znieruchomiała z dłonią na klamce, w głowie zabrzmiały znowu słowa Justina. „To jakaś

rozgrywka osobista, rozumiesz? Przy mnie nie będziesz bezpieczna".

Spojrzała przez wizjer. No proszę, co lęk może zrobić z człowiekiem. Pokręciła głową na własną głupotę. Otworzyła drzwi i uśmiechnęła się szeroko do stojącego w progu brata.

- Och, czyżbyś wczoraj tak szybko zgrał się do suchej nitki, że wstałeś tak wcześniej?

Caine przyglądał się jej przez chwilę, zanim wszedł do pokoju.

- Wcale nie jest tak wcześniej - powiedział.

- Chciałbym zobaczyć się z Justinem.

- Minąłeś się z nim. - Zamknęła drzwi. - Jakieś piętnaście minut temu zjechał do biura. Gdzie jest Alan?

Caine'em targały tak zwane sprzeczne uczucia. Bardzo lubił Justina, ale Serena była jego siostrą, jego „małą siostrzyczką”. I oto ta „mała siostrzyczka” przyjmuje go w apartamencie Justina, odziana wyłącznie w jedwabny szlafroczek, który podarował jej na ostatnią Gwiazdkę.

- Je śniadanie.

- No tak, ty zawsze byłeś rannym ptaszkiem. Obrzydliwy nawyk. Napijesz się kawy? Kawa to chyba jedyny produkt, który jest w tej kuchni.

- Chętnie. - Ciagle jeszcze zszokowany odkryciem, że jego siostra jest nie tylko siostrą, ale też kobietą, zły jak osa, Caine poszedł za nią.

Kuchnia była przestronna i dość niezwykle urządzona: białe ściany, biała podłoga i czarne szafki. Serena włączyła ekspres i wskazała bratu miejsce przy blacie śniadaniowym.

- Siadaj.

- Jesteś tu bardzo zadomowiona - powiedział, zanim pomyślał.

Posłała mu rozbawione spojrzenie, które zezłościło go jeszcze bardziej.

- Mieszkam tutaj.

Caine usadowił się przy blacie.

- Justin nie traci czasu.

- To wyjątkowo szowinistyczna uwaga jak na prokuratora stanowego o liberalnych przekonaniach - stwierdziła cierpko, odmierzając porcje kawy. - Równie dobrze można powiedzieć, że to ja nie tracę czasu, drogi braciszku.

- Poznałaś go raptem miesiąc temu.

- Caine, pamiętasz Luke'a Dennisona?

- Kogo?

- Wszystkie dziewczyny traciły dla niego głowę. Miałam wtedy piętnaście lat. Dorwałeś go kiedyś na parkingu przed kinem i oznajmiłeś, że połamiesz mu wszystkie kości, jeśli tylko ośmieli się mnie dotknąć.

Caine wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- I co, nie ośmielił się, prawda?

- Prawda. - Serena podeszła do niego i chwyciła za uszy. - Nie mam już piętnastu lat, braciszku, a Justin nie jest Lukiem Dennisonem.

Caine nachylił się i teraz on chwycił ją za uszy i przyciągnął bliżej.

- Kocham cię. - Pocałował Serenę w koniuszek nosa.

- To ciesz się moim szczęściem. Justin jest wszystkim, czego mogłabym kiedykolwiek od życia pragnąć.

Puścił ją i wyprostował się.

- Powiedział to samo o tobie.
Na twarzy Sereny odmalowała się radość.
- Kiedy?
- Wczoraj. Prosił mnie i Alana, żebyśmy namówili cię na powrót do domu. - Podniósł dłoń, widząc, jak radość zamienia się we wściekłość.
- Spokojnie, Rena. Jednogłośnie odmówiliśmy.
Wpuściła powietrze z płuc.
- Mam problem, Caine. Justin jest przekonany, że ten ktoś, kto podłożył bombę, miał jeszcze jakiś inny motyw, nie chodziło mu tylko o pieniądze. Wbił sobie do głowy, że przy nim nie będę bezpieczna. - Rozłożyła bezradnie ręce. - Racjonalne argumenty do niego nie trafiają.
- On cię kocha.
- Wiem. Tym bardziej powinnam z nim zostać. Powiedz mi, co ty byś zrobił na miejscu Justina?
- Oparła łokcie o blat i wbiła spojrzenie w twarz brata.
- Co bym zrobił na miejscu Justina? Wszystko, żeby natychmiast cię stąd wyekspediować w jakimkolwiek kierunku. Natomiast na twoim miejscu - dodał szybko, zanim zdążyła wybuchnąć — zaparłbym się i nie ruszył stąd na krok.
- Nie ma nic gorszego niż analityczny umysł prawnika - mruknęła. - Opowiedz coś o sobie. Pojawiła się jakaś nowa panna na horyzoncie, czy też, o zgrozo, praca już całkiem przesłoniła ci świat?
- Udaje mi się od czasu do czasu odetchnąć
- stwierdził lakonicznie, co Serena skwitowała pogardliwym parsknięciem. - Postanowiłem zrezygnować ze stanowiska i otworzyć znowu kancelarię.

- Tak? - Serena, która rozlała właśnie kawę do kubków, obróciła się zaskoczona. - Skąd ta nagła decyzja?

- Wcale nie taka nagła. Od dość dawna zastanawiałem się nad tym. Alan jest politykiem, potrafi to robić, ma cierpliwość, natomiast ja mam inny temperament. - Wzruszył ramionami i upił łyk kawy. - Brakuje mi atmosfery sali sądowej. Zostałem biurokrata, bo tego przede wszystkim wymaga praca prokuratora stanowego, i czuję, że muszę się z tego wycofać. Moi zastępcy prowadzą sprawy, walczą, a ja grzęznę w papierach.

- Bardzo lubiłam twoje wystąpienia sądowe. - Usiadła naprzeciwko brata. - Masz świetny styl. Świetny i groźny. Kiedy cię obserwowałam, przypominałeś mi wilka, który krąży wokół ogniska, trzyma się poza kręgiem światła, wreszcie podejmuje decyzję.

Caine zaśmiał się.

- Odzywa się w tobie skłonność MacGregorów do fantazjowania.

- Nie śmiecie się z rodziny. - W drzwiach kuchni stanął Alan.

A obok niego Justin.

- Alan skarżył mi się, że wszyscy o nim zapomnieli, więc musiałem się nim zająć. - Roześmiał się. - Zostawiliście trochę kawy dla nas?

- Owszem. - Serena wyciągnęła rękę do Justina. Ucałował ją i podszedł do ekspresu. - Alan?

- Tak?

- Caine jeszcze mi nie powiedział, ile wczoraj przegrał.

- Całkiem nieźle mu poszło. - Alan uśmiechnął

się krzywo, a Caine, jak na gracza przystało, zachował twarz pokerzysty.

Serena uniosła brwi.

- Tylko nie próbuj szczęścia z moimi krupierkami - ostrzegła młodszego brata.

- Mówimy o drobnej blondynce z wielkimi brązowymi oczami - poinformował Alan.

- Caine! - Serena udała oburzenie. - Ta dziewczyna ma ledwie dwadzieścia lat.

- Zupełnie nie wiem, o czym on mówi. - Caine pił spokojnie swoją kawę. - Sam próbował dyskutować z jakąś rudą o różnych aspektach naszej polityki zagranicznej.

- Coś mi się wydaje, że przy was dwóch nikt w tym hotelu nie jest bezpieczny.

- Sereno, jak widać, musisz pilnować swoich braci podczas wieczornego show w sali restauracyjnej. - Justin podał Alanowi kubek i otworzył lodówkę, żeby wyjąć śmietankę.

- Powinnam była was ostrzec. - Serena ujęła Justina za rękę. - Justin sam decyduje, co jego goście mają robić, nikogo nie pyta o zdanie, ale jeśli o mnie idzie, to akurat chętnie obejrzą show podczas kolacji, tym bardziej że po raz pierwszy w naszym hotelu wystąpi Lena Maxwell. - Spojrzała na swoje paznokcie. - Jeśli wybierzecie się z nami, Justin być może przedstawi was Lenie.

- O której mamy być w restauracji? - zapytali bracia zgodnym chórem.

Zsunęła się ze śmiechem z wysokiego stołka barowego.

- Jesteście żałośni. Wystarczy tylko wspomnieć wam o pięknej kobiecie i jesteście gotowi na

wszystko. Muszę wziąć prysznic i przebrać się.
- Pocałowała Justina delikatnie w usta. - Za pół godziny będę na dole.

Jeszcze nie zdążyła wyjść, kiedy Caine zwrócił się do Justina:

- Gdzie Lena Maxwell ma próby?

Caine sam sobie poradzi, pomyślała rozbawiona. Pośrednictwo Justina nie będzie mu potrzebne, żeby oczarować piękną Lenę.

Wróciła myślami do jego reakcji, kiedy zobaczył ją w apartamencie Justina. Wystawiła instynkty opiekuńcze braciszka na ciężką próbę. I to spojrzenie, które Alan jej posłał, kiedy wszedł z Justinem do kuchni. Bracia będą mieli o czym rozmawiać, może nawet się posprzeczną na temat jej związku z Justinem, a potem, jak zwykle, będą stali za nią murem. Tacy właśnie byli.

Zrobiło się jej żal Justina. Nie miał okazji doświadczyć, czym są więzi rodzinne, jakie dają poczucie bezpieczeństwa i ile potrafią przynieść radości, a także, oczywiście, zgryzoty. Czas, żeby mu pokazała, jak wygląda życie rodzinne. Kto wie, może któregoś dnia doczekają się dzieci...

Włożyła głowę pod strumień wody. Nie powinna wybiegać myślami naprzód, uprzedzać zdarzeń. Justin kochał ją, ale to nie znaczyło, że jest gotów na małżeństwo i dzieci. Bardzo długo żył samotnie, a ich związek dopiero się zaczynał. Dzieci oznaczają dom, a Justin nigdy dotąd o nim nie myślał, nie dążył do stabilizacji, żył z dnia na dzień, w podróży. Ale właśnie ten jego styl życia czynił go w oczach Sereny jeszcze bardziej pociągającym.

Nie powinna snuć marzeń o przyszłości, jeszcze

za wcześniej. W końcu mieszkali pod jednym dachem w sumie kilkadziesiąt godzin, a ona już myśli o dzieciach...

Dwa razy rozmawiali o jego siostrze i Serena za każdym razem słyszała w jego głosie nutę żalu. Justin nigdy nie odwrócił się od Diany, nigdy o niej nie zapomniał, to okoliczności wymusiły na nim zerwanie kontaktu, ale jeśli kiedykolwiek zatęskni za rodziną, to ona, Serena będzie przy nim.

Wyszła spod prysznicza i owinęła głowę ręcznikiem. Nucąc pod nosem, zaczęła nacierać ciało mleczkiem kosmetycznym. Przebiegła w myślach swój plan dnia. Powinna zdążyć ze wszystkim przed kolacją, jeśli tylko przestanie śnić na jawie. Włożyła szlafrok, zdjęła ręcznik z głowy i przeszła do sypialni.

W tej samej chwili niespodziewanie otworzyły się drzwi od salonu i ku jej zaskoczeniu stanął w nich Justin.

Przeczesała włosy dłonią i wypuściła powietrze z płuc.

- Przestraszyłeś mnie. Myślałam, że zjechałeś na dół.

Włożył dłonie do kieszeni i zmierzył Serenę uważnym spojrzeniem.

- Nie.

Jak to jest, myślała, że za każdym razem, kiedy czuję na sobie jego spojrzenie, kolana się pode mną uginają? A on, choć zna każdy centymetr mojego ciała, to patrzy na mnie tak, jakby nigdy nie miał dość.

- A Alan i Caine?

- Poszli pewnie zabiegać o względy Leny.

- Chciałabym widzieć, jak próbują ją czarować.
- Podeszła do szafy.
 - Co robisz?
 - Próbuję się ubrać - odpowiedziała ze śmiechem. - A ty co myślałeś?
 - Strata czasu, bo cokolwiek włożysz, zaraz z ciebie zdejmę.

Rzuciła mu pełne oburzenia spojrzenie przez ramię.

- Kate trochę się zdziwi, jeśli przedefiluję przez biuro w szlafroku.

Uśmiechnął się.

- Nie wyjdiesz z tego pokoju.
- Nie bądź śmieszny. - Zaśmiała się i zaczęła przeglądać ubrania, zastanawiając się, co ma na siebie włożyć. - Mam jeszcze mnóstwo do zrobienia przed kolacją i...

Zanim zdążyła dokończyć zdanie, Justin chwycił ją w pól i rzucił na łóżko.

- Bardzo dobrze wyglądasz w tej skotłowanej pościeli - stwierdził zadowolony, stojąc nad nią.

Serena uklękła na materacu.

- Ciekawe - prychnęła. - I dlatego uznałeś, że możesz mną rzucać jak snopem siana? - Oparła dłonie na biodrach i szlafrok zsunął się z ramienia.
- To nie pierwszy raz - wypomniała mu, myśląc o scenie, która rozegrała się na plaży w Nassau.
- Jeśli ma ci to wejść w nawyk, to muszę ci powiedzieć, że...

- Wiem. Nikt nie będzie rzucał MacGregorami
- dokończył za nią, wkładając palec w rozchylenie szlafropa.

- Właśnie. - Odepchnęła jego dłoń i rozchylenie

powiększyło się znacznie. - Zapamiętaj to sobie, jak następnym razem najdzie cię ochota, żeby mną rzucić.

- Zapamiętam i proszę o wybaczenie.

Wyciągnął rękę. Serena przyjęła ją z wahaniem. Myślała, że jednak pomoże jej podnieść się z łóżka, tymczasem on w jednej sekundzie przygwoździł ją do materaca całym ciężarem ciała.

- Justin! Przestań, mówię poważnie - zawołała, dusząc się ze śmiechu. - Muszę się ubrać.

- Co mówisz? Ach, rozumiem, musisz się przebrać. Pomogę ci. - Z tymi słowami rozsunął zrzęcznie szlafrok.

- Przestań, powtarzam. W każdej chwili może wejść pokojówka.

- Pokojówka przyjdzie dopiero wieczorem. Zadzwońłem do obsługi i wydałem odpowiednie polecenia.

- Ty... ty... - Próbowwała uwolnić się z jego objęć. - Znowu to zrobiłeś! Nie przyszło ci do głowy, że mogę mieć swoje plany? Że mogę nie chcieć spędzać całego dnia z tobą w łóżku?

- Pomyślałem, że może jednak uda mi się cię przekonać - oznajmił niefrasobliwie.

Usiłowała go kopnąć, niestety bezskutecznie.

- Możemy się siłować - zaproponował. - Run-da zapasów. Do trzech zwycięstw, czyli maksimum pięć zwarć.

- To wcale nie jest śmieszne - sarknęła, siląc się na powagę.

- Wcale nie żartuję. - Obrócił się, tak że leżała teraz na nim. - Pierwsze zwanie wygrane. - Znowu się obrócił i przycisnął Serenę do materaca. - Drugie.

- A jeszcze czego. To niesprawiedliwe. Ja jestem prawie naga, ty ubrany. - Zdmuchnęła włosy wpadające jej do oczu.

- Słusznie. Zrób coś z tym. Mam zajęte ręce. - Pokrywał jej twarz lekkimi pocałunkami.

- Drań - sapnęła, łapiąc z trudem oddech. - Justin... proszę.

- Mam przestać? - zapytał, ale dłonie przesunęły się po skórze Sereny.

- Nie. - Zanurzyła palce w jego włosach i zamknęła mu usta pocałunkiem.

- Nie wiedziałem, że aż tak bardzo cię kocham. Nigdy nie mam cię dość. Nie mogę się tobą nasycić - szeptał Justin, kiedy oboje leżeli zmęczeni w skłębionej pościeli, z trudem wracając do rzeczywistości.

- I nigdy nie miej mnie dosyć - odszepnęła, tuląc się do niego.

- Jesteś tylko ty. Tylko ty jedna liczysz się w moim życiu.

- Miłość, w której nie ma szaleństwa, nie jest miłością. - Uśmiechnęła się i przesunęła palcem po jego brodzie. - Nie rozumiałam tego powiedzenia aż do tej chwili, i wiem, że nigdy już nie chcę być przy zdrowych zmysłach.

- A więc trzeźwa, mądra Serena MacGregor wybiera szaleństwo?

Zmarszczyła nos i oparła się na piersi Justina.

- Rozum mi tu niepotrzebny.

- Jestem zafascynowany. Od samego początku, od chwili, kiedy cię poznałem, zadaję sobie pytanie, jak bardzo jesteś mądra?

Uniosła brwi, potem odparła zasadniczym tonem:

- To zagadnienie czysto abstrakcyjne.

- Wymigujesz się. - Odgarnął jej włosy na plecy. - Ile właściwie ukończyłaś kierunków?

- Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. A ty, jak bardzo jesteś mądry?

- Wystarczający mądry, by wiedzieć, kiedy ktoś próbuje robić ze mnie idiotę - odparł spokojnie. - Nigdy nie myślałaś o karierze prawniczej albo politycznej, jak twoi bracia?

- Nie. Chciałam tylko się uczyć. Potem chciałam coś robić, żyć aktywnie, a teraz... mam bardzo określone pragnienia.

- Hm - mruknął Justin, kiedy zbliżyła usta do jego ust. - Nie sądzisz, że trochę szkoda tych lat studiów, żeby teraz prowadzić hotel z kasynem?

- Skąd. Wykształcenie zostanie, stanowi mój kapitał, cokolwiek będę robiła. Po co komu dyplomy, jeśli nie może cieszyć się życiem? - Znowu położyła głowę na jego piersi. - Studiowałam nie po to, żeby potem oprawić dyplomy w ramki i powiesić je sobie na ścianie, ale dla zaspokojenia ciekawości. A ty dlaczego prowadzisz sieć hoteli?

- Bo jestem w tym dobry.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Z tego samego powodu chciałam studiować i studiować, ale w pewnym momencie nauka zaczęła przychodzić mi zbyt łatwo. A prowadząc hotel, codziennie staję przed nowymi wyzwaniem, wciąż spotykam nowych ludzi. I też jestem w tym dobra, prawie jak ty - dodała chełpliwie.

- Nero powiedział mi w zaufaniu, że masz klasę - zachichotał Justin.

- To znaczy, że Nero zna się na ludziach. - Tym razem w głosie Sereny jeszcze wyraźniej zabrzmiała chełpliwa nuta. - Dlaczego nie zrobiłeś go menadżerem?

- Bo nie zabiegał o tę pracę. - Przesuwał dłonią po jej plecach. - Woli obecne stanowisko. W przyszłym roku wyślę go na Malte.

- Kupiłeś tam kasyno?

- Wkrótce zamierzam kupić. Myślę o stworzeniu spółki.

Oczy jej rozbłyły.

- Naprawdę? W takim razie koniecznie weź mnie pod uwagę. Już zgłaszam chęć wejścia do tej maltańskiej spółki.

Położył jej dłoń na karku.

- Im szybciej, tym lepiej.

Nie zdążył pocałować Sereny, kiedy zadzwonił telefon. Justin zaklął kwiecicie, ona zaś zaśmiała się i wtuliła głowę w jego szyję.

- Słucham. - Serena czuła, jak Justin tężeje, napina mimowolnie mięśnie. - Dobrze, Kate. Zaraz będę na dole - rzucił do słuchawki i odłożył ją na aparat. - Coś się dzieje - powiedział, całując Serenę w czubek głowy.

Westchnęła z rezygnacją.

- Tak to jest, kiedy się mieszka w pracy. - Obróciła się na plecy. - Ja też powinnam zjechać na dół.

- Przez ostatni tydzień nie miałaś jednego dnia wolnego. - Wkładając ubranie, zastanawiał się, czy będzie lepiej, żeby Serena została na górze, czy raczej powinna jednak być cały czas z nim. W końcu uznał, że bezpieczniej będzie, jeśli zostanie w apartamencie.

- Odpocznij sobie. Niedługo wrócę. Zamów jakiś lunch.

Myśl, że spędzą razem całe popołudnie, była zbyt nęcąca. Serena powiedziała sobie, że robota papierkowa może poczekać.

- Dobrze. Za godzinę?

- Może być. - Justin ruszył do windy.

Kiedy wysiadł na dole, Kate czekała już przy drzwiach kabiny. Bez słowa podała mu zwykłą białą kopertę.

- Steve to znalazł na kontuarze recepcji. Jak tylko ją zobaczyłam... - Zamilkła na moment.

- Coś podobnego dostałeś już w Vegas, prawda?

- Tak. - Justin patrzył na starannie wypisane drukowanymi literami swoje nazwisko. Miał ochotę podrzeć list na strzępy, ale wyjął kartkę z koperty i rozłożył ją.

TO JESZCZE NIE KONIEC. ZAPŁACISZ MI WYZNACZONĄ CENĘ.

- Wezwij szefa ochrony-polecił Kate, czytając powtórnie krótki tekst. - I policję.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Serena wciągnęła przez głowę sweter z czarnej angory, zadowolona, że ma przed sobą długie leniwe popołudnie z Justinem. Od czasu pobytu na Wyspie św. Tomasza nie spędzili jeszcze dnia razem.

Na myśl o tamtej wyspie przypomniła sobie kolczyki, które dostała w prezencie od Justina. Założy je dzisiaj wieczorem, postanowiła. Otworzyła górną szufladę komody i wyjęła małe pudełeczko. Piękne, pomyślała, oglądając je raz jeszcze. Wyjątkowe, bo kupił je specjalnie dla niej, zanim jeszcze zostali kochankami.

Dziwny człowiek z tego Justina, z jednej strony chłodny i zamknięty w sobie, a zarazem stać go na takie miłe gesty. Fiołki w jej pokoju na powitanie w Atlantic City, szampan na śniadanie. A pod spodem gwałtowność i nieugiętość. Tak, Justin ją fascynował.

„Jak bardzo jesteś mądra?” - przypomniła sobie jego pytanie i zaśmiała się głośno.

- Dość mądra, by wiedzieć, że mam ogromne szczęście - mruknęła do siebie.

Zajrzała jeszcze raz do szuflady i wyjęła z niej ćwierćdolarówkę z dwoma orłami, którą kupiła, gdy Justin był w Vegas. Obejrzała ją dokładnie i wsunęła do kieszeni dżinsów. Dobrze mieć asa w rękawie, powiedziała sobie z chytrym błyskiem w oku.

Podniosła wzrok na swoje odbicie w lustrze i spochmurniała. Nieuczesane, potargane w łóżku włosy wyschły i teraz miała na głowie sterczącą we wszystkie strony szope. Chwyliła szczotkę. Musi coś z tym zrobić, zanim zadzwoni do obsługi. A Justin za karę będzie musiał poczekać na swój lunch. Zaczęła rozczesywać to straszne coś, krzywiąc się z bólu.

- Auuu, chwileczkę! - zawołała, słysząc pukanie do drzwi. Albo Caine, albo Alan przyszedł wyżalić się, że Lena Maxwell odprawiła go z kwitkiem, pomyślała, idąc ze szczotką w dłoni do drzwi. - Tylko nie myśl sobie, że będę... Och!

- Sprzątanie. - Stojący w progu szczupły, mniej więcej dwudziestoletni chłopak uśmiechnął się nieśmiało.

Najwyraźniej Justin musiał go przysłać. Typowe, pomyślała. Mógł ją uprzedzić.

- Przyjdę później, jeśli...

- Nie. Przepraszam, myślałam, że to ktoś inny.

- Serena uśmiechnęła się i otworzyła szerzej drzwi.

- Jesteś nowy, prawda?

- Tak, proszę pani. To mój pierwszy dzień w pracy.

To by wyjaśniało, dlaczego jest niespokojny i speszony, pomyślała.

- Nie musisz się spieszyć - powiedziała ciepło.

- Postaram się ci nie przeszkadzać. - Odwróciła się, żeby wrócić do sypialni. - Możesz zacząć od kuchni, a ja...

Poczuła coś na ustach i nosie. Zaskoczona, nie zdążyła nawet się przestraszyć. Chwyciła napastnika za rękę, chciała krzyknąć. Poczuła w nozdrzach i ustach lepka, słodką woń. Zawirowało jej w głowie. Rozpoznawszy zapach, zaczęła się szarpać gwałtownie. Oczy zaszyły jej mgłą.

- Boże, nie! - krzyczała bezgłośnie. Ręce opadły jej bezwładnie, szczotka wysunęła się z dłoni.
- Justin...

- Recepcjonista znalazł to u siebie na kontuarze
- mówił Justin porucznikowi Ranickiemu. - Nie wiadomo, kto zostawił list. W tym czasie w recepcji był duży ruch, sporo osób opuszczało hotel. Szantażysta wybrał najdogodniejszy moment.

- To oczywiste. - Porucznik chwycił róg kartki i wsunął ją do plastikowej torebki. - Będę musiał przekazać sprawę federalnym, a na razie zostawię w hotelu kilku policjantów po cywilnemu.

- Mam swoją ochronę we wszystkich pomieszczeniach dostępnych dla gości.

Ranicki uniósł siwe krzaczaste brwi. Nie podobam mu się, ja i moi ludzie, pomyślał, obserwując, jak Justin zapala cygaro i ręka mu nawet nie drgnęła. Prawdziwy twardziel. Jeden z tych, co sami zwykli załatwiać swoje sprawy. Nie da zrobić sobie krzywdy.

- Ma pan jakichś wrogów, panie Błade?

Justin spojrział na porucznika jakby z odrobiną politowania.

- Najwyraźniej,
- Ktoś, o kimś powinniśmy wiedzieć?
- Nie.
- To pierwsza pogróżka, którą pan dostał po powrocie z Nevady?

- Tak.

Ranicki zdusił westchnienie. Kiedy miał do czynienia z facetami pokroju Blade'a, czuł się jak dentysta z bormaszyną w dłoni.

- Przyjął pan kogoś ostatnio albo zwolnił?

Justin zamiast odpowiedzieć, nacisnął guzik interkomu.

- Kate, przygotuj mi listę nowo zatrudnionych i zwolnionych za ostatnie dwa miesiące. I niech przyślą identyczne wydruki z pozostałych hoteli.

- Cudowna rzecz, te komputery - powiedział Ranicki. - Mojej córki nie mogę odgonić od monitora. Cała dobę siedziałyby w internecie. - Wzruszył ramionami, kiedy Justin skwitował jego uwagę milczeniem. - Sprawdzę pana system zabezpieczeń. Jeśli nasz ptaszek naprawdę zamierza podłożyć bombę, będzie musiał jakoś tu wejść.

- Wejdzie bez trudu. Wystarczy, że zamelduje się w recepcji jako gość hotelowy - sarknął Justin.

- Prawda - przytaknął Ranicki, idąc wzrokiem za smugą dymu z cygara. - Mógłby pan zamknąć hotel na jakiś czas.

Zaiste, uwagi pana porucznika odznaczały się wyjątkową błyskotliwością.

Justin zmrużył lekko oczy.

- Nie.

- Też tak pomyślałem. - Ranicki wstał z fotela.
- Moi ludzie będą dyskretni, panie Blade. Prze-

prowdzimy rutynowe przesłuchania. Porozmawiam z recepcjonistą i zajrzę jeszcze do pana.

- Dziękuję, poruczniku.

Kiedy drzwi za Ranickim się zamknęły, z furją zdusił cygaro. Niemal czuł na karku oddech swojego prześladowcy. Ten człowiek był tutaj, jeśli nie w hotelu, to gdzieś w pobliżu. Przyczaił się i czeka. Serena musi wracać do Hyannis Port, choćby miał ją związać i siłą wsadzić do samolotu.

Siedział przez moment bez ruchu, próbując się uspokoić. Krzykiem i groźbą nic nie wskóra u Sereny. Musi jej wytłumaczyć, że powinna wyjechać, bo inaczej on zwariuje ze strachu o nią. A jemu potrzebna jest jasność umysłu. Gdyby się skupił, pomyślał racjonalnie, być może trafiłby na jakiś ślad, domyśliłby się, kto i dlaczego...

Nacisnął przycisk interkomu.

- Kate, będę na górze. Wszystkie rozmowy łącz do mieszkania. - Podniósł się i ruszył do windy. Musi znaleźć argumenty, które wyeksponują w trybie natychmiastowym Serenę i jej braci z hotelu Comanche.

Wszedł do salonu, pewny, że zobaczy ją przy stole zastawionym do lunchu, lecz Sereny nie było, stół nie był zastawiony. Pomyślał, że widać przysnęła, przeszedł więc do sypialni. Tu też nie znalazł Sereny. Wołając ją, skierował się do łazienki.

Pusto.

Nie bądź idiota, próbował uspokajać sam siebie. Nikt jej nie trzyma tu w kajdanach, mogła wyjść dokądkolwiek, po cokolwiek. Ale powiedziała, że będzie na mnie czekać. Gdyby zamierzała wyjść, zadzwoniłaby do biura. Czy jednak na pewno?

Wrócił do salonu. Byli z sobą zbyt krótko, by poznać swoje zwyczaje. Mogła na przykład zjechać do butiku, żeby kupić suknię na wieczór.

Schylił się i podniósł z podłogi szczotkę do włosów. Patrzył na nią przez chwilę tępo, niezdolny do myślenia. Otrząśnij się, oprzytomniej, człowieku, napomniiał się. Serena za chwilę wróci. Nie panikuj. Zdażył już zauważyć, że rozrzuca swoje rzeczy po całym mieszkaniu. Bałaganiara.

Podniósł słuchawkę i wystukał numer.

- Dajcie sygnał na pager Sereny MacGregor.

Czekał ze szczotką do włosów w dłoni. Żakiet naszywany cekinami leżał na oparciu kanapy. Pamiętał, jak zdejmował go z jej ramion minionej nocy. Rano musiała podnieść go z podłogi i rzucić na kanapę. Ale dlaczego zostawiła szczotkę do włosów na podłodze?

- Niestety pani MacGregor nie odpowiada. Wywołałam ją, ale się nie zgłasza.

Justin poczuł, że dzieje się z nim coś złego. Zacisnął palce na rączce szczotki z taką siłą, że omal jej nie zgniółł.

- Proszę wywołać Alana MacGregora albo jego brata, Caine'a. - Zerknął na zegarek. Powiedział Serenie, że wróci najpóźniej za godzinę, a już minęło półtorej.

- Tu Caine MacGregor.

- Justin z tej strony. To ja cię wywołałem. Serena jest z tobą?

- Nie. Alan i ja...

- Widzieliście ją?

- Rano, na górze. - Caine znał Justina od dziesięciu lat, ale po raz pierwszy słyszał w jego

niby spokojnym głosem panikę. Poczł zimne ciarki na skórze. - Czemu pytasz?

Justin przez krótką chwilę nie mógł dobrać głosu z gardła. Spojrzał na szczotkę, którą ścisł w dłoni.

- Nie ma jej.

- Jesteś na górze? - upewnił się Caine.

- Tak.

- Zaraz tam będziemy.

Zjawili się w mgnieniu oka.

- Serena mogła wyjść gdzieś na chwilę - powiedział Caine od progu. - Sprawdziłeś, czy wzięła samochód?

- Nie. - Justin zaklął i podniósł słuchawkę.

- Mówi Blade. Proszę sprawdzić, czy samochód pani MacGregor stoi na parkingu. - Skrajnie zniecierpliwiony czekał na odpowiedź. Caine chodził nerwowo po pokoju. Alan siedział bez ruchu, starając się zachować spokój. - Samochód stoi.

- Może poszła na spacer - podsunął Alan, sam nie bardzo w to wierząc.

- Umówiliśmy się tutaj, na górze półtorej godziny temu. Miała na mnie czekać - wyjaśnił Justin. - Obiecała zamówić lunch, ale nie zadzwoniła do obsługi. A to znalazłem koło drzwi.

Alan wziął do ręki mały klejnocik antykwarski z piękną kościaną rączką. Podarował Serenie cały komplet takich szczotek i szczoteczek na szesnaste urodziny. Miała ogromny sentyment do tego prezentu.

- Pokłóciliście się?

Justin obrócił się gwałtownie do Caine'a. Przeważał panować nad sobą.

- Uspokój się - łagodź Caine. - Wiesz, jaka jest Serena. Jeśli wściekła się na ciebie, mogła wybiec z hotelu, nie mówiąc nikomu ani słowa. Wróci, jak ochłonie.

- Nie pokłóciliśmy się - powiedział Justin głucho. - Zanim zjechałem na dół, kochaliśmy się. - Wcisnął dłonie do kieszeni. - Zadzwoiła moja sekretarka, że ktoś przyniósł list. Jak się okazało, z kolejną pogróżką.

Alan powoli odłożył szczotkę Sereny na stolik.

- Natychmiast wezwij policję.

W tej samej chwili odezwał się telefon. Justin chwycił słuchawkę.

- Sereno...

- Szukasz jej? - odezwał się stłumiony głos, ani męski, ani kobiecy. - Mam twoją squaw, Blade. - Połączenie zostało przerwane.

Justin skamieniał.

- On ma Serenę - usłyszał czyjś głos, i dopiero po chwili dotarło do niego, że to on się odezwał. W dzikim porywie wściekłości zerwał aparat telefoniczny ze ściany i cisnął nim o podłogę. - Ten skurwiel ma Serenę!

Porucznik Ranicki omiótł spojrzeniem salon Justina. Był mile zaskoczony ciepłym wystrojem. Na tyle, na ile zdołał wyrobić sobie zdanie o tym człowieku w czasie pierwszej rozmowy, spodziewał się raczej bezosobowego, chłodnego wnętrza. W kącie pokoju dojrzał pogruchotany telefon. Oto cena spokoju, pomyślał filozoficznie.

Wysoki blondyn przy oknie to Caine MacGregor. Ranicki słyszał o nim: młody pistolet,

obecnie prokurator stanu Massachusetts. I drugi brat zaginionej, ciemnowłosy Alan MacGregor, senator, zasiada na Kapitolu, polityk o lewicowych poglądach i ciętym języku. Porucznik znów skierował spojrzenie na Justina.

- Może pan powtórzyć jeszcze raz wszystko od początku?

Justin poczuł, że za chwilę zrobi coś złego temu człowiekowi, ale jakoś się opanował.

- Zadzwoiła sekretarka, że ktoś zostawił w recepcji list, który powinienem natychmiast przeczytać. Zjechałem na dół. Obiecałem Serenie, że wrócę najdalej za godzinę. Prosiłem, żeby zamówiła lunch. Wróciłem trochę później. Nie zastałem jej w mieszkaniu. Koło drzwi wejściowych znalazłem jej szczotkę do włosów. Zacząłem się niepokoić. Wywołałem ją na pager, nie odpowiedziała, wtedy skontaktowałem się z jej braćmi. Kwadrans temu zadzwonił ten człowiek.

- Proszę dokładnie powtórzyć, co powiedział - zażądał Ranicki.

Justin milczał przez krótką chwilę, jakby się zastanawiał.

- Poinformował mnie, że ma moją squaw - odezwał się wreszcie.

Caine odwrócił się od okna.

- Te kretyńskie przepytывania prowadzą donikąd! - napadł na Ranickiego z furją. - Szukajcie jej, do jasnej cholery!

- Szukamy - odpowiedział Ranicki zmęczonym głosem. Potrafił być cierpliwy.

- Ten facet zadzwoni - odezwał się Alan.
- Doskonale wie, że zapłacimy każdy okup, żeby

odzyskać Serenę. - Spojrzał na Justina. - O ile rzeczywiście chodzi mu o pieniądze.

- Na razie to właśnie zakładamy, senatorze - stwierdził porucznik. - Chciałbym założyć podsłuch na pańskim telefonie, panie Blade.

- Niech pan robi, co uważa za konieczne.

Caine spojrzął na Justina.

- Gdzie masz brandy?

- Co takiego?

- Powinieneś się napić. - Kiedy pokręcił przecząco głową, Caine zaklął pod nosem. - W takim razie ja się napiję, zanim zadzwonię do staruszków.

- Tam masz barek - mruknął Justin.

W głębi mieszkania odezwał się telefon. Nie czekając na przyzwolenie Ranickiego, Justin pobiegł do kuchni.

- Tu Blade. - Zamknął oczy, zawiedziony. - Do pana, poruczniku - zawołał.

Kiedy wrócił do salonu, Alan i Caine naradzali się półgłosem.

- Alan zadzwoni do rodziców - powiedział Caine. - Lepiej, żeby to on z nimi rozmawiał. Na pewno natychmiast tu przyjadą.

Justin robił wszystko, żeby nie okazać paniki i rozpaczy.

- Oczywiście.

Do salonu wrócił Ranicki.

- Moi ludzie znaleźli w garażu wózek, jakiego używają pokojówki. Oprócz zwykłych środków czyszczących i innych akcesoriów, była na nim szmatka nasączona eterem. Teraz przynajmniej wiemy, jak zdołał uprowadzić panią MacGregor.

Caine zacisnął palce na kieliszku tak, że po-

biały mu knykcie. W oczach Alana na moment pojawiło się przerażenie. Tylko twarz Justina pozostała nieporuszona.

- Musimy mieć zdjęcie pani MacGregor.

Justina jakby ktoś dźgnął nożem w żołądek.

- Nie mam - powiedział głucho.

- Ja mam. - Alan wyjął portfel.

- Zaraz będzie podsłuch na pańskim telefonie, panie Blade - powiedział Ranicki, odbierając zdjęcie od Alana. - Jak ten człowiek zadzwoni, niech pan rozmawia z nim jak najdłużej. I nie godzi się na żadne jego żądania, dopóki nie usłyszy głosu pani MacGregor. Musimy mieć pewność, że rzeczywiście ją porwał.

- A jeśli odmówi?

- Wtedy pan odmówi dalszej rozmowy.

Justin usiadł. Zmusił się. W przeciwnym razie zaczęłyby chodzić po pokoju jak zwierzę w klatce.

- Nie - wycedził.

- Porucznik ma rację, Justinie - zaczął Alan, zanim Ranicki zdążył powiedzieć cokolwiek. - Musimy mieć pewność, że ma Renę i że nie zrobił jej nic złego. Powiesz mu wyraźnie: żadnych rozmów o okupie, dopóki nie usłyszysz jej głosu.

„Zapłacisz mi wyznaczoną cenę”, przypomniał sobie Justin słowa z listu.

Nie Serena. Na Boga, tylko nie Serena!

- Kiedy już usłyszę jej głos, nie będę się targował. Zgodzę się na wszystkie warunki.

- To pańskie pieniądze, panie Blade. - Ranicki uśmiechnął się lekko. - Proszę uważnie słuchać, kiedy ten człowiek zadzwoni. Będzie najprawdopodobniej zmieniał głos, ale może rozpozna pan

jakiś charakterystyczny zwrot, akcentowanie zgłoszek, coś w tym rodzaju.

Gdy rozległo się pukanie, porucznik podszedł do drzwi. Kiedy rozmawiał cicho z jednym ze swoich ludzi, Caine ponownie zaproponował Justinowi kieliszek brandy, lecz ten ponownie odmówił.

- Złapią go - powiedział Caine.
- Wtedy go zabiję - wycedził Justin.

Serena ocknęła się i jęknęła. Czyżby zasnęła? Spóźni się na wykład... Nie, jest przecież na Celebration, znowu będzie musiała tłumaczyć się Dale'owi... Justin... Tak. Justin zaraz wróci, a ona nie zamówiła jeszcze lunchu.

Nie mogła otworzyć oczu. Czuła mdłości. Otworzyła komuś drzwi, teraz sobie przypominała. Przerażona uniosła z trudem powieki.

Małe, mroczne pomieszczenie z jednym oknem zasłoniętym roletą, która przepuszczała trochę światła. Tania orzechowa toaletka z zakurzonym lustrem, fotel na biegunach, lampa pod sufitem, ściany kiedyś pomalowane na żółto, teraz wyblakłe i brudne.

I duże małżeńskie łóżko, na którym leżała. Próbowała się poruszyć i dopiero teraz odkryła, że przykuta jest kajdankami do poręczy wezgłowia.

Chłopak, który przyszedł posprzątać, przypominała sobie.

Eter.

Boże, jak mogła być aż tak głupia! Justin przecież ją ostrzegał... Justin. Przygryzła wargę. Na pewno gorączkuje się, co z nią. Szuka jej? Zawiadomił policję? Może myśli, że wyszła coś załatwić i zaraz wróci.

Wydostać się stąd. Serena szarpnęła dłonią, jakby oczekiwała, że kajdanki się otworzą.

Chłopak musiał mieć coś wspólnego z podłożeniem bomby w Vegas. Niewiarygodne. Był taki młodziutki. Szarpnęła ponownie przykutą do łóżka ręką, lecz usłyszawszy kroki, znieruchomiała.

Terry odłożył słuchawkę. Zaplanował wszystko bardzo precyzyjnie. Porwanie tej kobiety było ryzykowne, ale udało się. To lepsze niż bomba. Tam, w Vegas, dał im za dużo czasu i znaleźli ładunek. Nie chciał nikogo skrzywdzić, chodziło wyłącznie o Blade'a. Teraz rozegrał rzecz doskonale.

Blade zapłaci każdą cenę, żeby odzyskać tę kobietę, ale najpierw będzie musiał odcierpieć swoje. Był jeszcze w Vegas, kiedy on, Terry, leciał już do Atlantic City. Naprawdę świetnie to zaplanował. Tyle że z całej sieci powinien od razu wybrać Atlantic City na Wschodnim Wybrzeżu.

Zobaczył Serenę już pierwszego wieczoru po przyjeździe. Dowiedział się, że jest współwłaścicielką tego hotelu. Kilka niewinnych z pozoru rozmów, kilka trafnych pytań i wiedział już, że piękna pani MacGregor jest nie tylko współniczką Blade'a, ale kimś znacznie ważniejszym. I wtedy zrodził się plan.

Bał się, to prawda. Uprowadzenie kogoś z dobrze strzeżonego hotelu to nie taka prosta sprawa. O wiele ryzykowniej sza niż wniesienie do środka niewielkiego ładunku wybuchowego. Ale cóż, na sprzątaczkę i sprzątaczy w białych uniformach nikt

nie zwraca uwagi. Po dwóch dniach wiedział już, że biura na parterze połączone są windą z prywatnymi apartamentami na ostatnim piętrze. Obserwował Serenę i cierpliwie czekał.

Kiedy wrócił Justin, Terry przystąpił do działania. Zdobycie uniformu nie stanowiło problemu, podrzucenie listu też okazało się dziecinnie łatwe. Odczekał, aż recepcjonista zanieś list do biura, i ruszył do akcji. Wiedział, że Justin, zaalarmowany przez sekretarkę, za chwilę zjedzie na dół. Sam przebrał się w pomieszczeniu gospodarczym na trzecim piętrze i z korytarza pożyczył sobie wózek ze środkami czystości i sprzętem do sprzątania.

Serce waliło mu jak młotem, kiedy wsiadał do służbowej windy. Nie miał przecież pewności, czy zastanie Serenę na górze. Gdyby zjechała z Justinem do biura, misterny plan wzięłby w łeb. Omal nie spanikował, gdy otworzyła mu z uśmiechem drzwi, ale pomyślał o Justinie. Reszta była już prosta.

Umieścił nieprzytomną na wózku, przykrył poscielą i zjechał do garażu, gdzie czekał samochód. Przeniósł Serenę na tylne siedzenie, przykrył kocem i spokojnie wyjechał z hotelu.

Gdy przywiózł ją tutaj, zaczął się niepokoić, bo bardzo długo nie odzyskiwała przytomności. Może użył zbyt silnej dawki eteru... albo... Usłyszał w końcu jej jęk. Odetchnął z ulgą i włączył czajnik, żeby przygotować herbatę.

Kiedy wszedł do pokoiku, siedziała na łóżku oparta o wezglowie. Myślał, że zastanie ją przerażoną, ale nie. Być może ciągle była w szoku.

- Jeśli zaczniesz krzyczeć, będę musiał cię zakneblować, a nie chcę tego robić.

Dłonie mu drżały, Serena od razu to dostrzegła i pomyślała, że nerwowy porywacz może być znacznie groźniejszy od spokojnego.

- Nie będę krzyczeć - obiecała.

- Przyniosłem ci herbatę. Pewnie jest ci teraz trochę niedobrze. - Terry podszedł bliżej, ostrożnie stawiając kroki.

Jakby zbliżał się do pochwyconego zwierzęcia, pomyślała. Pewnie spodziewał się, że będzie przerażona. Niewiele się mylił. Była przerażona. I powinna pokazać mu, że jest przerażona, jednocześnie starając się zachować spokój.

- Chciałam... - zaczęła drżącym głosem
- chciałam skorzystać z toalety.

- Dobrze. - Chłopak odstawił kubek i podszedł jeszcze bliżej. - Nie zrobię ci krzywdy. - Wyjął kluczyk z kieszeni džinsów i otworzył kajdanki. - Jeśli zaczniesz krzyczeć albo będziesz próbowała uciekać, będę musiał cię powstrzymać. Rozumiesz?

Kiwnęła głową.

Zaprowadził ją do małej łazienki.

- Czekam przy drzwiach. Zachowuj się rozsądnie, a nie stanie ci się nic złego.

Ponownie skinęła głową i weszła do łazienki. Oczywiście żadnego okna, pomyślała zawiedziona. Nic, czego mogłaby użyć jako broni przeciwko chłopakowi. Przygryzła bezradnie wargę. Musi znaleźć jakiś sposób, żeby się stąd wydostać. I znajdzie go.

Odkręciła zimną wodę i przemyła twarz. Tylko zachować spokój, powtarzała sobie w duchu. Chłopak był niebezpieczny, bo przynajmniej tak samo

przeżony co ona. Musi mu pokazać, że to ona bardziej się boi. Zacznie płakać, histeryzować, ale będzie czujnie wyczekiwać odpowiedniego momentu. Przede wszystkim musi się dowiedzieć, co chłopak zamierza, jaki ma plan.

Wyszła z łazienki.

- O co ci chodzi? - zapytała, kiedy pociągnął ją na powrót w stronę łóżka.

- Nie zrobię ci krzywdy - powtórzył. - Jak tylko zapłacisz, wypuszczę cię.

- Kto?

W oczach Terry'ego błysnęła wściekłość.

- Blade.

- Mój ojciec ma więcej - zaczęła. - On...

- Nie chcę pieniędzy twojego ojca! - wybuchnął, a Serena wzdrygnęła się mimowolnie. Nawet nie musiała udawać. - Blade mi zapłaci. Będzie musiał zapłacić bardzo dużo.

- To ty... podłożyłeś bombę w Las Vegas?

Terry podał jej herbatę. W pierwszej chwili chciała chlusnąć mu nią w twarz, ale szybko poniechała pomysłu. Bez sensu. Nic by w ten sposób nie działała, najwyżej by go rozsierdziła.

- Tak. - Miał wypieki na twarzy i dzikie oczy.

- Dlaczego?

- Zabił mojego ojca. - Wyszedł z pokoju.

Dlaczego on nie dzwoni?

Justin pił kolejną kawę, nie potrafiłby powiedzieć, którą z rzędu. Jeśli ten drań coś jej zrobił... Uchwyt kubka został mu w palcach. Odrzucił go i wyjął z kieszeni cygaro. Przy stole w głębi pokoju dwóch policjantów grało w karty, Caine chodził

niespokojnie tam i z powrotem, a Alan pojechał na lotnisko po Annę i Daniela. Roztrzaskany telefon został zastąpiony nowym aparatem, który jednak milczał uparcie.

Niebo pociemniało, zanościło się na deszcz. Gdzie, na Boga, jest Serena? Dlaczego zostawił ją w mieszkaniu samą? Dlaczego nie wysłał jej pierwszym samolotem do Hyannis Port? Jeśli coś jej się stanie, to...

Odegnął tę myśl od siebie.

Nie pora teraz na wyrzuty sumienia. Musi panować nad emocjami, myśleć trzeźwo, tylko tak będzie w stanie jej pomóc.

Policjanci rozmawiali półgłosem, przerzucając się leniwie zdaniem, Caine zapalił kolejnego papierosa. Justin miał wrażenie, że jeszcze chwila, a zwariuje, nie wytrzyma dalszego wyczekiwania.

Kiedy telefon zadzwonił, rzucił się do aparatu.

- Proszę przeciągać rozmowę - przypomniał mu jeden z policjantów.

Chwycił słuchawkę.

- Blade.

- Chcesz odzyskać swoją squaw?

Młody głos. Wystraszony. Ten sam głos, który policja nagrała w Las Vegas.

- Ile?

- Dwa miliony. W małych nominałach. Zawia-
domię cię, gdzie i kiedy masz je dostarczyć.

- Chcę rozmawiać z Sereną.

- Nie.

- Skąd mam wiedzieć, że jest z tobą? Że... że żyje - ostatnie słowo wypowiedział z najwyższym trudem.

- Zastanowię się.

Po drugiej stronie rozległ się trzask odkładanej słuchawki.

Serena skuliła się pod kocem. Drżała z zimna. Nie, to nie zimno, to przerażenie, nie oszukuj się, powiedziała sobie. „Zabił mojego ojca”. Cały czas słyszała w głowie to zdanie. Czyżby chłopak był synem człowieka, którego przed laty Justin ranił śmiertelnie w czasie bójki w barze? Musiał wówczas być maleńkim dzieckiem... Serenę znowu przeszedł dreszcz. Owinęła się szczelniej kocem.

Powinna była zaufać intuicji Justina. Od początku mówił, że to porachunki osobiste. Jakiej zemsty szuka ten chłopak? Czego chce? Jak daleko jest zdolny posunąć się w nienawiści?

Widziała jego twarz. Czy w takim razie puści ją wolno, skoro będzie mogła go zidentyfikować? Nie wyglądał na kogoś, kto potrafi z zimną krwią zabić człowieka. Z drugiej strony... podłożył przecież bombę w hotelu pełnym ludzi.

Musi się stąd wydostać!

Zamknęła oczy i nasłuchiwała. Cisza. Nie słychać żadnych samochodów. Chyba tylko szum oceanu w oddali, ale nie była pewna. Może to tylko wiatr. Dokąd ją przywiózł? Gdyby rozbiła szybę w oknie i zaczęła krzyczeć, czy ktoś ją usłyszy?

Kiedy zadawała sobie pytania, na które nie znała odpowiedzi, do pokoju wszedł Terry.

- Przyniosłem ci sandwicz.

Zdawał się jeszcze bardziej niespokojny, a może podekscytowany. Rozmawiaj z nim jak najwięcej, nakazała sobie.

- Nie zostawiaj mnie samej. - Chwyciła go za rękę i spojrzała błagalnie w oczy.

- Zjedz, poczujesz się lepiej - bąknął i podsunął jej kanapkę pod nos. - Nie masz się czego bać. Powiedziałem ci, że jak będziesz spokojna, nie zrobię ci nic złego.

- Widziałam cię. Czy mnie teraz wypuścisz? - zapytała.

- Mam plan. - Zaczął chodzić niespokojnie po małym pokoju.

Jest taki drobny, myślała. Gdyby nie te cholerne kajdanki, miałaby szansę go pokonać.

- Powiem im, gdzie mają cię szukać, jak już będę bezpieczny. - Szwajcaria. Tam poleci. Nigdy go nie znajdą. - Blade zapłaci mi dwa miliony. To wystarczy, żeby się dobrze ukryć.

- Dwa miliony - szepnęła. - Skąd wiesz, że dostaniesz te pieniądze?

Terry zaśmiał się i spojrzał na Serenę. Była bardzo blada, miała szeroko rozwarte oczy i zmierzwione włosy.

- Zapłaci. Będzie jeszcze błagał, żebym wzięła jego pieniądze.

- Powiedziałaś, że zabił twojego ojca...

- Zamordował go.

- Aż został uniewinniony. Opowiadał mi. Mówił, że... - Gdy Terry obrócił się gwałtownie, słowa zamarły jej na ustach.

- Zamordował mojego ojca i puścili go wolno! - krzyknął. - Ulitowali się nad nim i uniewinnili. Polityka! Tak mówiła moja matka. Nikt nie odważył się skazać Indianina. Matka mówiła, że jego adwokaci przekupili świadków.

Matka przez lata chowała tego dzieciaka w poczuciu krzywdy. Zaszczepiła mu nienawiść do Justina, pomyślała Serena. Cokolwiek mu teraz powie, nie zmieni jego odczuć, jego stanowiska. Czy matka opowiedziała mu też o bliźnie, którą Justin nosi na ciele? Czy powiedziała, że ojciec był pijany? Że to on, a nie Justin wyciągnął nóż? Spojrzała w pełne nienawiści oczy chłopaka, widziała przerażenie na jego twarzy.

- Przykro mi - szepnęła. - Bardzo mi przykro.

- Zapłaci mi za to, co zrobił. Już płaci, bo szaleje z niepokoju o ciebie. - Terry odrzucił włosy z czoła. - Chętnie przetrzymałbym cię dłużej, ale to zbyt ryzykowne. - Zaśmiał się cicho. - Kto by pomyślał, że Blade'owi tak będzie zależało na kobiecie.

- Jak masz na imię?

- Terry.

Serena wyprostowała się.

- Musisz przecież wiedzieć, że Justin zawiadomił policję, Terry. I że mnie szukają.

- Nie znajdu cię. Wszystko starannie zaplanowałem. Wynająłem ten dom pół roku temu, kiedy Blade otworzył hotel. W Atlantic City też zamierzałem podłożyć bombę, jak już zapłaci mi w Vegas. - Wzruszył ramionami, jakby atak w Vegas nie miał dla niego żadnego znaczenia. - Właściciele, para starszuchów, przenieśli się na Florydę. Nigdy mnie nie widzieli. Przesłałem im czek.

- Terry...

- Nic ci się nie stanie. Zjedz i spróbuj się zdrzemnąć. Odbiorę pieniądze i dziesięć godzin później zawiadomię policję, gdzie mają cię szukać.

- Wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

- To się nazywa poszukiwanie! Spójrz na nich.

- Daniel wskazał dwóch policjantów. - Grają sobie w karty, a jakiś psychopata więzi moją małą córeczkę.

- Robią, co mogą - powiedział Alan. - Wszystkie rozmowy telefoniczne są nagrywane. Nie udało się jeszcze ustalić, skąd dzwonił, bo za szybko się rozłączył. Sprawdzają odciski palców zdjęte z wózka.

- Ha! Co to za hotel, z którego można wywieźć człowieka na wózku jakiejś sprzątaczkii?

~ Danielu... - Anna próbowała uspokoić męża, ten jednak tylko zaklął i odwrócił się do okna.

- Justinie, nie gniewaj się.

Nie chciał słuchać przeprosin. Pokręcił głową i wstał z kanapy. Po sześciu godzinach czekania był bliski obłędu. Przeszedł bez słowa do sypialni i zamknął drzwi za sobą.

Szlafrok Sereny wisiał przerzucony przez oparcie fotela, tak jak go zostawiła. Justin zacisnęła dłonie i odwrócił się. Na toalecie leżało otwarte pudełeczko z kolczykami, które jej podarował. Pamiętał, jak przymierzała je poprzedniej nocy, jak skrzyły się w jej uszach drobnymi refleksami światła, kiedy klęczała naga na łóżku, wyciągając ku niemu ramiona.

W sypialni panowała przytłaczająca cisza, tylko deszcz dzwonił o szyby. Jeszcze kilka godzin wcześniej Serena wypełniała ten pokój życiem. Kochali się. A potem on wyszedł. Zostawił ją. Nie

pocałował jej na do widzenia, nie powiedział, że ją kocha. Po prostu wyszedł, zajęty swoimi sprawami. Zostawił ją samą.

- Dobry Boże. - Przesunął dłońmi po twarzy, przycisnął palcami powieki.

Rozległo się ciche pukanie. Nie czekając na zaproszenie, do pokoju wszedł Daniel. Po raz pierwszy, odkąd się poznali, Justin widział na jego twarzy, w całej postawie, bezradność.

- Przepraszam, Justinie.

- Masz rację. Gdybym bardziej uważał...

- Nie. - Daniel podszedł do niego i chwycił za ramiona. - Nie możesz się obwiniać. Nikt tu nie ponosi winy. Jeśli postanowił uprowadzić Renę, zrobiłby to prędzej czy później. Boję się. - Głos mu zadrżał, mocniej zacisnął palce na ramionach Justina. - Tylko raz w życiu tak się bałem, kiedy Caine postanowił przejść się po dachu i zawisł na rynnice siedem metrów nad ziemią. Tylko że wtedy wiedziałem, gdzie jest moje dziecko i jak mam mu pomóc.

- Kocham ją, Danielu.

- Wiem, Justinie.

- Czegokolwiek zażąda, czegokolwiek będzie chciał, spełnię wszystkie jego oczekiwania.

Zrozpaczony ojciec pokiwał głową, potem wyciągnął rękę.

- Chodź. W takich chwilach rodzina powinna być razem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Musiała się zdrzemnąć. Kiedy otworzyła oczy, czując, jak Terry potrząsa nią za ramię, za oknem było już ciemno.

- Zadzwonisz. - Zapalił górne światło.
- Co... - Serena przysłoniła oczy ramieniem.
- Wystarczająco długo go przetrzymałem.
- Włączył aparat do gniazdka. - Jest po pierwszej. Posłuchaj. - Szarpnął ją za rękę, zmuszając, by spojrzała na niego. - Powiesz mu, że wszystko w porządku, tylko tyle. - Zaczął wystukiwać numer. - Nie próbuj żadnych sztuczek. Kiedy się odezwie, powiesz, że nic ci nie jest i żeby zapłacił, jeśli chce cię zobaczyć. Zrozumiałaś?

Kiwnęła głową i wzięła słuchawkę.

Justin odebrał po pierwszym sygnale, przewracając przy okazji stojący obok telefonu kubek z zimną, niedopitą kawą.

- Blade.

Serena zacisnęła powieki na dźwięk jego głosu. Pada, pomyślała bez sensu. Pada deszcz, jest mi zimno i bardzo się boję.

- Justin.

- Serena! Nic ci nie jest? Nie zrobił ci krzywdy? Wzięła głęboki oddech i spojrzała na Terry'ego.
- Nic mi nie jest. Nie będzie blizn.
- Gdzie jesteś...

Terry zamknął Serenie usta dłonią i wyrwał jej słuchawkę.

- Jeśli chcesz ją jeszcze zobaczyć, przygotuj pieniądze. Dwa miliony, w drobnych nominałach, nieznaczone banknoty. Dam ci znać, gdzie masz je zostawić. Przyjeźdź sam, Blade, pamiętaj. Jak zobaczę policję, nic z tego nie będzie.

Odłożył słuchawkę i puścił Serenę. Głos Justina sprawił, że zupełnie się rozkleiła. Dotąd panowała nad sobą, teraz ukryła twarz w poduszce i rozpłakała się.

- Nic jej nie jest - powiedział Justin, odkładając powoli słuchawkę.

- Bogu niech będą dzięki. - Anna chwyciła go za rękę. - Co teraz?

- Przygotuję pieniądze i zawiozę w miejsce, które wskaże.

- Sfotografujemy banknoty - odezwał się porucznik Ranicki. - Jeden z moich ludzi pojedzie za panem na miejsce przekazania okupu.

- Nie.

- Proszę posłuchać, panie Blade, nie ma żadnej gwarancji, że ten człowiek uwolni panią MacGregor. Bardziej prawdopodobne, że...

- Nie! Już zdecydowałem. Żadnej obstawy. Pojadę sam.

Ranicki pokręcił głową.

- W takim razie umieścimy w torbie radio-

lokator i w ten sposób dotrzemy do pani Mac-Gregor.

- Nie - powtórzył Justin z uporem. - Nie będę ryzykował.

- Ryzykuje pan, i to bardzo, przekazując mu dwa miliony. Proszę pani - Ranicki spojrział na Annę, licząc, że matka okaże więcej rozsądku niż Justin - chcemy, żeby córka wyszła z tego cała i zdrowa. Proszę pozwolić nam działać.

Przez chwilę patrzyła na porucznika bez słowa, wreszcie powiedziała spokojnym głosem, choć dłonie jej drżały:

- Przykro mi, ale uważam, że Justin ma rację.

- Sfotografujcie pieniądze i namierzcie tego drania, kiedy wypuści już Serenę - wtrącił Caine.

- Chciałbym osobiście postawić go przed sądem - dodał mściwie.

- W takim razie proszę zadbać, żeby odpowiadał tylko za uprowadzenie i wymuszenie, a nie za morderstwo - rzucił Ranicki. - Nie wiadomo, co ten człowiek gotów jest zrobić, kiedy będzie już miał pieniądze. Proszę posłuchać, Blade - ciągnął, coraz bardziej zirytowany - może pan nie lubić policji, ma pan złe doświadczenia, ale to, co chce pan zrobić, to skrajna głupota.

Justin bezwiednie dotknął żeber. Nie, nie ufał policji. A może jednak powinien? Może właśnie popełnia największy w swym życiu błąd? Tak, miał uraz do policji, wciąż bowiem pamiętał wielogodzinne przesłuchania w szpitalu, kiedy za wszelką cenę starano się wrobić go w morderstwo, ignorując jego wersję o samoobronie.

Nagle dłoń mu znieruchomiała. „Nie będzie blizn”!

- O mój Boże! Mój Boże... - zawołał zdławionym głosem.

- Co się dzieje? - Anna wpiła mu palce w ramię.

- O co chodzi?

Podniósł na nią powoli spojrzenie.

- Duch - szepnął, a potem zwrócił się do Raniekiego: - Serena próbowała mi coś powiedzieć. „Nie będzie blizn”, tak brzmiały jej słowa. Ten człowiek w Nevadzie, przez którego zostałem oskarżony o zabójstwo, ugodził mnie nożem. Oповідаłem o tym Serenie.

Porucznik chwycił słuchawkę telefonu.

- Pamięta pan, jak on się nazywał?

Justin uśmiechnął się gorzko. Jak mógłby zapomnieć to nazwisko?

- Charles Terrance Ford. Miał żonę i syna. Codziennie przyprowadzała chłopca do sądu. - Niebieskooki dzieciak, przypominał sobie Justin. Zdziwione, niebieskie oczy...

- Tym razem wypij - nakazał Caine, wciskając mu w dłoń kieliszek brandy.

Justin pokręcił głową.

- Kawy - wykrztusił, podniósł się i jak automat ruszył do kuchni. Czuł przeraźliwą pustkę w głowie. Pustkę i bezradność. Oparł dłonie o blat kuchenny. Tak samo czuł się przed laty w ciasnej celi aresztu, na sali sądowej podczas procesu. Siedemnaście lat. Dobry Boże. Przez siedemnaście lat syn Forda żył nienawiścią. Co teraz gotów jest zrobić Serenie?

- Jeśli nie chcesz nic innego, wypij przynajmniej to - burknął Caine, stawiając przed Justinem

kubek z kawą. Rano pił tu kawę z Sereną. Kpiła z niego, śmiała się, że nie zauważył, kiedy jego „mała siostrzyczka” stała się dorosłą kobietą.

- Wiedziałem - odezwał się Justin - wiedziałem, że chodzi mu o mnie. I wiedziałem, że Serena nie będzie bezpieczna, a jednak nie zmusiłem jej do wyjazdu.

Caine usiadł na stołku przy blacie.

- Znam Serenę jak siebie samego, kocham całym sercem i wiem, że do niczego nie sposób jej zmusić. Zawsze sama podejmuje decyzje.

- Mogłem pojechać z nią - powiedział Justin.
- Wtedy by się zgodziła.

- Ten człowiek pojechałby za wami.

Justin z łoskotem odstawił kubek. Poczucie bezradności minęło, a wzbierający na nowo gniew sprawił, o dziwo, że znowu mógł myśleć trzeźwo.

- Odzyskam ją, Caine - powiedział zimnym głosem. - Nikt i nic mnie nie powstrzyma.

- Chłopak nazywa się Terry Ford - powiedział Ranicki, wchodząc do kuchni, po czym skierował się do ekspresu. - Pięć dni temu przyleciał z Las Vegas do Atlantic City. Był na liście pasażerów. Wkrótce będziemy mieli jego rysopis. Sprawdzamy wszystkie hotele, motele, domy do wynajęcia, ale równie dobrze mógł ją wywieźć z miasta. Jeśli jednak tak nie zrobił, raczej zameldował się pod swoim nazwiskiem, jestem tego prawie pewien.

- Dlaczego? - spytał milczący dotąd Daniel.
- Przecież każdy głupi...

- On nie jest zawodowym przestępcą, tylko zdesperowanym młokosem, nie ma więc takich nawyków. Poza tym na pewno sądzi, że nikt nie

skojarzy wydarzeń sprzed siedemnastu lat z tymi bombami i porwaniem. Gdyby pani MacGregor nie okazała się tak bystra, dalej nic byśmy o nim nie wiedzieli. - Przerwał na chwilę. - Jego matka trzy lata temu wyszła ponownie za mąż. Szukamy jej. - Porucznik podsunał sobie cukierniczkę. Wreszcie miał jakieś konkrety, zyskał punkt zaczepienia, mógł więc działać, a nie czekać z założonymi rękoma. Odchrząknął, zadowolony, i usadowił się na stołku naprzeciwko Caine'a. - Dostaniemy go. A wy powinniście odpocząć. Terry Ford najwcześniej zadzwoni rano, bo tym czekaniem chce was zmiękczyć, wyczerpać. - Nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, westchnął ciężko. Ta rodzina wie, jak trzymać się razem, pomyślał. - Kiedy będzie miał pan okup, panie Blade?

- Jutro o ósmej rano pieniądze powinny być w moim biurze.

Ranicki uniósł brwi.

- Tak szybko udało się panu zebrać tak ogromną sumę?

- Jak pan słyszy.

- Niech pan umówi się z nim najwcześniej na dziewiątą. Musimy mieć trochę czasu, żeby sfotografować banknoty. Przyskrzynimy go, jak zacznie wydawać forszę. I proszę jeszcze raz zastanowić się nad moją propozycją. Nadal uważam, że powinniśmy umieścić radiolokator w torbie. Dobrze go ukryjemy. Chłopak niczego się nie domyśli. Proszę pamiętać - ciągnął, nie dając Justinowi dojść do słowa - że chodzi nam o to samo co panu. Nam też zależy, żeby pani MacGregor wyszła z tego cała i zdrowa.

Dopiero teraz Justin dostrzegł zmęczenie w oczach porucznika. Pomyślał, że mógłby zaufać tym oczom.

- Zastanowię się jeszcze - powiedział.
- Porucznik pokiwał głową i dopił kawę.

Telefon zadzwonił o szóstej rano. Anna i Daniel, którzy drzemali na kanapie, obudzili się natychmiast. Alan nie spał w ogóle, całą noc spędził w fotelu. Caine wracał właśnie z kuchni z kolejnym kubkiem kawy. Justin, który od przeszło godziny wpatrywał się w aparat, chwycił za słuchawkę.

- Blade.
- Masz pieniądze?
- Będę miał o dziewiątej.
- Dwie przecznice od twojego hotelu jest budka telefoniczna na stacji benzynowej. Bądź tam kwadrans po dziewiątej i czekaj na mój telefon.

Terry odłożył słuchawkę. Był tak napięty, że omal nie przewrócił stolika, na którym stał aparat. Przez całą noc nie zmrużył oka. Rozstroił go zupełnie płacz Sereny. Nie powinien się nad nią litować, powtarzał sobie, tracąc piekące oczy. W końcu co to za kobieta, że zadaje się z mordercą?

Jego matka powiedziałaaby „flądra”, ale on wyczuwał w niej damę. Przeciągnął się, próbując rozluźnić zeszytniałe mięśnie. Kiedy otworzyła mu drzwi apartamentu, nawet w zwykłym swetrze i dżinsach wyglądała wytwornie. A wieczorem... Westchnął i spojrzął na drzwi prowadzące do małej sypialni. Wieczorem, kiedy płakała skulona na łóżku, wydawała się taka drobna i bezradna.

Było mu przykro, że musiała przez to prze-

chodzić, ale tylko w ten sposób mógł sprawić ból Blade'owi. Nie powinna była zadawać się z takim draniem. Najchętniej bym go zabił, myślał, ale wiedział doskonale, że nie potrafiłby tego zrobić. Podłożyć bombę, by wywołać panikę, to tak, ale strzelić do kogoś już nie. Nawet gdyby policja nie znalazła ładunku, nie zdetonowałby go, nie starczyłoby mu odwagi. Co innego pogroźki, satysfakcja, że człowiek, który zabił jego ojca, trzęsie się ze strachu. Dostanie pieniądze i to będzie jego zemsta na Justinie.

Usłyszał, że Serena się poruszyła, więc zajął do sypialni.

Była wściekła na siebie. Po co płakała? Teraz bolała ją głowa, piekły zapuchnięte oczy. Powinna ułożyć jakiś plan działania, zamiast bez sensu użalać się nad sobą. Przykuta do łóżka ręka zdrętwiała, zaczęła więc ją rozcierać, by poprawić krążenie. Myśl! - nakazała sobie. Przecież musi istnieć jakiś sposób, żeby się wydostać z pułapki.

Kiedy drzwi się otworzyły, poderwała gwałtownie głowę i dojrzała współczucie w oczach Terry'ego. Muszę przedstawiać sobą żałosny widok, przemknęło jej przez głowę. Wykorzystaj to. Nie poddawaj się. Zaczynaj wreszcie myśleć.

- Ręka mnie boli - poskarżyła się drżącym głosem. - Chyba ją wykręciłam w nocy.

- Przykro mi. - Terry stał niezdecydowanie na środku pokoju. - Przygotuję ci coś do zjedzenia.

- Może mogłabym usiąść w fotelu, proszę - rzuciła szybko, zanim zdążył wyjść. - Jestem cała zdrętwiała. Nie mogę już leżeć. Nie ucieknę. Jesteś silniejszy niż ja.

- Wezmę cię do kuchni, ale jeśli będziesz próbowała jakichś sztuczek, zaknebluję cię i wrócisz tutaj.

- Dobrze. Tylko rozkuj mnie na chwilę.

Wyjął kluczyk z kieszeni i otworzył kajdanki. Serena nie próbowała uciekać, nie dobiegłaby nawet do drzwi. Poczuła jego palce na ramieniu. Poprowadził ją do kuchni.

Rolety we wszystkich pomieszczeniach były spuszczone. Dom mógł znajdować się wszędzie, Na Alasce, na Florydzie czy w Oregonie, pomyślała bezradnie. Nawet gdyby zdołała uciec, to dokąd? Czy Terry ma samochód? Na pewno. Jakoś musiał ją tu przywieźć. Kluczyki...

- Siadaj. - Wskazał krzesło stojące przy stole kuchennym, po czym nachylił się, przykuł ją za kostkę do nogi stołowej i podniósł się, odgarniając włosy. - Zrobię ci kawę.

- Dziękuję. - Omiotła szybkim spojrzeniem wnętrze w poszukiwaniu jakiejś broni.

- Wieczorem będziesz już z Blade'em - powiedział Terry, nalewając kawę. - Zebrał już pieniądze. Mogłem zażądać dwa razy więcej i też by zapłacił.

- Nie spuszczał z niej oczu.

- Nie dadzą ci szczęścia.

- Nie szukam szczęścia. Wystarczy mi, że unieszczęśliwiłem jego.

- Zmarnujesz sobie życie, Terry. - Był taki młody. Zbyt młody, by karmić się nienawiścią.

- Zaplanowanie zemsty wymagało inteligencji, którą mógłbyś znacznie lepiej spożytkować. Jeśli mnie wypuścisz, pomogę ci. Mój brat...

- Nie chcę twojej pomocy - syknął. - Chcę

zemścić się na tym draniu. Chcę, żeby pełzał przede mną na kolanach, żeby mnie błagał.

- To nie Justin - powiedziała Serena zmęczonym głosem.

- Słyszałem go przez telefon. Jest gotów na wszystko, żeby cię odzyskać.

- Terry...

- Zamknij się! Całe życie myślałem, jak Blade ma mi zapłacić za to, co zrobił. Musiałem patrzeć, jak moja matka ciężko haruje w spelunie, a on tymczasem zbijał pieniądze, zamiast gnść w celi. Mam prawo do tych pieniędzy i dostanę je.

- Terry... - Serena urwała. Wszelka dyskusja nie miała sensu, mogła tylko jeszcze bardziej rozdrażnić Terry'ego. Zrezygnowana, wbiła wzrok w blat stołu.

- Przygotuję ci coś do jedzenia. Jesteś głodna?

Chciała powiedzieć, że nie, ale to oznaczało powrót do sypialni. Kiwnęła głową, próbując jednocześnie obmyślić jakiś plan.

Kiedy zaczął szukać naczyń w kredensie, szarpnęła na próbę nogą. Musi zaryzykować. Jak będzie wyprowadzał ją z kuchni, rzuci się do ucieczki. Działając z zaskoczenia, może zdoła wybiec z domu... Może gdzieś w pobliżu będą ludzie, którzy usłyszą wołanie i pospieszą jej z pomocą. Może...

Podniosła wzrok i zobaczyła żeliwny garnek w dłoni Terry'ego. Niewiele myśląc, zaczęła się osuwać na krzesło. Przerażony, że zasłabła, rzucił się w jej stronę. Postawił garnek na stole i chwycił ją za ramiona.

- Źle się czujesz?

- Zaraz zemdleję - szepnęła, zaciskając dłoń na rączce garnka. Kiedy Terry się nachylił jeszcze

bardziej, uniosła garnek i z całych sił zdzieliła go w głowę. Chłopak osunął się bezwładnie na nią i oboje upadli na ziemię.

Przez moment Serena leżała nieruchomo, przyciśnięta do podłogi ciałem Terry'ego. Potem ogarnęło ją przerażenie, że go zabiła. Wydostała się spod niego i sprawdziła tętno.

- Dzięki Bogu - mruknęła, wyczuwając pulsującą tętnicę na szyi. To jego matka powinna dostać solidnie po łbie, myślała, szukając kluczyka. Biedny dzieciak od małego wychowywany był w nienawiści.

Wstała. Co teraz? Powinna uciekać, ale Terry mógł ocknąć się w każdej chwili i rzucić w pogoń za nią. Najpierw musi go unieszkodliwić.

Włożyła kajdanki do kieszeni dżinsów i zaczęła ciągnąć nieprzytomnego chłopaka do sypialni. Nie był ciężki, ale zadanie zdawało się ponad jej siły. Po kilku krokach dyszała ciężko, z czoła spływał pot.

Oparła się o framugę drzwi, chwytając powietrze w płuca. Nie zdoła ułożyć go na łóżku. Zostawiła go na podłodze, przykutego do łóżka, i ruszyła na uginających się nogach do telefonu. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że już drugą dobę prawie nic nie miała w ustach. Jedzenie musi poczekać, powiedziała sobie, potrząsając głową. Nie wolno jej teraz zasłabnąć. Podniosła słuchawkę i wystukała numer.

Justin wziął szybki prysznic, przebrał się i wrócił do salonu. Anna przynaglała Daniela do jedzenia, ale sama nawet nie tknęła tego, co leżało przed nią na talerzu. Kiedy wszedł Justin, podniosła wzrok.

- Dzisiaj wieczorem urządzimy sobie rodzinną kolację - powiedziała z mężnym uśmiechem. - Rena uwielbia takie celebracje. - W jej oczach zalśniły łzy.

Justin podszedł do niej i objął serdecznie. Znali się tyle lat, a nigdy jeszcze nie ośmielił się na taki gest.

- Porozmawiaj z szefem kuchni i ułóżcie wspólnie menu.

Poczuł, że jej ciałem wstrząsa dreszcz. Anna wpiła mu palce w dłoń i powiedziała:

- Tak, ustalę z nim, co ma nam przygotować. Bądź ostrożny, Justinie - dodała innym już głosem. - Proszę, uważaj. - Kiedy zadzwonił telefon, drgnęła gwałtownie i odsunęła się. Jej twarz zamieniła się w maskę spokoju. - Miał dzwonić dopiero po dziewiątej, na stację benzynową.

- Widocznie chce się upewnić, czy nie zmieniłem planów. - Justin z bijącym sercem chwycił słuchawkę.

- Blade.

- Justin.

- Serena! - Usłyszał za plecami krótki, zdławiony okrzyk Anny. - Nic ci nie jest?

- Nie, nie. Wszystko w porządku. Justin...

- Na pewno ten łajdak nie zrobił ci nic złego? Nie spodziewałem się, że pozwoli ci zadzwonić jeszcze raz.

- Już nie ma nic do gadania - oznajmiła lekkim tonem. - Leży nieprzytomny na podłodze w sypialni, przykuty do nogi łóżka.

- Co? - Justin strząsnął z ramienia dłoń Cai-ne'a. - Co powiedziałaś?

- Mówię, że go ogłuszyłam i przykułam kajdan-
kami do łóżka.

Dopiero po chwili zrozumiał, że to, co czuje, to
ulga. Ogromna, bezbrzeżna ulga. Wybuchnął głoś-
nym śmiechem.

- Nie wiem, dlaczego tak się martwiłem o cie-
bie! - Zobaczył cztery utkwionych w nim
oczu. - Ogłuszyła go i przykuła do łóżka.

- Prawdziwa MacGregorówna! - huknął Daniel
swoim tubalnym głosem, zerwał się z krzesła
i chwycił Annę w ramiona. - Czym go ogłuszyła?

- To mój ojciec? - chciała wiedzieć Serena.

- Tak. Pyta, czym mu przyłożyłaś.

- Garnkiem. - Nogi tak się jej trzęsły, że musia-
ła usiąść na podłodze.

- Garnkiem - powtórzył Justin.

- Moja mała córeczka! - Daniel pocałował
Annę prosto w usta, a potem położył głowę na jej
ramieniu i rozpłakał się.

- Justinie, przyjedź i zabierz mnie stąd jak
najszybciej.

- Gdzie jesteś?

- Nie wiem. - Oparła czoło na kolanach. Miała
wrażenie, że teraz, kiedy napięcie minęło, rozpad-
nie się na kawałki. Przełknęła łyżę. - Poczekaj,
podniosę rolety i zobaczę, co jest za oknem. Mów
do mnie - poprosiła, wstając. - Mów do mnie.

- Jest tu cała twoja rodzina. - Czuł, że Serena
jest bliska hysterii, słyszał to w jej głosie. - Mama
chce wieczorem urządzić rodzinną kolację. Na co
miałabyś ochotę.

- Na cheeseburgera. - Podciągnęła roletę.

- Wielkiego cheeseburgera i wiadro szampana.

Jestem gdzieś za miastem. Blisko plaży. Widzę kilka domów w oddali. Tyle tylko mogę powiedzieć. - Przygryzła wargę w obawie, że głos się jej zaraz załamie.

- Podaj mi twój numer telefonu, Sereno. Ustalimy adres. - Szybko zapisał cyfry. - Czekaj na mnie i trzymaj się.

- Trzymam się. - Światło dzienne podziałało uspokajająco, dodało jej otuchy. - Pospiesz się i powiedz reszcie, że nic mi nie jest i żeby się nie martwili.

- Kocham cię, Sereno.

W oczach znowu pojawiły się łzy.

- Przyjedź i pokaż mi, jak bardzo - zdążyła jeszcze powiedzieć i Justin rozłączył się.

Podał kartkę z numerem Ranickiemu.

- Ustalcie, gdzie to jest.

Porucznik skinął głową i podniósł słuchawkę.

- Zdzieliła go garnkiem? - Zaśmiał się z uznaniem. - To mi dopiero kobieta.

- Z klanu MacGregorów - oznajmił Daniel z dumą i głośno wysiąkał nos.

- Mamy już adres - powiedział Ranicki po kilku minutach wyczekiwania ze słuchawką przy uchu. - Jedzie pan? - zwrócił się do Justina.

Też pytanie!

- Wszyscy jedziemy.

Serena stała w otwartych drzwiach wejściowych, nie bacząc na to, że trzęsie się z zimna. Od momentu, kiedy Terry ją porwał, minęła niecała doba, a ona miała wrażenie, że od wielu już dni nie widziała słońca. Trawa ciągle była wilgotna po

nocnym deszczu. Nie wiedziała, że kropla wody na żdźbłę trawy potrafi mienić się wszystkimi kolorami tęczy.

Dostrzegła sznur samochodów sunący w jej stronę. Jak procesja, pomyślała i znowu łzy napłynęły jej do oczu. Nie, nie może przecież przywitać Justina zapłakana. Wyprostowała plecy i czekała.

Podjechał pierwszy i pierwszy wyskoczył z samochodu. Tuż obok zatrzymały się dwa wozy policyjne.

- Sereno! - Dobiegł do niej i porwał w ramiona, przycisnął z całych sił do piersi. Wtuliła twarz w jego szyję i powtórzyła kilka razy drogie imię.
- Nic ci nie jest? - Zanim zdążyła odpowiedzieć, zamknął jej usta pocałunkiem.

Poczuła, że ten twardziel drży jak osika. Objęła go mocniej i włożyła całą swoją miłość w powitalny pocałunek.

- Przemarzałaś - szepnął, przesuwając palcami po zimnych policzkach. - Okryj się moją marynarką.

Ujęła jego twarz w dłonie.

- Och, Justinie - szeptała, patrząc na pobrużdżone ostatnimi przejściami rysy. - Ile musiałeś przez niego wycierpieć.

- Pokaż no mi się, córeczko. - Daniel chwycił Serenę w ramiona. - Powiadasz, że przyłożyłaś mu garnkiem, tak?

Zobaczyła zaczerwienione oczy ojca i ucałowała go gorąco.

- Był akurat pod ręką. - Wzruszyła ramionami.
- Chyba nie powiesz, że się o mnie martwiłeś?
- zapytała niby to urażonym tonem.
- Pewnie, że nie. Skądże. - Daniel pociągnął

głośno nosem. - Moja córka potrafi dać sobie radę w każdej sytuacji. Ale mama się martwiła.

Porucznik Ranicki odczekał, aż cała rodzina wyciąłowała i wyściskała Serenę, po czym podszedł do niej i do Justina akurat w chwili, gdy wprowadzono z domu skutego i mocno oszołomionego Terry'ego.

- Będziemy musieli panią przesłuchać, panno MacGregor.

- Nie teraz - uciał Justin.

Porucznik kiwnął głową.

- Oczywiście, to może poczekać. Proszę przyjść na posterunek po południu, jak już pani trochę ochłonie.

Twarz Justina stężała na widok Terry'ego. Pamiętał doskonale te jasne, smutne oczy. Chłopiec był codziennie w sali sądowej. Mógł mieć wtedy trzy, cztery lata, nie więcej. Malec. Odwrócił się jeszcze i spojrzął na Justina, kiedy policjanci wsadzali go do wozu.

- Mój Boże... Żal mi go - szepnęła Serena.
- Bardzo mi go żal.

Wziął ją w ramiona.

- Mnie też.

- Jeden nasz wóz musi tu zostać, moi ludzie zabezpieczą dom, ale pani może już wracać do miasta - powiedział porucznik Ranicki do Sereny.

- Zabieramy naszą małą. - Daniel zrobił krok w kierunku córki.

- Niech jedzie z Justinem. - Anna pociągnęła męża do drugiego wozu policyjnego. - A my zajmiemy się przygotowaniami do kolacji.

- Ależ ona jest boso! - zawołał jeszcze Daniel, nim żona wciągnęła go do wozu.

- Nic jej nie będzie - powiedział Alan, sadowiąc się na przednim siedzeniu. Dopiero teraz poczuł, że umiera z głodu.

- Pewnie, że nic jej nie będzie - przytaknął Caine i szepnął ojcu do ucha: - Kupię ci cygaro, jak będziesz siedział cicho.

Daniel zerknął na żonę.

- Nic jej nie będzie - zgodził się.

- Jedźmy - zaproponował Justin, zapinając marynarkę na Serenie.

- Przejdźmy się po plaży. - Objęła go w pasie.

- Krótki spacer dobrze mi zrobi.

- Jesteś boso.

- Po plaży najlepiej spacerować boso. W ogóle nie spałeś, prawda?

- Nie, ale potrafię szybko regenerować siły.

- Pocałował Serenę w czubek głowy.

- Nie chciałam zrobić mu krzywdy, ale nie miałam pewności, jak zareaguje, kiedy staniecie naprzeciwko siebie twarzą w twarz. W tym chłopcu nagromadziły się ogromne pokłady nienawiści. To smutne.

- Przeze mnie stracił ojca i od tamtej pory myślał, jak zadać mi ból. - Przygarnął Serenę do siebie i zapatrzył się na ocean. - Dziwię się, że zażądał tak niewielkiego okupu.

Uniosła brwi.

- Niewielkiego? Dla przytłaczającej większości ludzi dwa miliony to astronomiczna suma.

- Są rzeczy, które nie mają ceny. - Ujął twarz Sereny w dłoń i pocałował ją w usta. - Moja

najdroższa... Nie byłem pewien, czy jeszcze kiedyś będę trzymał cię w ramionach. Cały czas drżałem ze strachu, że zrobi ci coś złego. Tylko o tym myślałem. I o tym, co ja mu zrobię, jak go zobaczę.

- Nie chciał zrobić mi krzywdy - uspokoiła go, widząc, że znów narasta w nim gniew. - Dlatego tak łatwo dałam sobie z nim radę. Ten chłopiec nie życzył mi źle.

- Nie. Jemu chodziło o mnie.

- Dość już, Justinie! - stwierdziła stanowczo. - Przestań się obwiniać. Nie chcę tego słuchać. To, co wydarzyło się dzisiaj, ma swoje źródło w dalekiej przeszłości. Winny był rasizm ojca Terry'ego, no i alkohol. Ale to już zamknięty rozdział, nie wracajmy do tego.

- Nie rozumiem, dlaczego tak lubię, kiedy na mnie krzyczysz - mruknął i przyciągnął ją do siebie.

- Masochista. - Przytuliła się do niego. - Miałam trochę czasu, żeby zastanowić się nad nami.

- Tak?

- I doszłam do wniosku, że musimy zmienić podstawowe reguły.

- Nie wiedziałem, że mamy jakieś podstawowe reguły - zdziwił się.

- Uważam, że obecna sytuacja jest bardzo niepraktyczna.

- W jakim sensie? - zapytał ostrożnie.

- Powinniśmy się pobrać.

- Pobrać, powiadasz? - Justin popadł w zamyślenie. Przed godziną ogłuszyła porywacza garnkiem, teraz stała boso na linii wody, w mokrym piasku, w o kilka numerów za dużej marynarce, ze zmierzwionymi włosami, i oznajmiała mu spokoj-

nie, że powinni się pobrać. Wszystko było na opak. Nie tak wyobrażał sobie oświadczyzny. To on powinien wyjść z propozycją. Leżeliby sobie w skłębionej pościeli, zmęczeni po miłosnych szaleństwach, wtedy chropawym głosem szepnąłby, że chce się z nią ożenić. - Pobrać?

- Tak. To podobno ciągle dość powszechna praktyka. A że to ja się oświadczam, zostawiam ci jeszcze szansę. - Wyjęła z kieszeni dzinsów monetę.

Justin zaśmiał się trochę niepewnie, potem spróbował odebrać jej pieniądze.

- Sereno, naprawdę...

- O nie. Moja moneta, mój wybór. Orzeł, pobieramy się. Reszka, nie pobieramy. - Rzuciła monetę, chwyciła na wierzch dłoni i podsunęła mu pod nos. — Orzeł.

- Wygląda na to, że przegrałem.

- Zdecydowanie. - Schowała szulerską monetę do kieszeni.

- Może trzy rzuty...?

W jej oczach zabłyśły gniewne ogniki.

- Mowy nie ma - prychnęła i ruszyła w drogę powrotną. Kiedy Justin chwycił ją w ramiona, krzyknęła: - Jeśli myślisz, że mnie oszukasz, to...

- Nie dokończyła zdania, bo zamknął jej usta pocałunkiem.

- Ja nigdy nie oszukuję. - Wziął ją na ręce i poniósł do samochodu. - Ale chciałbym zobaczyć tę monetę.

- Po moim trupie.

KONIEC